

CHRISTOPHER HYDE

Fala

Przekład **BARTOSZ
SKIERKOWSKI**



Tytuł oryginału
THE WAVE

Redaktorzy serii
MAŁGORZATA CEBO-FONIOK
ZBIGNIEW FONIOK

Redakcja stylistyczna
MAGDALENA STACHOWICZ

Korekta
RENATA KUK

Ilustracja na
okładce
DANIŁODUCAK

Opracowanie graficzne okładki STUDIO
GRAFICZNE WYDAWNICTWA AMBER

Skład WYDAWNICTWO
AMBER

Wydawnictwo Amber zaprasza na stronę Internetu

<http://www.amber.sm.pl>

<http://www.wydawnictwoamber.pl>

Copyright © 1979 by Christopher Hyde.
AU rights reserved.

For the Polish edition Copyright ©
2004 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 83-241 -1792-X

*Dla Mariei i Noah, z najlepszymi życzeniami.
Dla Sama, który pomógł mi się zorganizować,
i dla Mike'a, od którego wszystko się zaczęło.*

Od Autora

Informacje techniczne zawarte w tej książce są prawdziwe. Zapora w Mica istnieje naprawdę i wygląda tak, jak ją opisałem. Badania geologiczne dotyczące wspomnianej zapory nigdy nie zostały opublikowane, podobnie jak wszelkie prace, w których próbowano oszacować prawdopodobieństwo osunięcia się ziemi w zbiorniku Mica. Tak samo ma się sprawa z testami przeprowadzanymi nad nową zaporą w High Revelstoke, będącą obecnie w trakcie budowy. Dziennikarze wielokrotnie nalegali, aby ujawnić wspomniane materiały, jednak Instytut Hydrologiczny w Kolumbii Brytyjskiej nie wyraził na to zgody. Członkowie Towarzystwa Geologicznego w Kolumbii Brytyjskiej konsekwentnie odmawiali wszelkich komentarzy na temat możliwego osunięcia się ziemi w Mica oraz w High Revelstoke. Informacje dotyczące pozostałych zapór w dorzeczu Kolumbii są również prawdziwe, podobnie jak relacje z awarii zapór, jakie miały miejsce w przeszłości, zarówno w Ameryce Północnej, jak i na innych kontynentach.

W trakcie zamkniętych przesłuchań senackich dotyczących katastrofy zapory w Teton w 1976 roku pojawiło się pytanie, czy innym tamom również grozi awaria, jednak dyrektor Instytutu Jakości nie udzielił na nie jednoznacznej odpowiedzi, wkrótce potem zaś przeszedł na emeryturę.

Przesłuchania ujawniły, że katastrofa w Teton, do której doszło w wyniku złego rozplanowania przestrzennego i błędnych pomiarów geologicznych, nie była przypadkiem odosobnionym. Istnieje co najmniej osiem takich zapór w Stanach Zjednoczonych, i co najmniej tyle samo instalacji nuklearnych jest położonych w bezpośrednim sąsiedztwie rejonów geologicznie niepewnych. W Kanadzie jest jedna taka instalacja, a także jeden reaktor atomowy znajdujący się poniżej zapory wzniesionej przed przeszło pięćdziesięciu laty. W reaktorze tym doszło do pierwszej na świecie poważniejszej awarii nuklearnej.

Przesłuchania w sprawie Teton ujawniły również, że w Stanach Zjednoczonych od 1935 roku wydarzyło się przeszło siedemdziesiąt awarii zapór, a od roku 1950 - trzy poważne awarie reaktorów jądrowych, w tym potencjalnie najgroźniejsza awaria reaktora Enrico Fermi znajdującego się w pobliżu Detroit.

W roku 1978 ujawniono, że w Związku Radzieckim na początku lat pięćdziesiątych miała miejsce olbrzymia katastrofa nuklearna, w której życie straciło co najmniej cztery

tysiące osób. Jej przyczyną było niewłaściwe usytuowanie zbiornika z odpadami radioaktywnymi, identycznego jak ten zbudowany w Richland w stanie Waszyngton.

Zawarte w książce relacje z Richland są oparte na faktach, aczkolwiek tamtejszy reaktor termojądrowy jest jeszcze w trakcie budowy. Wszystkie informacje dotyczące wyjątków w instalacji nuklearnej w Richland są prawdziwe.

Biuro Kontroli i Bezpieczeństwa Środowiska Naturalnego jest organizacją fikcyjną. W rzeczywistości w Stanach Zjednoczonych nie istnieje żadna komórka rządowa odpowiedzialna za regularną kontrolę zapór wodnych. Ani w Kanadzie, ani w Stanach Zjednoczonych nie ma opisanego przeze mnie Awaryjnego Centrum Planowania.

Ostatnia większa powódź w dorzeczu Kolumbii zdarzyła się w roku 1948. Pomimo istniejącego systemu zapór, mających rzekomo zapewniać bezpieczeństwo, wiele osób straciło życie, a straty liczone w milionach dolarów.

Założenia konstrukcyjne zapory w Mica oparto na zaledwie piętnastoletniej obserwacji stanu wód, chociaż powszechnie wiadomo, że cykl wylewów w niektórych rzekach może trwać nawet do stu lat. Innymi słowy, nikt nie może przewidzieć, kiedy rzeka Kolumbia wyleje ponownie i jakie będą rozmiary powodzi.

W czasie, gdy pisałem tę książkę, nie istniał żaden system wczesnego ostrzegania na rzece Kolumbii ani na żadnej innej rzece w Ameryce Północnej.

Chociaż wiele informacji zawartych w niniejszej książce jest opartych na faktach, wszystkie opisane wydarzenia i postacie są fikcyjne, a ich podobieństwo do rzeczywistych - całkowicie przypadkowe.

Christopher Hyde

Prolog

Prywatny odrzutowiec sunął w gęstniejącym mroku. Jego ogon połyskiwał złotem w blasku zachodzącego słońca. Wewnątrz, na końcu skąpo oświetlonej kabiny pasażerskiej, dwóch mężczyzn siedziało w wysokich obrotowych fotelach. Jedynym słyszalnym odgłosem był huk silników, stłumiony przez dźwiękoszczelne płyty ukryte pod ciemną boazerią.

Szczupły siwowłosy mężczyzna, siedzący plecami do kierunku lotu, był ubrany w nie-nagannie skrojony szary garnitur. Patrzył przez hermetyczne owalne okienko, jak ostatnie promienie słońca skrzą się na ośnieżonych szczytach kanadyjskich Gór Skalistych, leżących trzy kilometry niżej. Mężczyzna siedzący naprzeciwko niego miał najwyraźniej kilka lat mniej. Jego krótkie, obcięte po wojskowemu włosy dopiero w kilku miejscach przyprószyło srebro. Był zwałistym facetem o szerokich barkach i masywnej piersi. Wyglądało na to, że czuje się niezręcznie w granatowym, lśniącym nowością garniturze, jakby jego ciało odwykło od noszenia cywilnych ubrań.

Kiedy słońce zniknęło za horyzontem, mężczyzna w szarym garniturze przestał wyglądać przez okno i przemówił. Jego głos był łagodny, choć wyczuwało się w nim ukryte napięcie.

- Możemy zatem przyjąć za pewnik, że obliczenia Kanadyjczyków są dokładne? - powiedział.

Jego rozmówca skinął twierdząco. Język przywarł mu do wyschniętego podniebienia. Bardzo chciał się czegoś napić, lecz podczas wczorajszej podróży na zachód dowiedział się, że na pokładzie jest wyłącznie woda sodowa. Przełknął ślinę, odchrząknął donośnie i przejechał językiem po spierzchniętych wargach.

- Obliczenia są dokładne - mruknął podenerwowany. - Dokładniejsze niż nasze. Ale oni od samego początku zdawali sobie sprawę z zagrożenia.

- Nie wyglądali na specjalnie przerażonych - odparł mężczyzna w szarym garniturze.

Jego rozmówca wydał z siebie krótki, urywany śmiech.

- Raczej byli wściekli. Tyle że nie mieli pojęcia, jak wybrnąć z sytuacji. To są urzędnicy, nie inżynierowie. Bardziej ich obchodzi polityczne konsekwencje niż problem geologiczny.

- Nie sposób oddzielić jednego od drugiego - powiedział mężczyzna w szarym garniturze, uśmiechając się blade. Poglądził brew koniuszkiem wypielęgnowanego palca. -

Ujawnienie szczegółów nowego porozumienia w sprawie Kolumbii mogłoby zrujnować zarówno ich, jak i władze federalne.

- Nas też by zrujnowało - odparł zwalisty mężczyzna, wierząc się na fotelu. - Jedy-
nym rozsądnym sposobem rozwiązania tego problemu jest całkowite osuszenie zbiornika wodnego w Mica. To by kosztowało wiele milionów dolarów.

- Poza tym - wtrącił mężczyzna w szarym garniturze - w grę wchodzi coś więcej niż tylko chwilowa utrata mocy. Manipulowanie stanem wód Kolumbii odbije się na wszystkich fabrykach korzystających z energii dostarczanej przez rzekę, nie mówiąc już o tym, że negocjacje nad nowym porozumieniem utknęłyby w martwym punkcie. - Mężczyzna zamilkł i znów wyjrzał przez okno. Noc zapadła już na dobre i w szybie widział tylko wykrzywione, niewyraźne odbicie własnej twarzy. - Mówimy o jednej trzeciej energii dostarczanej przez elektrownie wodne w Stanach Zjednoczonych - powiedział cicho. - W grę nie wchodzi miliony, lecz miliardy dolarów. - Odwrócił głowę i popatrzył na pozbawioną wyrazu twarz swojego rozmówcy. - Katastrofa w Teton w siedemdziesiątym szóstym wyrządziła nam wystarczająco wiele szkód, generale. A przecież zapora w Teton była malutka w porównaniu z tą w Mica. Tym razem nie możemy się wykręcić od odpowiedzialności. Od samego początku nalegaliśmy na tę lokalizację. Plan Kanadyjczyków, który odrzuciliśmy, nie dopuszczał budowy zapór w górnym biegu rzeki. Wiedzieliśmy o problemach geologicznych, wiedzieliśmy o jakości użytych materiałów. Jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz.

- Słucham? - zdziwił się drugi z mężczyzn.

- Musimy wypić piwo, którego sobie nawarzyliśmy, generale - powiedział z goryczą mężczyzna w szarym garniturze.

- A więc co powinniśmy zrobić? - zapytał generał.

- Nasze działania będą zależne od wielu czynników - odparł siwy mężczyzna. Milczał chwilę, a wreszcie podniósł lewą rękę i zaczął wyliczać, zamykając kolejno palce: - Po pierwsze, jaką mamy pewność, że dojdzie do osunięcia ziemi? Po drugie, kiedy mogłoby to nastąpić? Po trzecie, czy w jakiś sposób możemy wytknąć błędy Kanadyjczyków, nie ściągając na siebie drobiazgowego dochodzenia? - Popatrzył na swojego rozmówcę, a w jego wzroku nagle zagościł chłód. - Drobiazgowo śledztwo obejmujące całe nasze organizacje, generale. Myślę, że obaj wiemy, co by to oznaczało. - Mężczyź-
nie w szarym garniturze został wyprostowany już tylko jeden palec. U jego nasady błyszczał szeroki srebrny sygnet, z wyraźnie wygrawerowaną trupią czaszką i skrzyżowanymi piszczelami. - Po czwarte, mamy do stracenia znacznie więcej niż Kanadyjczycy, o ile obliczenia są poprawne. Ich problemy są powodem naszych, lecz to nie zmienia faktu, że to my jesteśmy w największym niebezpieczeństwie. Jeśli tak i jeśli Kanadyjczycy nie zamierzają podjąć żadnych działań, to jaki rodzaj interwencji mamy brać pod uwagę i jak powinniśmy ją zrealizować?

Generał zacisnął wargi, zamyślony.

- Nie bardzo rozumiem, co pan ma na myśli, mówiąc o „interwencji”, aczkolwiek reszta jest całkiem jasna. Osunięcie ziemi z całą pewnością nastąpi. To tylko kwestia czasu. Wyniki badań nie pozostawiają żadnych wątpliwości. Komputer obliczył, że wydarzy się to kilka dni po maksymalnym wylewie, który zazwyczaj przypada na pierwszy tydzień lipca. Mimo wszystko możemy liczyć na pomyślny zbieg okoliczności. Nasi

ludzie twierdzą, że pokrywa śniegowa jest jeszcze twarda. Roztopy opóźniły się już o dwa tygodnie. Jeśli przez cały czas będzie chłodno i sucho, będziemy mieć spokój do końca lipca. Gdybyśmy przez ten czas naciskali na Kanadyjczyków, być może uda się ich nakłonić, żeby wzięli to na siebie.

- Nie sądzę, żeby nam się to udało - odparł spokojnie mężczyzna w szarym garniturze, bębniąc palcami o okienną ramę. Jego rozmówca patrzył na szybko poruszające się palce i na połyskujący srebrny sygnet; nagle poczuł zimny dreszcz przechodzący wzdłuż kręgosłupa. Mężczyzna w szarym garniturze popatrzył w dół, na ziemię pogrążoną w mroku. Góry były w tej chwili prawie całkiem niewidoczne; ich masywne kształty rysowały się w ciemności niczym niewyraźne cienie.

- Pozostaje nam tylko mieć nadzieję, że nie będzie padać - powiedział.

Trzy kilometry niżej kamyk nie większy od naparstka oderwał się od podłoża i zaczął toczyć po stromo nachylnym stoku, podskakując na muldach i odbijając się od większych kamieni. Uderzył wreszcie o wystający korzeń przewróconego jałowca i szerokim łukiem wzbil się w powietrze. Zawirował w ciemności i z cichym pluskiem przeciął gładką powierzchnię sztucznego jeziora. Małe fale, niewidoczne w ciemności, zaczęły się rozbiegać u stóp wysokiej na półtora kilometra góry, sunąc z wolna w stronę olbrzymiej, wysokiej na dwieście pięćdziesiąt metrów zapory, spiętrzającej wielkie jezioro. Kiedy fale pokonają odległość dziesięciu i pół kilometra, aby dotrzeć do zapory, wywołają jedynie mikroskopijne poruszenie cząsteczek. Lecz kiedy to się stanie, ludzie odczytają niesioną przez nie wiadomość.

Zacząło się.

Część 1
POŚLIZG

Rozdział 1

13 czerwca

Jonathan Kane leżał na łóżku i słuchał, jak kropelki wody próbują się przebić przez dach jego domu. Ostatnie trzydzieści cztery dni wypełnione były nieustanną kakofonią bębnienia, szumu, plusku i bulgotania. Jeśli wkrótce nie przestanie padać, pomyślał Kane, niedługo całe Seattle pomarszczy się niczym suszona śliwka i wypłyynie na zatokę Puget.

Naciągnął kołdrę na głowę, lecz odgłos padającego deszczu wciąż do niego docierał, a wraz z nim myśl o tym, że przez kolejny dzień będzie musiał znosić dzwonienie kropel o szyby, niewygodę parasola, patrzeć na szarą powłokę wszechobecnej mgły, która - jak się zdawało - zasnuła całe miasto już na zawsze.

Nie chodziło o to, że deszcz mu przeszkadzał, przynajmniej jeśli padał we właściwym czasie. Kane był przyzwyczajony do nieustannej mżawki, występującej zimą na Zachodnim Wybrzeżu, dzięki której nie istniał problem odgarniania śniegu, jaki padał od czasu do czasu. Ponad dwa i pół centymetra opadów dziennie pomiędzy listopadem a marcem to naturalna rzecz na północnym zachodzie Stanów, lecz teraz była już połowa czerwca. To nie fair, pomyślał Kane, kuląc się pod kołdrą; zastanawiał się, czy nie przespał całego lata i czy to przypadkiem nie listopad.

Jakiś inny dźwięk zaczął przebijać się przez szum deszczu i docierać do zaspanego umysłu - regularne popiskiwanie opon na mokrej jezdni. Kane ziewnął. Dzień już się zaczął. Mężczyzna energicznym ruchem wyskoczył z ciepłego łóżka.

- O rany! - mruknął, chwając się na nogach. Popatrzył na swój dyplom wiszący nad komodą, na przeciwległej ścianie. Obraz był zamazany, więc odwrócił się, przekopał przez bałagan panujący na stoliku przy łóżku i wreszcie znalazł pudełko ze szklami kontaktowymi. Chwycił je i wymknął się z sypialni do przedpokoju. Przedzierając się przez barykadę z książek, odnotował w pamięci, że powinien kupić jakieś półki. Powtarzał to sobie co rano, już od miesiąca, lecz jak dotąd nie zrobił niczego, żeby uprzątnąć stertę. Trzeba będzie coś z tym zrobić, pomyślał, wchodząc do łazienki. Bądź co bądź, mieszkał w tym domu już od sześciu miesięcy. Pokręcił ospale głową. Czy to już naprawdę tak długo? Równie dobrze mogły to być dwa dni. Poczul nagły ucisk w żołądku, kiedy przypomniał sobie scenę, jaka rozegrała się, zanim Ruth odeszła od niego do swojej cholernej rodziny zastępczej w Bostonie. Rozejrzał się po łazience. Gdyby matka Ruth to zobaczyła, potwierdziłyby się jej najgorsze obawy.

Łazienka była w jeszcze gorszym stanie niż przedpokój, o ile to w ogóle możliwe. Cztery brudne koszule pływały w wielkiej miednicy napełnionej roztworem detergentów; kolejne dwie, nieco czystsze, zwisały z szyny, do której przymocowana była zasłona kabiny prysznicowej. Podłogę zaścieniały ręczniki, a na półce nad wanną stał samotny dezodorant bez zakrętki, z którego już dawno uleciał gaz.

Kane wpatrywał się w otwartą apteczkę. Była pusta, jeśli nie liczyć płynu do czyszczenia soczewek, jednorazowej maszynki do golenia, która pamiętała lepsze czasy, oraz pogiętej tubki z pastą do zębów. Co by powiedzieli jego koledzy z pracy? Za dnia był przesadnie skrupulatnym inżynierem geologiem, godzinami analizującym komputerowe wydruki i wykresy stratygraficzne. A w nocy? Niechluj! Bałaganiarz! Sięgnął po płyn do soczewek i przystąpił do porannej toalety, zastanawiając się, czy w jakiś sposób mógłby przekonać Chuck, że jest przyzwoitym facetem. Poważnie w to wątpił.

Dwadzieścia minut później, widząc już całkiem wyraźnie, wbił się w jeden z trzech identycznych lnianych garniturów, stanowiących całą jego letnią garderobę, i zszedł po schodach do kuchni.

Zaparzył sobie kawę w ekspresie i stojąc przy kuchence, wypił łączywie dwie filiżanki. Trzecią zabrał ze sobą do pokoju. Odstąpił zasłony, jak zwykle zastanawiając się, co go podkuśiło, żeby wynająć dom, którego okna wychodzą na parking przed barem szybkiej obsługi.

U HEFRY'EGO, głosił napis umieszczony obok czarnego byka na żółtym tle. Specjalność zakładu: hefryburgery. Kiedyś, po trudnych rozmowach z przedstawicielami Instytutu Jakości oraz Korpusu Wojsk Inżynieryjnych, Kane okazał się na tyle głupi, aby wpaść wieczorem do Hefry'ego. Wieczór okazał się zwieńczeniem paskudnego dnia i Kane nie zamierzał go nigdy powtórzyć. Od tamtej pory na sam widok żółtego szyldu robiło mu się niedobrze.

Przekopał się przez stos filiżanek, popielniczek i starych gazet leżących na stole, wreszcie znalazł pomiętą paczkę cameli. Zapalił i podszedł z powrotem do okna.

Deszcz. Parking u Hefry'ego zmienił się w jedną wielką kałużę, rynsztoki - w rwące strumienie. Woda spływała po cedrowych gontach wyblakłych, pomalowanych na pastelowo pobliskich domów. Wielkie krople kapały z liści magnolii rosnącej za oknem. Deszcz padał gęstą zasłoną z zachmurzonego nieba w kolorze ołowiu. Kane, sącząc zimną już kawę, patrzył, jak na skraju jego ogródka rośnie olbrzymia kałuża. Jej brzegi stopniowo zbliżały się do skarpy, u stóp której znajdował się parking przed barem szybkiej obsługi. Wreszcie skrawek ziemi osunął się do kałuży. Wywołało to fale wystarczająco silne, aby woda zaczęła przelewać się przez skarpe. W ciągu kilku sekund brzeg skarpy załamał się i teraz woda spływała całkiem swobodnie, tworząc na parkingu niewielkie jezioro. Gdyby deszcz padał dostatecznie długo i intensywnie, na pewno doszłoby tutaj do osunięcia ziemi. Myśl o kataklizmie u Hefry'ego wydawała się absurdalna, lecz mechanizm który mógł do niej doprowadzić bynajmniej nie był zabawny. Będąc dyrektorem regionalnym Biura Kontroli i Bezpieczeństwa Środowiska Naturalnego, Kane odpowiadał za stan wszystkich amerykańskich zapór na rzece Kolumbii, od Grand Coulee, aż po Bonneville. Opowiadał również za bezpieczeństwo kilkunastu większych zakładów przemysłowych, w tym Składowiska Odpadów Nuklearnych, ciągnącego się wzdłuż rzeki, nieco powyżej leżących obok siebie miast Pasco i Richland.

Taki deszcz jak ten, w połączeniu ze spóźnionymi roztopami w kanadyjskich Górach Skalistych, na pewno spowoduje podniesienie poziomu wody w zbiornikach. Kanadyjskie zapory nie podlegały Kane'owi, więc nie miał wiarygodnych informacji o tym, co się dzieje po drugiej stronie granicy; wiedział tylko, że dzieje się źle.

W Kanadzie zbudowano trzy zapory na Kolumbii: High Keenleyside u stóp jeziora Arrow, tuż przy granicy państwowej; High Revelstoke, jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów w górę rzeki, siedem i pół kilometra na północ od górskiego miasteczka Revelstoke w okręgu Kolumbia Brytyjska; wreszcie największą z nich, stojącą sto trzydzieści kilometrów na północ od Revelstoke - zaporę w Mica, największą tego typu tamę na świecie, stanowiącą główne źródło energii w dorzeczu Kolumbii. Zasilana przez zbiornik wodny o długości prawie dwustu kilometrów, zapora w Mica dostarczała jedną trzecią energii wytwarzanej przez kanadyjskie elektrownie wodne.

Amerykańskie zapory budowano z betonu, kanadyjskie zaś usypywano z ziemi - w gruncie rzeczy były one jedynie naukowo opracowanymi stertami piachu. Kane nigdy nie był zwolennikiem zapór ziemnych. Sącząc kawę, spoglądał na pokryty kałużami parking u Hefry'ego. Miał ochotę osobiście go wybetonować, ale to już nie miało większego znaczenia. Poważnie wątpił w to, że jeszcze kiedykolwiek zbuduje jakąś tamę. Pociągnął kolejny łyk kawy. Pokażne zarobki oferowane przez biuro skutecznie odciągnęły go od pracy inżyniera. Wiedział, że ciężko byłoby mu się odzwyczaić od tych ślicznych czeków, jakie dostawał regularnie co dwa tygodnie. Miał nadzieję, że kiedyś otworzy własne biuro projektów. Z całą pewnością miał wystarczające doświadczenie. Magisterium z geologii na politechnice, trzy lata stażu w wielkim nowojorskim instytucie badawczym; dwa i pół roku służby w korpusie inżynieryjnym w Wietnamie, potem doktorat. Tak, z pewnością poszłoby mu łatwo. Rodzina Ruth dałaby mu pieniądze na rozkręcenie interesu. Może nawet jego firma zdobyłaby odpowiednią renomę. Był tylko jeden problem: rodzina Ruth. Nie był w stanie jej znieść. Więc kiedy dostał propozycję pracy w biurze, zgodził się natychmiast. Ruth przez jakiś czas nie miała nic przeciwko temu, lecz w końcu Seattle i rola żony podrzędnego urzędnika dały jej się we znaki, więc uciekła do tatusia i jego dolarów.

Kane westchnął. A niech to, przecież już po wszystkim. Nie ma sensu po raz kolejny tego przerabiać. Dostaną rozwód za miesiąc albo nawet wcześniej, i tyle. Miał ważniejszą sprawę na głowie. Na przykład deszcz.

Zapalił papierosa i dopił resztę zimnej kawy. Chwyciwszy z podłogi płaszcz przeciwdeszczowy, wyszedł z domu. Zanim dotarł do zdezelowanego kabrioletu, który nazywał Śmietnikiem, był cały mokry; przemókł jeszcze bardziej w drodze na parking przy Pięćdziesiątej ulicy, ponieważ strużka wody sączyła się z niewidzialnej szczeliny w brezentowym dachu wprost na jego kark.

- Zmokłeś - zauważyła Gładys, kiedy wszedł do biura, mieszczącego się na dziewiątym piętrze.

Gładys Petrick była szefem dokumentacji, aczkolwiek nazwa ta była myląca, bo praktycznie nie było żadnej dokumentacji, którą mogłaby prowadzić. Poza Kane'em i Gładys w biurze pracowały jeszcze dwie sekretarki, lecz obie były nieobecne.

- Strasznie zmokłeś - dodała Gładys. Wzięła od niego płaszcz i powiesiła na wieszaku, kręcąc głową z politowaniem. Gładys miała około dwudziestu pięciu lat i była bezdzietną

wdową. Nosiła jedną z najniezwyklejszych fryzur, jakie Kane kiedykolwiek widział - skomplikowaną płataninę warkoczy i loków w kolorze blond. Po długim i trudnym dochodzeniu Kane ustalił, że był to jej naturalny kolor włosów.

Kane zastępował jej zarazem męża, którego straciła, i dziecko, którego nigdy nie miała. Na początku miał opory przeciwko tej roli, ale ostatecznie na nią przystał. Gladys nie należała do osób, z którymi można się spierać.

Kane wziął stertę listów leżącą na biurku. Gladys popatrzyła znacząco na elektroniczny zegar wiszący na ścianie. Była dziewiąta trzydzieści.

Podążył za jej spojrzeniem.

- Był korek - wyjaśnił przepraszająco.

- Aha. - Gladys nie wydawała się przekonana.

- Gdzie dziewczyny? - zapytał Kane, nie tyle z ciekawości, ile raczej po to, aby zmienić temat.

Gladys parsknęła.

- Karen jest na kursie administracji publicznej, a Leslie zadzwoniła, że jest chora.

- Och - mruknął Kane. Zaniósł listy do swojego gabinetu i usiadł przy okrągłym stole, który służył mu za biurko. W chwilę później Gladys podążyła za nim, niosąc w ręku dymiącą filiżankę rozpuszczalnej kawy. Bezkofeinowej. Przez pierwsze kilka miesięcy Kane usiłował przekonać Gladys do picia kawy z ekspresu, lecz Gladys i tym razem okazała się nieugięta. To przez kofeinę jej mąż dokonał żywota i nie zamierzała w ten sam sposób stracić szefa.

Wręczyła mu filiżankę. Pociągnął łyk i skrzywił się. Kawa była równie obrzydliwa, jak pogoda za oknem.

- Doskonała - powiedział, podnosząc filiżankę i uśmiechając się z wysiłkiem.

- Lepsza niż ten kwas siarkowy, który w siebie wlewasz - odparła, prawie wcale nie otwierając ust.

Kane zastanawiał się, czy Harry umarł z powodu kofeiny, czy też dlatego, że już nie mógł znieść Gladys. Odstawił filiżankę i zapalił papierosa, ignorując jej pełne dezaprobaty spojrzenie.

- Jaki mamy plan na dzisiaj? - zapytał, posyłając jej chmurę dymu. Gladys odchrząknęła ostentacyjnie i zaczęła przeglądać jego plan dnia. Mając taką pomocnicę, nawet Casanovą nie musiałby prowadzić kalendarza spotkań.

- Pan Kellog z Nadzoru Energetycznego w Bonneville o dziesiątej. Lunch z panem Johnsonem z Techtronu o jedenastej. Nic wielkiego. Po południu masz tylko spotkanie z tym człowiekiem ze strefy przybrzeżnej, który twierdzi, że go załaza.

- Cudownie - westchnął Kane. - Coś jeszcze?

- Tak. Waszyngton odrzucił twoją prośbę o rozszerzenie dostępu do ośrodka obliczeniowego. Benson zadzwonił z wiadomością, że ostatni raport z Richland uznano za bezwartościowy, bo część informacji była utajniona.

- Znowu ten Kellerman - mruknął Kane. - Wydaje mu się, że pracujemy tu nad pierwszą bombą atomową.

Gladys ciągnęła dalej, zmarszczywszy brwi:

- Na biurku masz raport z inspekcji zapory. Dzwoniła do ciebie jakaś kobieta.

- Kobieta? - spytał Kane, udając niedowierzanie.

Gladys jeszcze bardziej zmarszczyła brwi.

- Powiedziała, że nazywa się Chuck i że będziesz wiedział, o co chodzi.
- Owszem, wiem - odparł Kane, usiłując zachować neutralny wyraz twarzy.

Gladys, wciąż marszcząc czoło, uniosła brew.

- Chuck! - wycodziła przez zaciśnięte zęby. Odwróciła się na pięcie i wyszła z gabinetu. Kane chwycił za słuchawkę i wykręcił numer. Po pierwszym dzwonku odezwał się głos przypominający skrzeczenie żaby.

- „Post”, redakcja, mówi Brooks! - Kane już tyle razy dzwonił do Chuck na numer „Post Intelligencer”, że bez większego trudu zrozumiał, co mówił mężczyzna odbierający telefon. Według Chuck, Brooks był doskonałym dziennikarzem. Kane miał co do tego poważne wątpliwości. Sądząc po głosie, Brooks lepiej czułby się, rozmawiając z żabami.

- Poproszę z Charlene Daly - powiedział Kane, odsuwając słuchawkę. Wiedział, co teraz nastąpi. Nawet kiedy trzymało się słuchawkę pół metra od ucha, głos Brooksa mógł ogłuszyć.

- Chuck, telefon do ciebie - zagrzemiał mężczyzna. Kane czekał cierpliwie, zastanawiając się, kiedy Chuck będzie mieć własny aparat. Po chwili odebrała słuchawkę, dysząc ciężko.

- Charlene Daly, słucham - wysapała.

- Mówi Jon.

Głos Chuck natychmiast się zmienił.

- O, cześć! Dawno się nie widzieliśmy!

- Od zeszłego wieczoru.

- Czyli bardzo dawno - odparła Chuck, z trudem łapiąc oddech: - Co się stało?

- Nie wiem, to ty do mnie zadzwoniłaś, pamiętasz?

- A, no tak, rzeczywiście - przypomniała sobie Chuck. - Mamy tu urwanie głowy. Jakiś idiota skoczył z wieży przekątnikowej i okazało się, że to był szwagier burmistrza czy ktoś w tym rodzaju. Będzie niezły skandal.

- Kimże jestem, aby rywalizować ze szwagrem burmistrza? - zapytał Kane.

- Założę się, że grasz w bilard lepiej niż on. W każdym razie, mój ty żartownisiu, właśnie dlatego dzwonię. Pomyślałam, że moglibyśmy zagrać dziś wieczorem.

- Cóż - mruknął Kane - kieliszek wina, gra w bilard i ty.

- Tak, ale w jakiej kolejności? - spytała Chuck.

- Najpierw bilard, potem wino, a na końcu ty.

- Brzmi niezłe - stwierdziła Chuck. - O ósmej?

- O ósmej. Do tego czasu będę siedział w piwnicy i polerował kij.

- Ach! - westchnęła Chuck i rozłączyła się.

Kane wyciągnął się na fotelu, próbując sobie wyobrazić swoją byłą żonę i Chuck w jednym pokoju. Po chwili dał temu spokój. Te dwie kobiety były kompletnie od siebie różne. Prawdę mówiąc, Kane był z tego bardzo zadowolony.

Poznał Chuck przez przypadek. Oglądał stoły bilardowe w jakimś sklepie w śródmieściu, kiedy weszła. Dom, który wynajmował, miał w piwnicy niewielki stół bilardowy, lecz Kane od lat marzył o grze na prawdziwym stole, gdyż Ruth stanowczo mu tego zabraniała. Często grywał w bilard jako młody chłopak, później doskonalił swoje umiejętności

w korpusie inżynierskim w Wietnamie. Chuck miała znacznie większe doświadczenie; jej ojciec był właścicielem sieci klubów bilardowych w Pittsburghu.

Przyznała później, że Kane wpadł jej w oko, jak tylko go zobaczyła w sklepie. Twierdziła, że jego mierzająca metr osiemdziesiąt pięć sylwetka i jasne kręcone włosy zrobiły na niej ogromne wrażenie. Kane jednak uważał, że zwróciła uwagę na jego technikę gry. Rozegrali kilka próbnych partyjek na stole, który Kane właśnie zamierzał kupić. Przegrał z kretesem, nie mogąc oderwać wzroku od tej niedużej, szczupłej dziewczyny o pociągłej twarzy i krótkich, potarganych, ciemnorudych włosach. Postanowił więc wziąć się w garść i zaproponował rewanż u siebie w domu. Ku jego zaskoczeniu, zgodziła się natychmiast i zapytała, czy przy okazji zjedzą kolację.

Reszta popołudnia upłynęła błyskawicznie. Kane jeździł z Chuck od sklepu do sklepu, poddając się jej szaleńczemu tempu, patrząc, jak dziewczyna prowadzi swojego starego, wielkiego mercedesa, jakby to był wyścigowy bolid. Kiedy zapadła noc, oboje zwolnili tempo i przy kolacji opowiedzieli sobie historie swojego życia. Kiedy wreszcie dotarli do domu Kane'a i zaczęli grać w bilard, można by pomyśleć, że znali się od kilku lat, a nie godzin.

Rozegrali osiem partii. Chuck wygrała sześć do dwóch. O północy rzuciła kij na bilardowy stół, podeszła do Kane'a, wyciągnęła rękę, przyciągnęła jego twarz do swojej i obdarzyła go długim, namiętym pocałunkiem, robiąc z językiem takie rzeczy, na jakie Ruth nigdy by się nie odważyła. Potem odsunęła się i popatrzyła na niego.

- Dobrze - szepnęła.

Kane stał nieruchomo, z rozdziawionymi ustami.

- Jak to: dobrze? - wykrztusił w końcu.

Chuck uśmiechnęła się.

- Od początku wiedziałam, że do siebie pasujemy - powiedziała. - Chciałam się tylko upewnić.

- Aha... - odparł Kane. Zabrzmiało to jak chrząknięcie.

Chuck chwyciła go za rękę i zaczęła ciągnąć w stronę schodów prowadzących na górę.

- Johnny, rusz się, chłopie. Idziemy się pieprzyć.

Zrobili to, co zapowiedziała. Tej nocy, i w ciągu kilku następnych, kochali się namiętnie i często. Kane powoli otrząsał się z przygnębienia, w jakie popadł po rozstaniu z Ruth.

Poruszył się na krześle, rozmyślając przez chwilę, czy przypadkiem nie zakochał się w Chuck. Porzucił tę myśl jak najprędzej. Nie był na to przygotowany. Sięgnął za siebie i wyciągnął pękaty raport z inspekcji zapory z szufladki z napisem: *Pilne*. Ważniakom z Waszyngtonu zależało, żeby złożyć raport, zanim przystąpią do wstępnych negocjacji nad umową. Uważali go za czołowego eksperta w dziedzinie budowy zapór. Otworzył teczkę, marszcząc brwi, wciąż nie mogąc pogodzić się z tym, że odmówiono mu rozszerzenia dostępu do ośrodka obliczeniowego. Niby jak ma dostarczyć wiarygodne wyniki, skoro nie ma gdzie zrobić obliczeń? Zapalił kolejnego papierosa i zaczął pisać. Za oknem wciąż padał deszcz.

Max Rudnick szef ochrony Instalacji Nuklearnej w Richland, zaklął pod nosem, widząc jak czerwone błoto oblepia jego buty i plami mankiety nienagannie wyprasowanych spodni.

Sto metrów dalej, po drugiej stronie zupełnie płaskiego terenu, stanowiącego Składowisko A, pięciu członków ekipy pomiaru promieniowania posuwało się ostrożnie jeden za drugim. Kiedy szli, unosząca się nad ziemią mgiełka wywołana nieustanną mżawką zasnuwała ich sylwetki w grubych kombinezonach przeciwpromiennych, gęstniała nad głowami ukrytymi w ciężkich, przezroczystych hełmach. Na tle płaskiej, pozbawionej życia przestrzeni składowiska wyglądali jak postacie z filmu fantastycznonaukowego.

Rudnick po raz kolejny zaklął, spoglądając na ludzi idących w jego stronę. Przynajmniej mieli sucho w tych swoich kombinezonach. On musiał stać w deszczu, po kolana w błocie, tylko po to, żeby mieć pewność, że wszystko będzie zrobione jak trzeba. Gdyby ten cholerny deszcz nie podmył drogi dojazdowej, Rudnick siedziałby sobie wygodnie w samochodzie. A tak musiał przejść kilkaset metrów, aż na skraj składowiska.

Patrzył, jak ekipa znów się oddala, aby zbadać następny fragment terenu. Zaklinał ich w duchu, żeby się pospieszyli. Trzysta metrów za nimi Rudnick dostrzegał stalowoszarą wstęgę Kolumbii, ledwie widoczną zza zasłony deszczu. Przymrużył oczy, usiłując dojrzeć, jak bardzo podniósł się od wczoraj poziomu wody. Potrząsnął głową i zmarszczył brwi, a jego wydatne usta ułożyły się w grymas niezadowolenia. Jak tak dalej będzie padać, trzeba będzie cały teren umocnić workami piasku.

Wsunął ręce głębiej do kieszeni przeciwdeszczowego płaszcza i zacisnął zęby. Ból był coraz bardziej dokuczliwy. Prawy nadgarstek swędział straszliwie, a żołądek palił nie do wytrzymania. Rudnick pozostawał jednak na swoim miejscu, sztywny i nieruchomy, a deszcz spływał mu po twarzy. Nie zamierzał dawać ekipie jakichkolwiek powodów do żartów. Postanowił, że odczeka jeszcze kilka minut, żeby zobaczyć, czy znaleźli przeciek, a potem wróci do samochodu. Zamrugał mokrymi od deszczu powiekami, nie przestając patrzeć.

Miewał już takie dni, kiedy służył w jednostce w Chicago. Nawet gorsze. No ale wtedy był młodszy, znacznie młodszy. Kiedyś w styczniu przez trzy dni koczował na ulicy, przebrany za pijaka, czyhając na handlarzy narkotykami. Jego wysiłek się opłacił. Złapał przestępcę, a kiedy ten się opierał, Rudnick złamał sukinsynowi rękę. Lecz co robił tutaj, stojąc na środku jakiegoś bajora w stanie Waszyngton? Prawdopodobnie nie był żadnego przecieku. Po prostu ci idioci z Agencji Ochrony Środowiska znów robili aferę, bo znaleźli jedną martwą rybę.

Wśród odzianych na białą postaci tworzących ekipę pomiaru promieniowania nagle zapanowało poruszenie. Mężczyzna z prawej przystanął i pochylił się nad czujnikiem. Potem odwrócił się i skinął odzianą w rękawicę dłonią. Pozostali czterej zbliżyli się w zwartym szyku. Coś znaleźli.

- Cholera - wycedził Rudnick przez zęby. A więc był przeciek. Cały plan dnia może teraz wyrzucić do śmieci. Będzie musiał zarządzić szczegółowe badania, a przecież i tak wszystkie terminy są już zajęte.

Patrząc na niewyraźne sylwetki otaczające miejsce przecieku, poczuł, jak nowa fala bólu rozdziera mu żołądek. Zadrżał.

- A niech to diabli - mruknął. Odwrócił się na pięcie i zaczął brnąć w stronę samochodu.

Kiedy znalazł się we wnętrzu służbowej limuzyny, ból żołądka zaczął powoli ustępować, więc poczuł się nieco lepiej. Wyciągnął ze schowka paczkę tanich papierosów

i zapalił, delektując się ostrym smakiem tytoniu. Przez dłuższą chwilę trzymał papierosa w palcach, czekając, aż żołądek wróci do normy. Zakasłał głośno i skrzywił się. Cholerne dym. Tymczasem deszcz jednostajnie bębnił o dach samochodu i sprawiał, że szyby intensywnie parowały. Rudnick myślał o Kellermanie i jego zasobnym budżecie, o idiotach takich jak Haberman, jego asystent, i o całej reszcie tego towarzystwa. Do tego jeszcze ten deszcz. I przeciek.

Zapalił silnik, wrzucił bieg i oddalił się od składowiska odpadów atomowych, zostawiając za sobą fontannę błota.

Kiedy dotarł do bramy prowadzącej do reaktora, zwolnił i przejechał pomiędzy szeregiem budynków, z których większość stała pusta od końca lat sześćdziesiątych, kiedy to skończył się zwiększony popyt na głowice atomowe, wywołany zimną wojną. Przejechał obok monolitycznej konstrukcji, mieszczącej niegdyś stary reaktor Hanford One, gdzie wyprodukowano składniki użyte przy produkcji bomb, które spadły na Hiroszimę i Nagasaki. Jadąc w kierunku południowym, w stronę budynku administracyjnego mieszczącego się po drugiej stronie bazy, Rudnick krztusił się głośno dymem z papierosa. Znajdował się na jedynym obszarze, po którym nie oprowadzano wycieczek. Nie wiedzieć czemu odnosił tutaj wrażenie, że wojna została przegrana.

Nie postawiłby na nią złamanego grosza. Może zmieniliby zdanie, gdyby zrzucono jeszcze parę bomb. Na Moskwę albo na Pekin. Wtedy nie musiałyby się truć tutejszym żarciem, żeby pilnować tej sterty śmieci. Odsunął szybę i wyrzucił niedopałek na mokrą ziemię. Możliwe, że Richland miało kiedyś swój okres świetności, lecz teraz było zapadłą dziurą. Nie licząc nowego, eksperymentalnego reaktora termojądrowego, jedynym przedsięwzięciem w Richland było to składowisko odpadów. Rudnick sięgnął po kolejnego papierosa. Pomyślał, że w gruncie rzeczy jest tylko nocnym stróżem na wysypisku śmieci.

Ustawił samochód na parkingu przed budynkiem administracyjnym. Wszedł do środka. Była dwunasta w południe, i o tej porze większość ludzi siedziała w bufecie na parterze. Rudnick energicznie otworzył drzwi ewakuacyjne prowadzące do piwnicy i zszedł po schodach. Jego gabinet mieścił się przy wylocie tunelu prowadzącego do reaktora, prawie pół kilometra na południe od miejsca, w którym się teraz znajdował.

Gabinet Rudnicka nie mówił nic o człowieku, który w nim pracował. Był to pokój trzy na trzy metry, pomalowany dwoma odcieniami zielonej farby z rządowego przydziału. Całe umeblowanie składało się ze staroświeckiego biurka, dwóch odrapanych szafek na dokumenty i dwóch krzeseł, z których jedno stało przy biurku, a drugie przeznaczone było dla rzadkich gości. Na ścianie po lewej stronie, tuż za drzwiami, wisiał powiększony plan całej bazy, a po prawej - tablica z rozkładem dyżurów.

Rudnick przecisnął się przez wąskie drzwi. Zrzucił płaszcz przeciwdeszczowy, krzywiąc twarz, kiedy dłoń zaplątała się w mokry rękaw, i położył okrycie na krześle dla gości. Potem zamknął drzwi na zasuwkę i zasiadł za biurkiem.

Popatrzył na swój okaleczony, obolały nadgarstek. Prawy kciuk, prawie dwa razy grubszy niż lewy, wykrzywił się do wnętrza dłoni. Środkowe palce były złączone, pokryte bliznami i dziwnie powykręcane, gdyż drobno połamane kości nie miały szans równo się zrosnąć. Małego palca nie było wcale; został ucięty u nasady. Rudnick ostrożnie zamknął pięść, zacisnął zęby, kiedy ból przeszył całe ramię. Sześć miesięcy i będzie po bólu, powiedział mu chirurg. To było dziesięć lat temu.

Lewą ręką otworzył środkową szufladę biurka i wyciągnął fiolkę tabletek i pudełko maaloksu. Wysypał z fiolki cztery kapsułki i dodał do nich pół tuzina płaskich pastylek na wrzody. Wyciągnął klucz z kieszeni marynarki, otworzył szufladę z dokumentami, wyjął opróżnioną do połowy ćwiartkę żytniówki i pociągnął długi łyk. Następnie zaczął połykać tabletki, każdą z nich popijając alkoholem. Kiedy skończył, wyciągnął się na krzesło i zamknął oczy, wciąż trzymając butelkę w ręku. Po raz setny powtórzył sobie, że musi wybrać się do szpitala, żeby coś mu poradził na te bóle żołądka. Jednak skoro ręka była w tak fatalnym stanie, a Kellerman dowiedziałaby się jeszcze o jego wrzodach, miałby wymówkę, żeby się go pozbyć. Rudnick nienawidził swojej pracy, ale wiedział, że w dzisiejszych czasach kaleki emerytowany gliniarz nie może liczyć na nic więcej. Nie będzie brał tabletek, dopóki nie przestaną skutkować, a wtedy... cóż, wtedy się zobaczy. W każdym razie jeszcze parę chwil i będzie po bólu. Przynajmniej na jakiś czas.

Paula St. George wymknęła się bezszelestnie z przepełnionego hałasem i dymem papierosowym biura Stowarzyszenia Greentree, mając nadzieję, że Ron nie zauważy jej zniknięcia. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, było ujrzeć go wybiegającego za nią jak zaniepokojona matka za dzieckiem i pytającego, dlaczego już wychodzi.

Zeszła na dół wąskimi schodami i wydostała się na zewnątrz przez odrapane drzwi niewielkiego starego budynku, stojącego w strefie przybrzeżnej w okręgu Vancouver. Lekka mżawka i względnie czyste powietrze na Hasting Street przynosiły ulgę po tym zebraniu. Dziewczyna przeszła przez ulicę i udała się wzdłuż Howe Street w stronę parking, na którym zostawiła swój samochód marki MG. Miarowe stukanie butów o mokry chodnik pomogło jej rozładować złość i rozgoryczenie.

Była wściekła. Przemyślała sobie wszystko dokładnie, nie chcąc niczego pozostawiać przypadkowi. Przez wiele godzin ćwiczyła swoje wystąpienie przed Radą Stowarzyszenia, lecz kiedy w końcu je wygłosiła, nikt jej nie słuchał. Wszyscy odnosili się do niej z pobłażaniem, jakby to, co mówiła, było jakąś głupią fantazją. Do tego jeszcze ten Ron! Facet z nią żył, a nawet nie miał dość odwagi, żeby ją poprzeć, tylko siedział z wyrazem zażenowania na tej swojej okrągłej twarzy wielkiego niemowlaka. Sprawiał wrażenie, jakby się wstydził za Paulę.

Zmarszczyła czoło, lecz nie zepsuło to niemal idealnej urody jej twarzy. Deszcz przyklejał jej długie czarne włosy do gładkich policzków. Pokiwała głową w odpowiedzi na własne myśli. Już czas. Ona i Ronald Bateman, wielce szanowny prezes Stowarzyszenia Greentree, nie będą już dłużej razem. Jeśli on zamierza dalej żyć w swoim świecie bzdurnych utopii z lat sześćdziesiątych, wierzyć w miłość i pokój, proszę bardzo, ale bez niej. Dostyc tego marzycielstwa. Jeśli chce się zmieniać świat, trzeba walczyć.

Dotarła wreszcie na parking i przerzuciła długie nogi przez próg niedużego, kanarkowożółtego samochodu. Przekręciła kluczyk w stacyjce i czekała, aż silnik się rozgrzeje, bębniąc długimi, pomalowanymi na żółto paznokciami w pokrytą drewnem kierownicę.

Mam w dupie całe Greentree, pomyślała. Odruchowo opuściła dźwigniękę ssania i silnik zwolnił obroty. Miała doskonały plan. Nikt inny - przynajmniej na tym zebraniu - nie przedstawił nic, co mogłoby się z nim równać. Istnieje wiele różnych organizacji walczących o ochronę środowiska, w samym Vancouver są co najmniej trzy. Stowarzyszenie Greentree odniosło porażkę już po raz trzeci. Nawet Ron był skłonny to przyznać.

Ostatnia prośba o dofinansowanie została odrzucona. Jeśli wkrótce nie znajdą nowych funduszy, Greentree będzie musiało się zwinąć i zniknie, podobnie jak tysiące innych organizacji prowadzonych przez półgłówków.

Może po prostu na to zasługują, pomyślała. Wielcy bojownicy. W ciągu dwóch lat nie zrobili prawie nic, jeśli nie liczyć jednej pikiety pod składowiskiem rtęci i pięciu badań nad obecnością hormonów płciowych w wołowie. Rany boskie!

Przygryzając wargę, rozmyślała o Ronie. Byli ze sobą od samego początku istnienia Greentree. Kiedyś było dobrze, ale potem wszystko się zmieniło. Nie wzbudzał w niej już takiego zainteresowania jak dawniej. Wygoda, jaką zapewniały jego dochody z firmy ubezpieczeniowej oraz wysoka pensja profesorska, dawno już jej się znudziła. Przyjemnie się mieszało w przestronnym mieszkaniu, niektóre przyjęcia urządzone przez jego znajomych były całkiem niezłe, ale jeśli dobrze się zastanowić, ich życie to w gruncie rzeczy potworna nuda. Ciągle rozmawiali o swoich planach, ale prawie nigdy ich nie realizowali. Być może nadszedł czas, aby z tym skończyć.

Wrzuciła wsteczny bieg i wykręciła. Zapłaciła parkingowemu i z ogłuszającym rykiem włączyła się do ruchu. Jechała ostro, ciągle zmieniając biegi, wciskając się pomiędzy samochodami. Kierowała się w stronę Burrard Bridge, do swojego mieszkania po drugiej stronie False Creek.

Wiedziona nagłym impulsem, przejechała jeszcze trzy skrzyżowania, po czym skręciła w jedną ze stromych uliczek West Endu. Słabym punktem jej planu było to, że nie bardzo wiedziała, jak ma dotrzeć tam, gdzie chce. Gdyby w jakiś sposób zdołała przekonać Rona, że jej plan jest realny, być może byłby teraz przy niej. Ale najpierw musi porozmawiać z Vince'em. Jeśli ktokolwiek jest w stanie ją zrozumieć, to z pewnością Vince Snyder.

Zatrzymała samochód przed odrapanym blokiem mieszkalnym i nacisnęła przycisk domofonu. Następnie wbiegła po schodach i zniknęła w drzwiach jednego z mieszkań na drugim piętrze.

Vincent Laidlaw Snyder przejrzał plik kartek, jaki mu wręczyła, jedną ręką powoli gładząc bujne jasne włosy rosnące na piersi. Siedział na materacu, który służył zarazem za łóżko i sofę w jego skromnym służbowym mieszkaniu. Paula zajęła jedyne krzesło, jakie stało w pokoju. Snyder dopiero co umył głowę i Paula starała się nie gapić na jego mokre, przylegające do ciała dzinsy. Nie było to łatwe. Jediną ozdobą mieszkania był plakat Jimmy'ego Hendriksa wycięty z magazynu „Dayglo” oraz artyleryjska mapa Wietnamu Południowego. Paula nie lubiła Hendriksa, patrząc na mapę zaś, dostrzegała tylko siatkę dziwacznych czerwonych linii i kropek. Nie miała pojęcia, co one oznaczają.

Wreszcie jej wzrok spoczął na Vincencie. Wyglądał na bardzo zaabsorbowanego. Kiedy czytał, Paula patrzyła na ruchy jego ręki, powoli przesuwającej się po muskularnej piersi; wreszcie spojrzała na jego spodnie, coraz bardziej wybrzuszone w kroku. Odwróciła wzrok, lecz nie dość szybko. Vince uśmiechnął się i położył plik papierów na podłodze.

- Niezłe - powiedział, a na jego wąskich ustach zagościł uśmiech. Oparł się o ścianę, nonszalancko rozkraczając nogi.

- Tak myślisz? - zapytała. Sama jego fizyczna obecność była dla niej denerwująca.

- Nie mówiłbym, że to jest niezłe, gdybym tak nie myślał - odparł powoli Snyder z wyraźnym kalifornijskim akcentem. Chociaż mieszkał w Kanadzie od sześciu lat, jego sposób mówienia niewiele się zmienił. Vince zdezerterował z cieszącej się złą sławą jednostki

taktycznej Czarnych Beretów, wchodzącej w skład sił specjalnych, i schronił się w Kanadzie. Nikt nie miał pewności, jaki był naprawdę powód jego ucieczki, lecz on od samego początku utrzymywał kontakty z grupami ekstremistów. Ron był prawie pewien, że Snyder jest wtyczką CIA, lecz Paula uważała te podejrzenia za paranoidalne. Wolała wierzyć w to, co mówił Vincent - że za jego ucieczką stały względy ideologiczne.

- Ale czy to jest wykonalne? - zapytała, pochylając się do przodu na krześle.

Snyder wzruszył ramionami. Wstał i oddał jej plik kartek. Kiedy je wręczał, ich palce spotkały się. Cofnęła natychmiast rękę i kartki rozsypały się po podłodze. Snyder wyszczerzył zęby i schylił się, żeby je pozbierać. Potem wstał i wręczył je ponownie.

- Zdenerwowana jesteś, czy co? - zapytał, siadając z powrotem na materacu.

- Troszeczkę.

Snyder roześmiał się. Jego śmiech miał nieprzyjemne brzmienie i zupełnie nie pasował do anielskiej twarzy, otoczonej gęstymi włosami w kolorze miodu.

- Nic dziwnego - stwierdził. - Niecodziennie planuje się zdobycie reaktora.

- Nie chcę go zdobyć - powiedziała Paula przepraszająco. - Tylko zająć. To będzie akt czysto polityczny.

- Zająć, zdobyć, na jedno wychodzi. Najpierw musisz się tam dostać.

- Czy to jest możliwe?

- Jasne. - Mężczyzna zamilkł, uśmiechając się. - Wszystko jest możliwe, jak się ma forszę. I czas.

- Forszę? - zdziwiła się Paula.

- Właśnie, forszę. - Popatrzył na nią z namysłem. - Myślisz o tym poważnie?

- Żebyś wiedział! Greentree właśnie tego potrzebuje. Rany! - W jej oczach pojawił się błysk. - Wyobrażasz sobie, co o nas napiszą w gazetach?!

- Tak, wyobrażam sobie - odparł chłodno Vincent. - Wyobrażam sobie także, co powie sędzia, kiedy to wszystko się skończy.

Paula stanowczo pokręciła głową.

- Nie ma mowy - stwierdziła. - To tylko zakłócenie porządku publicznego. Poza tym jesteśmy Kanadyjczykami. Dostaniemy najwyżej wyrok w zawieszeniu albo zostaniemy persona non grata i odprowadzą nas do granicy. Nie ma strachu.

- Może masz rację. - Snyder przez chwilę wpatrywał się w sufit, potem znów popatrzył na Paulę. - A forsa?

- Ale na co? - zapytała.

- Na zebranie informacji. Jakiś sprzęt. Byłem w Richland. To nie jest takie proste jak rozbięcie skarbonki.

- Mogę zdobyć forszę - powiedziała.

- Od Batemana? - spytał Snyder. - Nie łudź się. On jest za tchórzliwy na taką akcję.

- Zostaw to mnie, Vince. Wydaje mi się, że potrafię go przekonać. Powiedz tylko jedno: jeśli uda mi się go wciągnąć, czy wtedy będziesz chciał w tym uczestniczyć?

- Być może - odparł Snyder.

Wstał i odprowadził Paulę do drzwi. Otworzył je przed nią. Paula stała obok niego, niezdecydowana.

- Pomyślisz o tym? - zapytała w końcu.

- Pomyślę. Daj mi znać, jak zdobędziesz forszę od Ronniego. Nie ma sensu się w to pakować, dopóki nie mamy funduszy.

- Nie martw się - powiedziała zdecydowanie Paula.
- Ależ skąd. - Snyder uśmiechnął się. Wyciągnął rękę, chwycił Paulę za szyję i przyciągnął. Poczowała na skórze dotyk jego sztywnych, zimnych palców. Próbowała się wyrwać, ale tylko wzmocnił uścisk i przyciągnął ją bliżej. Ich usta spotkały się i poczuła, jak jego wytrenowany język wbija się w jej wargi, sięga głębiej, odbiera oddech. Vince wyciągnął drugą rękę, przesunął ją pomiędzy udami dziewczyny i sięgnął do jej jędrnych pośladków. Jego przedramię naciskało na krocze niczym żelazna sztaba. Dziewczyna poczuła, że odrywa się od ziemi. Później mężczyzna nagle zwolnił uścisk i wypchnął ją delikatnie na korytarz. Spoglądała na niego tępym wzrokiem.

- Chciałem, żeby wszystko było jasne - powiedział Snyder. Na jego ustach widniał uśmiech, lecz spojrzenie miał zimne i nieruchome. Zamknął powoli drzwi i Paula została sama na skąpo oświetlonej klatce schodowej.

Stała tam przez dłuższą chwilę, wpatrując się w drzwi. Potem odwróciła się i powlokła do windy.

Noc zapadała nad górami. Jedynym dźwiękiem przebijającym się poprzez padający deszcz był chóralny szum setek strumieni, spływających z topniejących lodowców Monashee i Selkirks, tak jak to się działo każdej wiosny, od milionów lat. Woda płynęła po stromych, porośniętych lasem stokach, tworząc strugi, które następnie wpadały do rzeki.

Rzeka zaś płynęła zawsze, odkąd płynęły strumienie. Jej potężny prąd wyrzeźbił wąski kanion w grubej warstwie granitu i cieńszej, miękkiej warstwie miki, drążąc coraz głębiej, ślepo brnąc do miejsca przeznaczenia, jakim był odległy o półtora tysiąca kilometrów ocean.

Lecz teraz ów bieg został zatrzymany.

Zapora stała niczym olbrzymi klin, wysoka prawie na trzysta metrów, tamując bieg rzeki jak gigantyczny opatrunek. Za zaporą gromadziła się woda spływająca z obszaru o powierzchni piętnastu tysięcy kilometrów kwadratowych, tworząc jezioro długie na dwieście kilometrów, w niektórych miejscach głębokie na dwieście metrów.

Pozornie niewzruszalne góry ugięły się pod naciskiem, jaki spowodowała działalność człowieka. Teraz, po prawie trzech tygodniach nieustającego deszczu, ziemia zaczynała się powoli osuwać.

Rozdział 2

14 czerwca

Kane leżał w zaciemnionym pokoju z głową wspartą na poduszce. Było już po północy i żar ich miłosnej gry dawno wygasł. Miejsce namiętności zajęła natrętna obawa, która wkradała się w jego myśli przez ostatnie kilka dni. Popatrzył na śpiącą postać leżącą obok niego.

Chuck. Miał wrażenie, że to imię zupełnie do niej nie pasuje. A przynajmniej niewiele o niej mówi, pomyślał Kane. Czasami wydawało się w sam raz: kiedy była ubrana oficjal-

nie albo kiedy nosiła swój dziennikarski uniform złożony z džinsów i skórzanej kurtki. Ale teraz, gdy tak leżała rozebrana, kiedy widać było, jak gładka, zaokrąglona linia ud łączy się w szeroką linię pleców, aby przejść w delikatną szyję, otoczoną potarganymi, ciemnorudymi włosami rozsypanymi na poduszce - teraz to imię wydawało się bez sensu.

Kane patrzył, jak dziewczyna nieznacznie porusza się przez sen, przewraca na drugi bok, odsłaniając małe piersi o ledwie widocznych w mroku brodawkach. Kane uśmiechnął się do siebie, zadowolony. Wiedział, co mu się w niej podobało, ale za nic nie mógł odgadnąć, dlaczego ona interesuje się nim. Łączyło ich tylko to, że oboje nałogowo grywali w bilard. Kane zmarszczył brwi. Mniejsza z tym. Miał dość własnych trosk, żeby jeszcze martwić się o jej uczucia względem niego. Wystarczyło mu, że teraz była przy nim.

Zapory. Zawsze chodziło o zapory. Odkąd tylko zaczął pracować nad systemami bezpieczeństwa zapór na Kolumbii, ta obawa go nie opuszczała. A co z tamami w Kanadzie?

Wyciągnął camela z paczki leżącej na stoliku przy łóżku i zapalił, próbując zignorować przykry smak, jaki pozostawiło pół tuzina papierosów wypalonych w ciągu ostatniej godziny. Zdawało mu się, że już po raz tysięczny próbuje uporządkować własne myśli. Musi istnieć jakiś logiczny, oczywisty powód, dla którego wciąż nie otrzymują informacji na temat kanadyjskich zapór.

Z amerykańskimi tamami szło łatwiej. Wystarczyło zadać pytanie, żeby otrzymać odpowiedź. Większość potrzebnych informacji znajdowała się w centralnym banku danych w dyrekcji Biura w Waszyngtonie. To, czego tam nie było, bez problemu zdobywało się w Instytucie Jakości albo w wojskowym korpusie inżynieryjnym. Wszystko szło jak po maśle. Lecz nawet najbardziej ogólne pytania dotyczące stanu albo choćby danych technicznych kanadyjskich zapór nie przynosiły żadnego odzewu. Komputer dawał odpowiedź w rodzaju „brak danych” albo „sprawdź w innym źródle”. Dzwoniąc do korpusu inżynieryjnego, otrzymywało się oschłą odpowiedź: „Teren nie podlega naszej kompetencji”.

Właśnie to go niepokoiło. Sytuacja była nie tyle śmieszna, ile niebezpieczna. Zapory i zbiorniki retencyjne na Kolumbii tworzyły system, w którym każdy element był zależny od pozostałych. Rzeka miała swoje źródła w Kanadzie, i tam też znajdowały się tamy stanowiące podstawę całego systemu. Jeśli po tamtej stronie granicy działo się coś złego, to wkrótce należało się spodziewać podobnych problemów w Stanach, na terenach, za które odpowiadał Kane. Myśląc o tym, wypluł odrobinę tytoniu, która została mu w ustach. Rzecz jasna, porozumienie w sprawie Kolumbii miało zostać odnowione, ale zagadnienia polityczne zupełnie go nie interesowały. Był geologiem i inżynierem i do wykonywania swojej pracy potrzebował rzetelnych danych geologicznych. Przede wszystkim miał pewność, że musi zachodzić jakaś wymiana informacji pomiędzy spółką British Columbia Hydro, kontrolującą kanadyjskie zapory, a analogiczną instytucją w Stanach, lecz jak dotąd nie udało mu się niczego ustalić. Początkowo brak danych był po prostu irytujący. Jego wysiłki szły przez to na marne. Lecz teraz wyglądało na to, że nie uda mu się dotrzeć do żadnych informacji, poza tymi, które dotąd zgromadził. To mu się nie podobało. W B.C. Hydro, w jego biurze, a także w korpusie inżynieryjnym - wszędzie wiedziano, że na północnym wybrzeżu Pacyfiku panują niecodzienne warunki atmosferyczne. Poziom wody we wszystkich zbiornikach na Kolumbii o metr przekraczał średni stan dla tej pory roku. Samo to było wystarczającym powodem do wszczęcia alarmu, lecz wyglądało na to, że nikt się tym nie przejmuje.

- Coś tu śmierdzi - powiedział do siebie.
Chuck, leżąca obok niego, poruszyła się.

- Żebyś wiedział - wymamrotała sennym głosem. - Śmierdzi od ciebie, jakbyś przez całą noc grał w bilard.

Kane odwrócił się i popatrzył na nią, zły na samego siebie, że przerwał jej sen.

- Przepraszam, że cię obudziłem - powiedział. Wyciągnął rękę i pogładził dziewczynę po włosach.

Odrząciła jego rękę i usiadła na łóżku.

- Nie spałam - odparła. - Leżałam z zamkniętymi oczami i słuchałam, jak rozmyślasz. Czym ty się, do cholery, tak martwisz?

- Niczym - powiedział Kane. - Mam problemy w pracy. Śpij.

- Nie zamierzam. Chcę papierosa. I chcę, żebyś mi powiedział, co cię dręczy. - Z paczki leżącej na stoliku wyciągnęła papierosa o niskiej zawartości nikotyny. Zapaliła i usiadła ze skrzyżowanymi nogami. - No dalej, wal - powiedziała z entuzjazmem.

Kane roześmiał się.

- Co to ma być, wywiad? - zapytał.

- Zgadłeś, mój Johnny. No już, nawijaj.

- Mówiłem ci, że to nic takiego. Mam problemy w pracy. Potrzebuję pewnych informacji i nie mogę ich zdobyć, to wszystko. - Kane położył się i zamknął oczy.

- Jakich informacji? - spytała Chuck. - Może ja mogłabym je dla ciebie zdobyć. - Po chwili dodała, przybierając przesadny niemiecki akcent: - My, dziennikarze, mamy swoje metody.

- Co mi powiesz na temat wyników badań geologicznych prowadzonych przy budowie zapór w High Revelstoke, Kinleyside i Mica w okręgu Kolumbia Brytyjska? - zapytał Kane z odrobiną goryczy w głosie.

- Na co ci takie bzdury? - spytała Chuck. - Co cię obchodzą kanadyjskie zapory? Jesteśmy w Stanach, nie?

- Owszem. One są poza zasięgiem moich kompetencji - stwierdził Kane. - A przynajmniej tak mi powiedziano.

- No i co? - Chuck wzruszyła ramionami. - Daj sobie spokój.

- Jak, do cholery, mam sobie dać spokój? Mój teren czy nie, to jest część mojej pracy. Kanadyjskie zapory są częścią systemu wodnego Kolumbii, i to niezmiernie ważną. Jeśli się nie dowiem, co tam się dzieje, w jaki sposób mam opracować zalecenia dla Amerykanów?

- A co się dzieje z kanadyjskimi tamami? - spytała Chuck.

- W tym cały problem. - Kane zapalił następnego camela, ostatniego w paczce. - Prawdopodobnie nic. Ale nie mam pewności i nie mogę się z tym pogodzić. Ostatnio ciągle padał deszcz, i... cóż, deszcz raczej nie służy zaporom ziemnym.

- Myślisz, że mogą się zawalić, czy co? - zapytała Chuck. W jej głosie słychać było cień zawodowego zainteresowania.

W Kanie odezwał się głos państwowego urzędnika, wysyłając ostrzeżenie, lecz zignorował je.

- Poczekaj, tego nie powiedziałem. Czasami nie przepadam za swoją pracą, ale to jedyna, jaką mam, więc przestań węszyć sensację. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję, to jakiś wyssany z palca artykuł o groźbie zawalenia kanadyjskich tam.

- To nie będzie artykuł wyssany z palca, panie Kane. Nie piszę nic, dopóki nie zbiorę rzetelnych informacji, więc zejdź ze mnie. - Chuck ze złością zgasiła papierosa w popielniczce, którą Kane trzymał na piersi.

- Przepraszam - powiedział - jestem trochę przewrażliwiony.

- Dobrze już, dobrze. Chciałam ci tylko pomóc, nic więcej.

Kane wyciągnął rękę i pogładził delikatnie jej nogę.

- Mówiłem już, że przepraszam - szepnął.

Zapadło długie milczenie.

- Są dowody? Ktoś wpadł w panikę? - spytała w końcu Chuck.

- A ty znów swoje! - Kane roześmiał się. - Nie, nie sądzę, żeby ktoś chciał coś ukryć. Po prostu ostatnio jakoś mi nie idzie, a poza tym wiem, że wszyscy wolą zachować ostrożność przed podpisaniem nowego porozumienia. Kanadyjczycy zaczęli narzekać pięć minut po podpisaniu wstępnej umowy, więc podejrzewam, że nasze władze wołałyby, żeby ktoś taki jak ja nie wściubiał w to nosa. To wszystko. Żadnych dowodów, mój kwiatuszku.

- Ale nadal zależy ci na informacjach, prawda?

Kane westchnął.

- Owszem, zależy mi.

- Więc mogę ci pomóc, tak jak powiedziałam.

- Jak? - zapytał Kane poirytowany. - Co ty możesz wiedzieć na temat zapór?

- Nic a nic - odparła Chuck dziwnie spokojnym głosem. - Ale znam paru ludzi. Szczególnie jednego. Faceta nazwiskiem Halleran.

- Halleran? Nigdy o nim nie słyszałem.

- Nic dziwnego. To dziennikarz, Kanadyjczyk. Zajmuje się ochroną środowiska. O ile pamiętam, zbiera wiadomości na temat zapór na Kolumbii. Spotkałam go parę razy. Mogę się z nim skontaktować, jeśli chcesz.

- Jasne - mruknął Kane. - Skończycie rozmawiać, a on za parę minut już będzie pisał artykuł. Dziękuję bardzo.

- Jeśli sadzisz, że dziennikarze to tacy podli ludzie, to po co się za mną uganasz? - parsknęła Chuck. - Niech cię diabli! Pomyślałam tylko, że on mógłby coś wiedzieć, nic poza tym!

- O rany, przepraszam cię - wymamrotał Kane. Usiłował powstrzymać się od ziewnięcia, ale mu się nie udało. - Doceniam twój pomysł, ale...

- Dobra, dobra. - Chuck położyła się z powrotem. - Wszystko jasne. Gdybyś się jednak namyślił, daj mi znać, okay?

- Okay. - Kane nagle się uśmiechnął. Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę, a potem on wyciągnął niepewnie dłoń i przesunął delikatnie po jej piersiach i brzuchu. Zadrżała i przytuliła się do niego.

- Rozejm? - szepnął jej Kane do ucha.

- Rozejm - mruknęła. Chwyciła go za szyję i wciągnęła na siebie, zapraszająco rozchyłając uda. Zagłębił się w niej jednym ruchem, a ona przywarła do niego rozgrzanymi łydkami i skrzyżowała stopy na jego plecach. Łagodne kołysanie odsunęło od niego wszelkie obawy, niczym tchnienie wiatru poprzedzające pierwszą wiosenną burzę.

Rudnick siedział na wytartym fotelu, trzymając w ręku szklankę piwa imbirowego wzmocnionego żytniówką. Obok niego, na stoliku spoczywała chromowana popielniczka z wystygłą resztką papierosa.

Mężczyzna wpatrywał się tępo w okno, przed którym siedział. Pierwsze cztery litery wielkiego szyldu Richland Motor Inn z naprzeciwka oświetlały jego służbowe mieszkanie na przemian zielonym i żółtym blaskiem.

Oprócz fotela, na którym siedział, w pokoju znajdowały się jeszcze dwa meble - składane łóżko przy ścianie po prawej i plastikowy stolik po lewej, stojący obok przejścia do łazienki i kuchni. Na stoliku widniały pamiątki dumnej przeszłości Rudnicka: dwie oprawione w skórę fotografie. Jedna przedstawiała rozdanie dyplomów akademii policyjnej, a na drugiej był Rudnick, znacznie młodszy, obejmujący kurczowo jakąś dziewczynę na plaży. Obok zdjęć, ułożone w rządek, leżały: brązowa odznaka detektywa, Order Purpurowego Serca, który Rudnick dostał w Korei, kiedy szrapnel wbił mu się w udo, wreszcie pozłacana półdolarówka z wizerunkiem Kennedy'ego, którą otrzymał, odchodząc na emeryturę.

Emerytura. Rudnick popatrzył na przedmioty ustawione na stoliku i roześmiał się. Ściany pokoju zrobiły się zielone, potem żółte, a jemu zdawało się, że jest w hotelu Conrad Clinton, w czerwcu sześćdziesiątego ósmego roku.

Od samego początku wiedzieli, że może być źle. Przynajmniej Rudnick o tym wiedział. Po pierwsze, zaczynało się robić gorąco, a to w Chicago zawsze oznaczało kłopoty. Opowieści, jakie wtedy krążyły, tylko pogarszały sprawę. Zbliżający się kongres demokratów miał być prawdziwą bitwą. Kamery telewizyjne ciągle pokazywały ekstremistów, hipisów i innych czubków ściągających zewsząd do miasta.

Na samym początku, jeszcze przed rozpoczęciem kongresu, wokół całego wydarzenia panowała iście karnawałowa atmosfera: hipisi pokazywali się przed kamerami w kolorowych strojach, Jerry Rubin demonstrował ciosy karate, a wszyscy mieszkańcy Chicago udawali porządnymi obywateli.

Na dzień przed kongresem Rudnick przespacerował się po parku okalającym hotel, przeciskając się przez tłum młodych, długowłosych ludzi, wyciągniętych na śpiworach, obejmujących swoje kobiety. Chociaż miał na sobie cywilne ubranie, wszyscy wiedzieli, kim jest i to mu sprawiało przyjemność. Był policjantem w każdym calu i cieszył się, że to po nim widać. Większość młodych ludzi posłusznie schodziła mu z drogi. Wszyscy z wyjątkiem jednego. Przerażliwie chudy chłopak z włosami do ramion zatarasował mu drogę.

- Przepraszam - powiedział Rudnick, uśmiechając się.
- Gównu - powiedział chłopak. - Gównu jesteś.
- Oczywiście - przyznał Rudnick. - A teraz zejdź mi z drogi.
- Pierdol się, świniu. - Chłopak popatrzył na niego małymi czarnymi oczkami. Dookoła zaczął się gromadzić tłum ciekawskich.

Daj spokój, zejdź mi z drogi - powiedział Rudnick, powoli cedząc słowa, starając się, aby jego głos brzmiał uprzejmie.

Tłum gapiów rósł coraz szybciej i chłopak widocznie uznał, że ma widownię, przed którą może się popisać. Chwyił się za głowę i przewrócił oczami.

- Ojej! Nasz śliczny grubasek chyba się zdenerwował! - jęknął teatralnie. Rudnick stracił cierpliwość. Postąpił krok naprzód i chwycił chłopaka za szyję, przyciągając jego kościstą twarz do swojej, władczej.

- Jeszcze się nie zdenerwowałem - syknął. - Ale przyjdzie czas, że cię dopadnę, skopię tę chudą dupę, uknęczę twoje pierdolone jaja i wsadzę ci je do gardła. Zrozumiano?

Odepchnął chłopaka i odszedł tą samą drogą, którą przyszedł, z trudem opanowując gniew. Za plecami słyszał narastający śmiech gapiów.

Następnego ranka na apelu zgłosił się na ochotnika do nadzorowania kongresu, jeszcze zanim kapitan o to poprosił. Jeśli ma dojść do zamieszek, chciał przy nich być.

W czasie akcji Rudnick przeszedł samego siebie. Zdawało się, że gryząca woń gazu łzawiącego dodaje mu energii, którą natychmiast wykorzystuje, wlokąc młodych ludzi do czekających furgonetek policyjnych. Było to niemalże religijne przeżycie. Czuł niezwykle podniecenie, przebijając się łokciami przez tłum; wyglądał jak anioł mściciel, a przynajmniej tak to sobie wyobrażał. Wtedy spostrzegł chłopaka, którego spotkał w parku, a chłopak zobaczył jego. Zauważył też plamę krwi na białej koszuli Rudnicka. Odwrócił się i rzucił do ucieczki.

Ale z niego John Wayne, pomyślał Rudnick, podążając za umykającą postacią. Czuł, że jest pasterzem, a tamten chłopak - owcą, którą należy oddzielić od stada i ubić. Nie mógł się już doczekać tego ostatniego.

Wydostał się poza rejon zamieszek, odpychając na bok każdego, kto stanął mu na drodze. Chłopak skręcił w zaułek. Rudnick znał to miejsce. Była to ślepa uliczka, pełna pojemników na śmieci. Uśmiechnął się i zwolnił kroku.

- Znów się spotykamy - warknął.

Chłopak schował się za pojemnikiem, wytrzeszczając oczy ze strachu. Jego pierś falowała, jakby nie mógł złapać tchu.

- Mówiłem ci, dupku - powiedział Rudnick uprzejmym głosem. - Mówiłem ci, co cię spotka.

Przystanął kilka kroków od przerażonego chłopaka i czekał. Młody człowiek zamarkował uskok w lewo i rzucił się w prawo. Ramię Rudnicka zagroziło mu drogę niczym żelazna sztaba. Chłopak wydał z siebie coś pomiędzy kaszlnięciem a krzykiem rozpaczony i upadł na kolana, drżąc. Rudnick stanął przed nim i kopnął go z całej siły w brzuch. Tamten osunął się z jękiem. Rudnick wziął głęboki oddech i najmocniej jak potrafił kopnął chłopaka między nogi. Tamten otworzył usta, lecz krzyk uwięził mu w gardle.

- Cicho! - zganił go Rudnick, zadowolony ze swojego dzieła. Rzucił jeszcze raz okiem i odszedł.

U wylotu zaułka stało pięć sylwetek, oświetlonych blaskiem latarki.

- Widzieliśmy cię, świni - odezwał się głos.

Rudnickowi zdawało się, że widzi błysk stali w ręku jednej z postaci. Instynktownie sięgnął po pistolet ukryty pod klapą marynarki. Zanim zdążył go wyciągnąć, postać stojąca pośrodku podbiegła do niego i z wysokości wymierzyła mu kopniaka w skroń. Policjant znalazł się na ziemi, obok chłopaka, którego przed chwilą pobił. Próbował wstać, ale pozostali napastnicy obiegli go niczym stado szakali i szarpali zawzięcie. Poczuł, jak ciężki but przygniata mu klatkę piersiową, usłyszał wyraźnie trzask łamanego żebra. Szarpał się konwulsyjnie, ale nie był w stanie się uwolnić. Wreszcie napastnicy zdołali go obezwładnić. Dwóch trzymało jego prawą rękę. Usłyszał ciche zgrzytnięcie, a potem głos, cienki, prawie dziewczęcy.

- Tak, właśnie tak - powiedział cicho głos.

Nagle Rudnick poczuł przeraźliwy ból w małym palcu. Próbował wyszarpnąć rękę, ale nie dał rady.

- Ostre. Za ostre jak dla ciebie, świniu - powiedział głos. - Dla ciebie powinno być tępe, bardzo tępe. - Znów poczuł ból w palcu. Poczzerwieniało mu w oczach, kiedy ostrze zagłębiło się w ciele i zazgrzytało o kość. Ktoś zakasłał i nacisk na ostrze wzmożł się. Rudnick zemdłał. Nie czuł już, jak napastnicy odcinają mu palec ani nie słyszał potwornego chrzęstu, jaki wydawały kości, miażdżone ciężkim, twardym obcasem. Z jego dłoni pozostała tylko krwawa bezkształtna masa.

Rudnick obudził się, drżąc, z twarzą mokrą od potu. Zdrętwiała mu ręka. Podniósł ją delikatnie z wytartej poręczy fotela. Pokręcił nieprzytomnie głową.

Nikt nie chciał kalekiego gliniarza. Zatrudnienie go byłoby niezgodne z regulaminem. Przyznano mu pełnopłatną emeryturę. Początkowo utrzymywał się z pieniędzy, które dostawał z ubezpieczenia za zmasakrowaną rękę. Kiedy pieniądze się skończyły, wyjechał z Chicago. Nie miał żony, dzieci ani domu. Nigdy wcześniej tego nie potrzebował. Przecież miał pracę.

Nie miał większych problemów z zatrudnieniem się. Dobry gliniarz zawsze znajdzie robotę w ochronie. Jednak nie był pewien, czy praca, jaką zaoferowano mu w Richland, jest rzeczywiście dobra. Od samego początku miał wiele wątpliwości. Z Kellermanem nigdy mu się nie układało, ale płacili mu całkiem nieźle, a poza tym osiągnął już wiek, w którym nie ma się większego wyboru. To było pięć lat temu. Przyjął tę posadę, lecz Richland nigdy nie stało się jego domem, a za przyjaciół miał jedynie garstkę starych pijaków.

Patrzył przez okno na mrugający szyld, rozmyślając o tamtym chłopaku. Czy on jeszcze pamięta? Pewnie nie. Rudnick chwycił pustą flaszkę za szyjkę i cisnął ją przed siebie. Rozbiła się z brzękiem na przeciwległej ścianie.

- A więc mamy problem? - zapytał mężczyzna w szarym garniturze.

Na zewnątrz zapadał zmierzch, lecz w biurze jeszcze nie paliło się światło. Półmrok najwyraźniej odpowiadał obu rozmówcom.

- Nawet dwa. Sprawdziliśmy najnowsze dane z satelity. Cały stok zaczyna się osuwać.

- Jak duży teren wchodzi w grę?

- Szeroki na kilometr, wysoki na pół. Trudno powiedzieć, jak głęboki.

- Czy pańscy ludzie o tym wiedzą?

Mężczyzna w mundurze pokręcił głową.

- Nie. Nie można powiedzieć nic pewnego, dopóki nie sprawdzi się aktualnego pomiaru i nie porówna z poprzednim. Prędkość osuwania się ziemi można określić tylko za pomocą analiz komputerowych.

- To już coś. - Mężczyzna w szarym garniturze podrapał się prawym kciukiem po czole. - Ile ta prędkość może wynosić?

- Około centymetra dziennie, może mniej.

- Czy to niebezpieczne?

- Tak. To bardzo niestabilny teren i sytuacja robi się coraz gorsza.

- Ile to jeszcze potrwa?

Mężczyzna w mundurze wzruszył ramionami.

- Najwyżej pięć tygodni. Może krócej, jeśli wkrótce nie przestanie padać.

- A więc w pierwszym tygodniu lipca powinniśmy... przystąpić do akcji ratunkowej.

- Tak, najpóźniej - zgodził się mężczyzna w mundurze.

Ten w szarym garniturze zaczął bębnić palcami o blat biurka, rozmyślając.

- A drugi problem? - zapytał w końcu.
- Właśnie. Ktoś z Biura Kontroli i Bezpieczeństwa zaczął węszyć - odparł mężczyzna w mundurze.

Jego rozmówca pokiwał głową.

- Wiem, to ten Kane. Nam też zadawał kłopotliwe pytania.

- Czy możemy coś z tym zrobić?

Mężczyzna w szarym garniturze zmarszczył czoło. Potem nagłym ruchem zerwał się z krzesła.

- Tak. Proszę mi to zostawić. Myślę, że od tej chwili powinniśmy widywać się wyłącznie przy okazji załatwiania oficjalnych spraw, najlepiej w towarzystwie innych ludzi.

- Rozumiem - odparł oficer, wstając.

- Nie sądzę, żeby pan rozumiał.

Mężczyzna w mundurze przez chwilę czekał niezdecydowany, zastanawiając się, czy powinien uściśnąć tamtemu rękę. Wreszcie zrezygnował i wyszedł z biura. Kiedy drzwi zamknęły się za nim, człowiek w szarym garniturze chwycił za słuchawkę i zadzwonił do Langley w stanie Wirginia.

- Gdzie ty, do cholery, byłeś? - zapytał Ronald Bateman. Wpatrywał się tępo w Paulę St. George, która właśnie weszła do sypialni. Bateman siedział na łóżku w wytartym żółtym szlafroku, narzuconym na wąskie ramiona. W rękę trzymał ołówek oraz pomięty egzemplarz *Cichej wiosny* Racheli Carson. Całe łóżko było usłane dokumentami i notatkami. Paula ziewnęła i podeszła do toaletki stojącej przy przeciwległej ścianie pokoju. Usiadła, przez chwilę patrzyła na odbicie Batemana w lustrze, potem wzięła grzebień i zaczęła rozczesywać mokre, splątane włosy.

- Pytałem, gdzie byłeś - powiedział Bateman.

- Wysłałem - odparła chłodno. - Jeździłam sobie. Nie masz się na co wkurzać.

- Martwiłem się - powiedział Bateman. - Już prawie druga w nocy.

- Wiem, która godzina, Ron - odparła Paula. Wstała i zaczęła się rozbierać. Popatrzyła na reakcję Batemana. Nie było żadnej. Vince'a z pewnością by to ruszyło. Przyknęła oczy i przez chwilę znów czuła jego dotyk. Na samo wspomnienie zadrżała.

- Widzisz? - odezwał się Bateman, zaniepokojony. - Masz dreszcze.

- Na litość boską! - krzyknęła Paula. - Mówisz całkiem jak moja matka! - Usiadła z powrotem, rozebrana, i zaczęła uważnie studiować swoją twarz, szukając wyprysków.

- Jestem zaniepokojony, Paula, nic więcej. Niepotrzebnie się na mnie złościś. Nie było cię, kiedy zebranie dobiegło końca, a kiedy wyszedłem, nie było twojego samochodu. To się zdarzyło prawie osiem godzin temu. Czy nie sądzisz, że mam prawo być zaniepokojony?

- Tak, oczywiście - mruknęła Paula. - Poważnie zaniepokojony. Może pojechałam się z kimś zabawić. Swoją drogą, nie mam pojęcia, dlaczego cię to interesuje. Wygląda na to, że nigdy nie przywiązywałeś wagi do tych rzeczy.

- To, co mówisz, jest krzywdzące i niepotrzebne. - Twarz Batemana poczerwieniała.

Paula wzruszyła ramionami.

- Ale to prawda. - Zaczęła zmywać makijaż.

- Życie nie jest nieustannym pasmem orgazmów. Wiesz o tym, Paula - powiedział Bateman protekcyjnym tonem. - Musiałem pracować, i to ciężko.

- Nad czym? - spytała Paula ze złością. - Nad kolejnym artykułem o tym, jaki wstrętny i niedobry jest przemysł? O wyczerpaniu surowców mineralnych?

- Coś w tym rodzaju - odparł Bateman. - Nie podoba ci się?

Paula rzuciła na toaletkę pęk zużytych płatków do zmywania makijażu i odwróciła się gwałtownie.

- Zebyś wiedział! - krzyknęła. - To nas donikąd nie prowadzi, i doskonale o tym wiesz! Potrzebujemy jakiejś spektakularnej akcji!

- Domyślam się, że mówisz o tym planie, który przedstawiłaś wczoraj na zebraniu - powiedział Bateman, ziewając.

- Tak! Właśnie o tym mówię!

- Twój plan został odrzucony, Paula. Demokratycznie.

- Gówno prawda! Gdybyś poparł mnie chociaż trochę, może zmieniliby zdanie. A ty co? Siedziałeś tam jak ciele w rzeźni!

- Nie popadaj w przesadę - odparł Bateman. - Pomysł zajęcia amerykańskiej bazy nuklearnej jest nie tylko idiotyczny, ale przede wszystkim wysoce niebezpieczny. Poza tym, czemu miałyby to służyć?

- Zdobylibyśmy rozgłos. Wpływy, Ronaldzie Bateman. Właśnie o to chodzi w tej grze, jeśli jeszcze na to nie wpadłeś. Nikt cię nie słucha, jeśli tracisz czas na pisanie petycji i zwoływanie komitetów.

- Jesteśmy ekologami, nie terrorystami. Twój pomysł jest całkiem niedorzeczny - powiedział Bateman z naciskiem.

- Niektórzy są innego zdania. - Głos Pauli zabrzmiał szorstko.

Bateman nagle podniósł wzrok i zmarszczył czoło.

- Co to niby ma oznaczać?

- Vince uważa, że mój plan ma szansę powodzenia - odparła z krzywym uśmiechem.

Bateman odłożył książkę, nie odrywając wzroku od Pauli.

- Vince Snyder? Kiedy się z nim widziałeś?

- Dzisiaj po południu - powiedziała Paula. - Opowiedziałam mu o swoim planie. Według niego jest całkiem realny. Zamierzam się z nim jeszcze spotkać, żeby to przedyskutować.

- A więc to tak spędziłaś wieczór? - zapytał Bateman, cedząc każde słowo.

Paula przez chwilę zwlekała z odpowiedzią, ciesząc się swoją przewagą, wreszcie pokręciła głową.

- Nie martw się. Byłam u niego tylko przez pół godziny.

- Ach tak - odparł Bateman, nie do końca przekonany.

Paula wydała przeciągły, teatralny jęk.

- O Boże, Ron! Vince nawet mnie nie dotknął - skłamała.

- Nie chcę, żebyś się z nim znowu spotykała - wykrztusił Bateman, starając się nie podnosić głosu. - Ten człowiek jest niebezpieczny.

- Dlaczego? - spytała chłodno Paula. - Dlatego, że ma odwagę pochwalić coś, co mu się podoba? On nie jest niebezpieczny, tylko bystry.

- Po prostu trzymaj się od niego z daleka - powiedział Bateman. - Nie ufam mu.

- Jeśli chodzi o mnie? - Paula roześmiała się. - Boisz się, że on ci mnie odbierze? Doprawdy, Ron. Przecież sam mi tłumaczyłeś, że zazdrość jest oznaką niedojrzałości.

- Nie jestem zazdrosny. Mam na uwadze wyłącznie twoje dobro.

- Rany boskie! - jęknęła Paula. - Teraz mówisz całkiem jak mój ojciec!
- Gaś światło i kładź się - powiedział Bateman.

Później, w ciemności, poczuła jego ręce niezdarnie błędzące po swoim ciele, zupełnie jak dwa ślepe zwierzątka. Kiedy Bateman wtoczył się na nią i zaczął się mocować z jej nogami, Paula zastanawiała się, czy to przypadkiem nie myśl, że Vince mógł z nią to zrobić, podnieciła go. Próbowała sobie wyobrazić, jak by to było: czuć nacisk twardych ud Vince'a, czuć, jak jego silny członek wbija się w jej ciało. Zanim zdążyła to sobie uzmysłowić, Bateman zawył z rozkoszy. Chwilę później już chrapał donośnie.

Czekała, dopóki nie nabrała pewności, że Ron śpi. Wówczas znów wyobraziła sobie Vince'a i zastępując jego ciało własnymi palcami, doszła do cudownego orgazmu, tłumiąc jęki rozkoszy poduszką.

Kiedy niebo nad Monashee zaczęło się przejaśniać, pierwsze oznaki osunięcia ziemi stały się dobrze widoczne. Karłowate drzewa i krzewy rosnące nad brzegiem jeziora pochyliły się nad wodą, a tu i ówdzie pomiędzy nimi widać było ślady niewielkich lawin schodzących po stoku.

Jednak nikt nie wszczął alarmu. Nie zainstalowano żadnych mierników terenu, czujników drgań czy choćby kamer wideo w odległości większej niż sześć kilometrów od zapory. Systemy ostrzegawcze znajdowały się pięć kilometrów od miejsca, gdzie olbrzymia masa ziemi ześlizgiwała się z wolna w koryto Kolumbii.

Kiedy pierwsze kłęby porannej mgły zaczęły zasnuwać drzewa, woda u podnóża stoku połyskiwała w słońcu. W porannym, rześkim powietrzu panowała zupełna cisza, przezywana jedynie zajadłym krzykiem orła szybującego trzy kilometry wyżej.

Rozdział 3

27 czerwca

Kiedy DC-9 z wolna obniżał lot, aby rozpocząć podchodzenie do lądowania na lotnisku Sea Island w Vancouver, Jonathan Kane znów poczuł bolesny skurecz w żołądku. Po raz dwa tysiące siedemsetny powtórzył to, co robił w każdej sekundzie trwającego czterdzieści pięć minut lotu z Seattle: przeklął samego siebie za to, że w końcu przystał na namowy Chuck i zgodził się odwiedzić Hallerana. Bądź co bądź, to nie była jego sprawa. Poza tym Kane najbardziej na świecie nienawidził latania.

Od dwóch tygodni nie zdobył nic, jeśli nie liczyć paru wykrętnych odpowiedzi. Wszelkie wiarygodne metody zdobywania informacji na temat zapór na Kolumbii rozbijały się o mur biurokracji. Sprawę pogarszała ograniczona ilość czasu, jaki mógł temu poświęcić. Chociaż zagadka kanadyjskich tam nie dawała mu spokoju, chcąc trzymać się regulaminu, musiał przede wszystkim zajmować się opracowywaniem raportu z przeprowadzonej inspekcji. Przynajmniej to jedno nie nastroczało problemów.

Jednak trudności i tak piętrzyły się przed Kane'em. Wydawało się oczywiste, że jeśli raport ma być kompletny, musi zawierać rzetelne dane na temat kanadyjskich zapór.

Lecz po dwóch tygodniach starań wyglądało na to, że pozostał mu już tylko jeden sposób zdobycia informacji.

Kiedy mijały kolejne dni, w Kanie narastała frustracja i podejrzliwość. Jego początkowe przypuszczenia - że rozmaite instytucje zaangażowane w podpisanie porozumienia wołały niczego nie ujawniać przed zakończeniem negocjacji - nie miały już większego sensu. Chuck na własną rękę przeprowadził małe śledztwo i dowiedziała się od Hallerana, że niektóre informacje dotyczące kanadyjskich tam od dawna są utajnione. Halleran przysłał jej zbiór wycinków prasowych, opisujących zaporę w Mica od momentu jej powstania. Początkowe doniesienia, jakoby tama została ulokowana w niebezpiecznym punkcie, zdementowały władze Kolumbii Brytyjskiej, wyniki badań geologicznych zaś nigdy nie zostały opublikowane. O całej historii zapomniano wiele lat temu, lecz przypomniano sobie o niej, kiedy B.C. Hydro rozpoczęło prace w High Revelstoke. W prasie rozpętano kolejną kampanię przeciwko niebezpiecznemu usytuowaniu tamy, lecz i tym razem sprawa wkrótce przycichła. O ile Kane się orientował, nikt nigdy nie udzielił wyczerpującej odpowiedzi na pytania stawiane przez dziennikarzy.

Postanowił działać. Dokończył raport z inspekcji, powiedział Gladys, że bierze tydzień urlopu i pojechał do domu, zabierając ze sobą wszystkie akta. Rozrzucił je w swoim pokoju i zaczął się przekopywać przez sterty bezowocnej korespondencji i zapiski z rozmów telefonicznych. W końcu zrozumiał, do czego zmierza. Nie szukał już informacji; szukał dowodów mających potwierdzić coś, o czym jeszcze nie do końca był przekonany. Na pewno wiedział tylko, że coś jest nie tak i że zbyt wielu ludzi próbuje to przed nim ukryć.

Z jednej strony zdawał sobie sprawę, że dla własnego dobra powinien zwyczajnie dać temu spokój i wrócić do codziennych obowiązków. Bądź co bądź, deszcz już ustał i prawdopodobnie nie było żadnego zagrożenia. Przez ostatnie dziesięć dni świeciło słońce, a temperatura była typowa dla tej pory roku. Za kilka tygodni poziom wody powinien wrócić do normy. Lecz z drugiej strony odzywał się w nim upór, dzięki któremu skończył studia, przetrwał w Wietnamie, zrobił doktorat czy wreszcie wytrzymał tak długo z Ruth. Ten upór nie pozwalał mu się poddać. Prawdopodobnie niebezpieczeństwo minęło, ale co będzie za rok? Ostatecznie upór zwyciężył i Chuck zadzwoniła do Hallerana, żeby umówić spotkanie na poniedziałek. Ten dziennikarz był dla Kane'a ostatnią szansą.

Jakaś masochistyczna potrzeba kazała mu wyrzec przez okno na kanadyjski Ocean Spokojny, kiedy samolot przelatywał nad Wybrzeżem Jesiotrów. Wydawało się, że od powierzchni oceanu dzieli go zaledwie parę metrów. Później na miejscu wody nagle pojawiła się trawa, wreszcie asfalt. Jeszcze tylko wstrząs, od którego zabolowały wszystkie kości, i już było po wszystkim. Piętnaście minut później Kane siedział w taksówce wiozącej go przez Knight Street Bridge w stronę centrum Vancouver.

Regionalny oddział Kanadyjskiej Korporacji Telewizyjnej znajdował się w samym śródku miasta, w potężnej betonowej budowlu pokrytej lustrzanym szkłem. Kane nie spodziewał się, że siedziba oddziału będzie tak wielka i spędził dwadzieścia minut, szukając biura Hallerana w labiryncie pokoi i korytarzy na trzecim piętrze. Kiedy

wreszcie

je znalazł, drzwi były zamknięte na głucho.

Kane zapukał.

- Nie ma mnie - dobiegł ze środka skrzekliwy głos. Był to głos człowieka, który albo palił za dużo papierosów, albo właśnie najadł się drutu kolczastego.

Kane stał dalej pod drzwiami.

- Nazywam się Jon Kane. Jestem z Seattle - powiedział wreszcie. Za drzwiami panowała cisza.

- I co z tego? - odparł głos po dłuższej chwili.

- Przyszedłem się z panem spotkać. Umówiła nas Charlene Daly. - Znów zapadła cisza, wreszcie głos zaskrzeczał:

- Dobra, włącz pan.

Kane otworzył drzwi.

W porównaniu z wnętrzem, które zobaczył, jego dom wydawał się całkiem zadbany. Wzdłuż trzech ścian ustawione były stoły, a na każdym z nich leżała sterta egzemplarzy „Vancouver Sun” oraz „Province”. Tu i ówdzie spod gazet wystawało coś, co wyglądało jak teczki, których zawartość była rozrzucona po całym pokoju. Przy drzwiach stała odrapana zielona szafka z dokumentami, które nie mieściły się już nawet w otwartych szufladach. Najwięcej miejsca zajmował olbrzymi wyblakły plakat, przedstawiający staro i potwornie wychudzonego konia. Obok plakatu siedział Halleran, opierając na stole nogi w kowbojskich butach. Podniósł wzrok i odchylił rondo przepoconego kapełusza, ukazując okrągłą twarz w okularach, o wysokim czole przechodzącym w łysą czaszkę. Miał na sobie obciste, wyświechtane dżinsy, a kołnierz koszuli zdobiła apaszka, która prawdopodobnie służyła mu jednocześnie za chustkę do nosa.

- Proszę się nie obawiać, jestem tylko ekscentrykiem. - Halleran uśmiechnął się szeroko, ukazując złote plomby w przednich zębach. - Proszę, siadaj pan.

Kane rozejrzał się dokoła. W zasięgu wzroku nie było żadnego krzesła.

- Gdzie? - zapytał.

Halleran zahaczył butem o stos gazet leżących na stole, zrzucił je na podłogę i wskazał kawałek wolnego miejsca.

- Tutaj - powiedział.

Kane usiadł.

Halleran przyjrzał mu się uważnie.

- Pan jest z Biura Ochrony Środowiska?

- Zgadza się - odparł Kane, wierząc się na niewygodnym siedzisku.

- I chce pan wiedzieć wszystko o zaporach na Kolumbii.

- Zwłaszcza o tej w Mica.

- Jest pan pewien?

- Tak - powiedział Kane.

Halleran roześmiał się.

- W takim razie jest pan tak samo stuknięty jak ja.

Kane otworzył szeroko oczy.

- Czemu pan tak sądzi? - zapytał.

Halleran odchrząknął.

- Ponieważ, panie Kane, samo uporanie się z politycznym bagnem wokół porozumienia dotyczącego zapór zajmie panu rok. Dowiedzenie się, co tak naprawdę się wydarzyło, kiedy budowano tamy - kolejny rok. A potem spędzi pan jeszcze pięć lat, próbując z tego wszystkiego ulepić jakąś sensowną całość albo czytając wszystkie materiały, jakie pan wcześniej zgromadził. Robota głupiego, panie Kane, bez wątpienia. Absolutnie bez wątpienia.

- Według Charlene, wie pan wszystko na ten temat - powiedział Kane. Halleran znów się roześmiał, lecz tym razem w jego głosie słychać było nutę goryczy.
- Cóż, nie powiedziałbym, że wiem wszystko na ten temat. Ale prawdopodobnie wiem więcej niż ktokolwiek w Hydro albo u was, w Stanach. - Wskazał ręką na swój gabinet. - Wiem tylko to, co przeczytam w gazetach. Nawiasem mówiąc, człowiek nie dojdzie, co jest grane z tymi zaporami, dopóki ich sam nie zobaczy.
- Właśnie taki mam zamiar - powiedział Kane. - Chciałem wynająć samochód i pojechać jutro do Mica i Revelstoke.
- To może wybierze się pan ze mną? - zaproponował Halleran. - Przyda mi się odrobina świeżego powietrza. Siedziałem tu przez cały tydzień. Moglibyśmy wyruszyć dziś po południu. Prawdę mówiąc, nawet zaraz. Im pręcej, tym lepiej. Pogadamy po drodze. O czwartej będziemy w Mica.
- Musi być z pana niezły kierowca. Sądziłem, że Mica jest jakieś siedemset kilometrów od Vancouver.
- Owszem. Ale nie jestem niezłym kierowcą. Jestem niezłym pilotem. Mam starego, zdelowanego twin ottera. Trzymam go w porcie węglowym. Spodoba się panu - powiedział Halleran.
- Nie wątpię - odparł Kane.

Zardzewiały chevrolet rocznik siedemdziesiąt dwa stał na parkingu przed McDonadem na przedmieściach Waszyngtonu. Siedzący za kierownicą wysoki, postawny mężczyzna o siwiejących włosach żarłocznie wbił zęby w bigmaca, popijając go łąpczywymi łykami czekoladowego koktajlu. Pasażer, mężczyzna w szarym garniturze, nie był zainteresowany jedzeniem.

- Wyjaśnijmy to sobie od razu - powiedział kierowca. - Firma zgadza się tym zająć, ale pamiętaj, że wy za wszystko płaciecie. - Ugryzł kolejny kęs hamburgera, wyciskając z niego gęsty sos.

- Zgoda - odparł mężczyzna w szarym garniturze. - Ale wasza firma i tak na tym zyskuje. - Patrzył na jedzącego rozmówcę, który wyglądał, jakby się zmartwił, połknąwszy ostatni kęs hamburgera; następnie zakasał i zapalił papierosa.

- Gówno prawda - powiedział bez ogródek, wyrzucając zapalną przez okno. - Przy mykacie oczy na to i owo w zamian za parę groszy, nic więcej. Zawieraliśmy taki układ już setki razy. Posłuchaj, traktuj to wyłącznie jako przysługę. Powiedzmy, że pozwolę ci dysponować środkami, które posiadam. Nic ponadto. Doskonale wiesz, dlaczego to dla ciebie robię. - Popatrzył znacząco na srebrny sygnet, który nosił na palcu, i potarł kciukiem misternie wygrawerowany znak. Mężczyzna w szarym garniturze popatrzył nerwowo na własny sygnet. Był identyczny jak tamten.

Nie mieszałbym w to naszego braterstwa - powiedział szybko. W jego głosie słychać było cień zdenerwowania. - Z całą pewnością nie mam takiego zamiaru. Chcę, żeby to było jasne. Drugi mężczyzna zaśmiał się cicho.

- To niby po co my tu siedzimy? Oczywiście, że masz taki zamiar. Przecież od tego jest nasze braterstwo. Chodzi o nieformalną kooperację. Przecież to dzięki niej zaszedłeś tak wysoko. Tak samo ja. Tak samo tuzin innych bardzo wpływowych ludzi w tym

mieście i setki innych w całym kraju. Nie unikniesz mieszania braterstwa z tym, co robimy.

- Mówisz jakbyśmy tu tworzyli nie wiem jaką konspirację – odparł mężczyzna w szarym garniturze, marszcząc czoło.

Człowiek za kierownicą pokiwał głową.

- Przecież tworzymy. Od lat prowadzimy tajną współpracę.

- Znam dobrze naszą historię - przerwał mu tamten. - Pamiętaj, że zostaliśmy wciągnięci w tym samym roku. Mieliśmy tego samego mentora.

- Pamiętam.

- Nie rozmawiajmy już o tym - powiedział mężczyzna w szarym garniturze.

Jego rozmówca uśmiechnął się przełomie.

- W porządku. W takim razie przejdźmy do interesów. Czy nadal potrzebujesz naszej, hmm... nieformalnej kooperacji? Nie zmieniłeś zdania?

Człowiek w szarym garniturze potrząsnął głową, drapiąc się po czole palcem wskazującym prawej ręki.

- Można powiedzieć, że sytuacja uległa pogorszeniu. Podjęcie działań stało się koniecznością.

- Czy to przez Kane'a?

- Tak. Depcze nam po piętach. W tej chwili może nam wyrządzić ogromne szkody.

- Domyślam się - odparł oschle drugi mężczyzna. - Możliwe, że trzeba to będzie przeprowadzić tak, jak zwykle. Wiesz, że mamy wielkie doświadczenie w załatwianiu takich spraw.

- Wolałbym, żebyśmy nie mówili o szczegółach.

- Brzydzisz się? - spytał człowiek za kierownicą. - Wierz mi, nie powinieneś się tym martwić.

- Nie, nie brzydzę się. Myślę tylko, że nie powinienem zbyt wiele wiedzieć o waszych planach.

- Masz rację. W porządku. Czy coś jeszcze?

- Tak. Muszę dokładnie wiedzieć, kiedy to nastąpi - powiedział mężczyzna w szarym garniturze.

Jego rozmówca uniósł brew.

- Chcesz się wtedy wybrać na wakacje? - zapytał. Na jego twarzy znów zagościł przelotny uśmiešek.

- Oczywiście, że nie. Chodzi tylko o to, żeby... zsynchronizować działania.

- Rozumiem. Jasne. Zaplanowaliśmy to na czwartego lipca.

Człowiek w szarym garniturze zmarszczył brwi.

- Miałem nadzieję, że to nastąpi wcześniej. Jak już mówiłem, sytuacja pogarsza się z dnia na dzień.

- Dałeś nam czas do połowy lipca - zauważył tamten.

- Wiem. Nie zmieniłem zdania. Miałem tylko nadzieję, że da się to zrobić wcześniej.

- Możemy to zrobić jutro - odparł kierowca. - Ale zanim zaczniemy, chcielibyśmy się uporać z Oswaldem.

- Z Oswaldem? - Mężczyzna w szarym garniturze wyglądał na zaskoczonego.

- O nic nie pytaj.

Dennis Penpraze miał dwadzieścia osiem lat, metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, ciemne włosy i niebieskie oczy. Na jego twarzy wciąż jeszcze widoczny był lekki, aczkolwiek dokuczliwy trądzik. Całość nie była zbyt atrakcyjna dla kobiet.

Dennis zgłosił się do armii Stanów Zjednoczonych zaraz po skończeniu osiemnastu lat. Po kilku miesiącach został wysłany do Wietnamu. Pełniąc swoją pierwszą misję, starszy szeregowy Penpraze wykazał się znacznym talentem w posługiwaniu się materiałami wybuchowymi; w konsekwencji spędził dwa lata na wysadzaniu stanowisk snajperskich i magazynów ryżu, od Sajgonu aż po strefę zdemilitaryzowaną. Kiedy jego służba dobiegła końca, wrócił do Stanów na tydzień; po krótkim, lecz zniechęcającym poszukiwaniu pracy zaciągnął się ponownie do wojska. Dostał rangę kaprała i niemal niezwłocznie odesłano go do Wietnamu. Badania przy ponownym poborze wykazały, iż Penpraze był pod względem fizycznym i psychicznym zdolny do pełnienia służby, aczkolwiek w opinii wojskowego psychiatry wykazywał lekkie tendencje paranoidalne. Było to jednak częste wśród żołnierzy służących w Wietnamie, więc Penpraze został przydzielony do swojej dawnej jednostki. W trakcie dalszej służby zaczął się interesować historią wojskowości, szczególnie pasjonowały go biografie słynnych generałów. Jego idolem był Douglas MacArthur. W tym samym czasie, co może trochę dziwić, zaczął interesować się dziełami Henry'ego Davida Thoreau; recytował całe rozdziały z *Walden* każdemu, kto tylko chciał słuchać. Prawdę mówiąc, nie znajdował wielu słuchaczy.

Kiedy po raz drugi kończył służbę, jego zwierzchnicy zauważyli, że Penpraze coraz bardziej separuje się od swoich kolegów. Trzy razy zdarzyło się, że zachęcanie go do wzięcia udziału we wspólnych rozrywkach zakończyło się użyciem przemocy. Ponieważ za każdym razem to Penpraze wdawał się w bójki, został zdegradowany do stopnia starszego szeregowego. W tym samym czasie Penpraze zakończył swoje rzadkie wizyty w sajgońskiej dzielnicy rozpusty, zwanej Toc Do, gdyż miał nawracające problemy z osiągnięciem erekcji. Dwa tygodnie przed zwolnieniem z wojska Penpraze wdał się w kolejną bójkę, w której tym razem poniósł śmierć czarnoskóry szeregowy z jego plutonu. Penpraze'a nie obwiniano o śmierć kolegi i nie został postawiony przed sądem, lecz odmówiono mu prawa do kontynuowania służby. Wrócił do Stanów.

Jego wysiłki w celu uzyskania pracy znów okazały się bezowocne. Nie chcąc korzystać z opieki społecznej, zapisał się na uniwersytet w Los Angeles, korzystając z przywilejów przysługujących byłym żołnierzom, i rozpoczął długi tok studiów. Otrzymywał głównie oceny mierne. Zapisał się do tak wielu klubów, jak to było możliwe; jeden z nich nawet sam założył - było to Zrzeszenie Demokratów, które rozpadło się jeszcze przed pierwszym walnym zebraniem. Dwa dni później Penpraze odebrał pewien telefon - zaproponowano mu pracę w rządowej agencji. Był zainteresowany. Następnego dnia odwiedziło go dwóch mężczyzn; okazali mu dokumenty, według których byli oni agentami Agencji Bezpieczeństwa Narodowego mieszczącej się w Waszyngtonie.

Powiedzieli mu, że wiedzą o jego finansowych problemach i zaproponowali, że w zamian za zgodę na współpracę agencja będzie płacić za jego studia. Został poinformowany, że będzie pracować jako agent terenowy agencji zajmującej się ściśle tajnymi operacjami. Pomysł zostania szpiegiem bardzo mu się spodobał. Penpraze zgodził się z miejsca. Po trzech dniach został relegowany z uczelni i wynajął mieszkanie w dzielnicy South Gate.

Przez następne kilka lat Penpraze pracował dla agencji łącznie siedem razy, zawsze w charakterze - jak to nazywali jego anonimowi pracodawcy - „obserwatora”. Za każdym razem miał za zadanie śledzić jakąś ważną osobistość i donosić telefonicznie o osobach pojawiających się regularnie w jej pobliżu. Dostawał kamerę, aby sprawnie wykonać zadanie, oraz adres w Waszyngtonie, pod który miał przysyłać zrobione filmy. Dwukrotnie zdarzało się, że wysyłał je za granicę - raz do Meksyku i raz do Korei.

Nie licząc dnia, w którym został zwerbowany, Penpraze ani razu nie kontaktował się bezpośrednio z ludźmi, których uważał za swoich pracodawców. Pieniądze na wydatki zawsze otrzymywał w gotówce. Informacje przekazywał przez telefon, za każdym razem na inny numer. Filmy do Waszyngtonu przysyłał na adres skrytki pocztowej, którą opróżniano średnio raz na cztery miesiące. Nakręcone filmy natychmiast niszczone i wyrzucano do najbliższego pojemnika na śmieci.

Przez cały okres współpracy Dennis Penpraze ani razu nie kwestionował wydawanych mu rozkazów ani nie narzekał na wysokość zarobków. Nigdy nie dowiedział się o tym, że agencja, dla której w swoim mniemaniu pracował, w rzeczywistości nie istniała.

Po południu drugiego lipca Dennis Penpraze - zgodnie z rozkazem - wsiadł do autobusu jadącego do Seattle, skąd miał bezpośrednie połączenia z Vancouver i Revelstoke w okręgu Kolumbia Brytyjska.

Jonathan Kane uważnie przeglądał materiały, które otrzymał od Hallerana. Próbował zignorować to, że jest mu potwornie zimno i znajduje się w wyjątkowo hafaśliwym samolocie, lecącym wzdłuż wąskiej rzecznej doliny. Kilkaset metrów niżej rzeka Thompson mknęła w kierunku zachodnim niczym olbrzymi potok wzburzonej lawy.

Siedzący obok Kane'a Halleran bez przerwy gwizdał jakąś monotonną melodię, którą zagłuszało nieustanne wycie i brzęczenie dwóch silników samolotu. Drażek sterowniczy trzymał pewnie i niedbale, bezbłędnie wykonując zwroty w ciasnych zakrętach rzeki.

Kane czytał przez całe trzy godziny, od momentu kiedy Halleran poderwał starego twin ottera z zatłoczonych wód portu węglowego w Vancouver. Jego ciągły strach przed awarią silników lub zderzeniem z którąś z tysięcy przeszkód znacznie utrudniał koncentrację, lecz mimo to udało mu się przekopać przez znaczną część informacji dotyczących zapory w Mica.

Było to przerażające kompendium faktów i teorii. Im więcej czytał, tym bardziej wzrastał jego lęk. To, co wcześniej wydawało mu się niewiarygodną historyjką teraz nabierało wszelkich cech prawdopodobieństwa. Akta Hallerana ujawniały ciąg niedopowiedzeń, błędnych ocen, nieudanej współpracy i, jeśli wierzyć autorom - wierutnych kłamstw. Materiały obejmowały okres od 1967 roku; kiedy Kane z niedowierzaniem je czytał, zaczynał rozumieć, w czym tkwi cały problem. Wszystko zaczęło się od pieniędzy, a raczej ich braku.

Było oczywiste, że zaporą grawitacyjna, inaczej mówiąc łukowa, byłaby w tym miejscu najodpowiedniejsza, jednak koszty transportu materiałów wydawały się wręcz niewyobrażalne, więc zdecydowano się na budowę zapory ziemnej. Mimo to inwestycja borykała się z problemami finansowymi. Ponieważ zaporą miała stanąć na pustkowiu, nawet transport ziemi okazał się kłopotliwy. Zbadano piasek i żwir spoczywający w okolicach przyszłej zapory i okazało się, że materiał ten wyjątkowo łatwo chłonie wilgoć - o dwa do trzech procent więcej niż wynosiło optimum dla budowanej zapory. W tym

miejscu relacja urywała się, a dalsze informacje były rozrzucone po całych aktach, lecz widać było, że słabej jakości materiał został uznany za wystarczający dla celów konstrukcyjnych. Na papierze informacje te wyglądały całkiem niewinnie, lecz Kane doskonale wiedział, czym grozi taki stan rzeczy. Gdyby w którymkolwiek momencie tama zaczęła przeciekać z powodu niedoskonałości konstrukcyjnych lub gdyby powstały nowe nieszczelności w wyniku ruchów sejsmicznych, cała zapora przesiąknęła wodą niczym kartka papieru. Właściwości nośne całej struktury zostałyby zachwiane, co ostatecznie doprowadziłoby do zawalenia się tamy. Tak ryzykowną decyzję usprawiedliwiano faktem, iż sto dwadzieścia kilometrów w dół rzeki stała zapora w High Revelstoke. Gdyby jednak doszło do awarii zapory w Mica, wrażliwa na wilgoć ziemia, z której usypano tamę w Revelstoke, znów zadziałałaby jak potężny papierowy ręcznik: po nasiąknięciu wodą rozerwałaby się w strzępy. Kane przypuszczał, że projektanci obu zapór byli tego świadomi i uwzględnili takie niebezpieczeństwo już w fazie projektowania, lecz wciąż dręczyły go obawy, zwłaszcza że przez ostatni miesiąc padały intensywne deszcze.

Kiedy dotarł do końca akt, znalazł coś, co wyglądało na skrótową dokumentację, zatytułowaną po prostu: *Mica*. Kane popatrzył na Hallerana, pokazując mu okładkę dokumentu. Pilot pokiwał głową.

- Byłaby z tego niezła afera! - krzyknął ponad wyciem silników.
- Nigdy niepublikowane?

Halleran pokręcił głową, z goryczą opuszczając kąciki ust.

- Skąd! - odparł. - Nie uwierzy pan, przez jakie bagno musiałem przebrnąć, żeby to zdobyć!

- Jak to?

Halleran wzruszył ramionami.

- Wie pan, słyszałem plotki o osunięciach ziemi w tamtej okolicy. Rozpovídali je dawni mieszkańcy. Postanowiłem to sprawdzić. Poprosiłem w Hydro o udostępnienie raportów geologicznych, ale odprawili mnie z kwitkiem. Potem poszedłem do paru profesorów z uniwersytetu. Żaden nie chciał rozmawiać. Ważniacy. Dostają niezłą kasę za konsultacje dla Hydro. W każdym razie nie miałem żadnego punktu zaczepienia, rozumie pan, żadnych danych naukowych, żeby móc nagłośnić całą sprawę.

- Wiem, co pan czuje. - Kane obrócił się w fotelu, żeby popatrzeć przez przednią szybę. Jego oczom ukazała się poszarpana skalna ściana, odległa o niecałe sto metrów. Kane odruchowo podniósł rękę. W ostatniej chwili Halleran nacisnął na pedał steru kierunkowego. Olbrzymia masa granitu mało nie otarła się o skrzydło samolotu. Znaleźli się w wąskiej przełęczy pomiędzy dwoma masywami. Kilka kilometrów dalej ich oczom ukazało się błękitne niebo.

- Co to, do cholery, było? - zapytał Kane drżącym głosem, usiłując uspokoić żołądek.

- Góra. - Halleran roześmiał się. - Wie pan, w tej okolicy jest ich pełno.

- Nie wiedziałem - odparł Kane. Halleran popatrzył na niego i uśmiechnął się szeroko. Kane rozejrzał się dokoła. Po obu stronach góry zaślaniały widok, a drzewa widziane z pędzącego samolotu wyglądały jak jednolita zielona masa. W oddali widać było coraz szerszy kawałek nieba. - Gdzie właściwie jesteśmy? - zapytał.

- Przełęcz Clemina Creek - wyjaśnił Halleran. - W paśmie Malton. - Wskazał na góry po obu stronach. - Lecieliśmy równolegle do Canoe River. Zaraz się do niej zbliżymy, jak tylko minimy te cholerstwa.

- Canoe River. To na tej rzece jest zbiornik w Mica?

Halleran pokiwał głową.

- Zgadza się. Nazwano go Jeziorem McNaughtona. Znajduje się w dawnym korycie rzeki. Dotrzemy do niego mniej więcej w połowie jego długości. Zapora jest sześćdziesiąt kilometrów dalej. Mógłbym odbić wcześniej, ale chcę panu pokazać jezioro.

Kilka minut później przemknęli nad przełęczą i wzięli ostry zakręt w prawo. Błyszcząca powierzchnia jeziora w dole poprzecinana była wystającymi skałami i wyglądało na to, że rozciąga się praktycznie w każdym kierunku.

- To tutaj? - zapytał Kane.

Halleran skinął twierdząco. Jeszcze raz szarpnął wolantem i samolot zaczął nurkować. Lecieli teraz w stronę tamy, ponad długim na dwieście kilometrów jeziorem. Usiłując pokonać zawroty głowy, jakie dokuczały mu od początku lotu, Kane skupił uwagę na otaczającym go krajobrazie.

W tym miejscu jezioro miało prawie osiem kilometrów szerokości. Na obu brzegach wycięto drzewa na całym obszarze leżącym do trzydziestu metrów nad powierzchnią wody. Kane wiedział, że zatopiony obszar musiał wyglądać tak samo. Wykarczowano las, aby zmniejszyć ilość „śmięci” pływających w jeziorze. Zbiornik miał przez to surowy, nienaturalny wygląd. Powyżej wykarczowanego obszaru strome stoki były gęsto porośnięte drzewami; jeszcze wyżej skaliste szczyty sterczały na tle nieba niczym ostre zęby. Kane zadrsał na myśl o potężnych siłach, które spowodowały wypiętrzenie tych gór. Siły te działały nadal, choć na razie pozostawały w uśpieniu.

Lecieli tak przez pół godziny nad samą wodą, po której przemykał cień samolotu. Było to niemal hipnotyczne przeżycie: stalowoszara woda w dole, umykające ściany lasu po bokach i nieustanne, miarowe dudnienie silników. Kane czuł, że popada w coraz większe otępienie.

Z tego transu wyrwało go dopiero szturchnięcie Hallerana. Kane wyprostował się, popatrzył przez okno. Przed nimi dolina zwężała się; zalesione stoki były coraz bliżej siebie, rzucając długie cienie na wody jeziora. Halleran wskazał na powierzchnię wody.

- Świeży szlam! - krzyknął. Skinął w kierunku wysokiej góry po lewej stronie, a potem wskazał brunatną wodę u stóp urwiska.

Kane ospale pokiwał głową, nie bardzo wiedząc, o co chodzi. Ziewnął.

- Ile jeszcze do zapory? - zapytał. Ziewnął po raz drugi.

- Już ją widać - odparł Halleran, wskazując przed siebie. Kane wytężył wzrok. W odległości kilku kilometrów ujrzał ciemną linię biegnącą przy samej powierzchni wody.

- To tam? - zapytał.

Halleran skinął głową.

- Wysoki poziom wody. Wygląda na to, że bliski maksimum.

Kiedy zbliżali się na małej wysokości, Kane zaczął rozróżniać szczegóły. Wysoka na sześć pięter wieża obserwacyjna, podobna do wieżowca pozbawionego okien, wznosiła się przy lewym krańcu zapory. Po drugiej stronie znajdowała się śluza, kontrolująca napływ wody do turbin elektrowni. Widać też było czarną wstęgę drogi dojazdowej, biegnącej również przez całą szerokość tamy. Halleran miał rację. Poziom wody był wysoki. Kiedy przelatywali nad zaporą, widać było, że woda sięga jakieś trzy, cztery

metry poniżej jej krawędzi. Kane dostrzegł pojedyncze głązy spoczywające przy krańcach zapory. Ułamek sekundy później przelecieli nad tamą i przed oczami Kane'a ukazała się przepaść głęboka prawie na trzysta metrów. Poczul nagły skurcz żołądka.

- Niech pan uważa, żeby nie wypuścić śniadania - krzyknął Halleran. - Zawróć, żeby mógł pan się lepiej przyjrzeć!

Wprowadził samolot w ostry lot nurkowy i dno przepaści zaczęło się zbliżać z oszałamiającą prędkością. Wówczas nieco wyrównał i za przednią szybą znów pojawiło się niebo. Pilot obrócił samolot na bok i zrobił ciasny łuk; płozy prawie zaczepiały o wierzchołki drzew porastających olbrzymi stok. Przez chwilę obaj mężczyźni znajdowali się w stanie nieważkości, kiedy samolot przestał pikować, a po chwili z ogłuszającym rykiem poleciali tam, skąd przed chwilą przybyli - na północ, w stronę zapory. Kane poczuł w ustach smak wymiocin. Przełknął ślinę i zmusił się, żeby spojrzeć przed siebie. Halleran wskazał ręką.

- Zapora w Mica! - krzyknął.

Przed oczami Kane'a pojawiła się największa tama na świecie.

Wciśnięta pomiędzy dwa stoki z piaskowca, wysoka na dwieście pięćdziesiąt metrów, wyglądała na tle popołudniowego nieba jak wielki, szary klin blokujący wąski kanion. Na prawo od zapory znajdował się gigantyczny kanał spustowy, długości prawie siedmiuset metrów, opadający w dolinę poskręcaną serpentyną, wyglądający jak olbrzymia zjeżdżalnia dla dzieci. Kane wyteżył wzrok. Kanał spustowy był suchy.

- Oni chyba powariowali! - krzyknął, zapominając o wzburzonym żołądku. - Powinni byli już dawno otworzyć wszystkie śluzy!

Halleran skrzywił się, przyciągając wolant do siebie. Nos samolotu uniósł się i maszyna rozpoczęła mozolną wspinaczkę.

- Każdy metr sześcienny przepływającej wody można zamienić na energię elektryczną - powiedział z niesmakiem. Odepchnął wolant, kiedy tylko minęli szczyt zapory.

Znów znaleźli się nad wodami olbrzymiego Jeziora McNaughtona, które zdawało się ciągnąć w nieskończoność. Kane popatrzył za siebie, na oddalający się zarys tamy, i pokręcił głową.

- Chce pan jeszcze coś zobaczyć? - spytał Halleran.

Kane odwrócił się i popatrzył przed siebie. Niepokoiło go, co takiego zauważył Halleran.

- Tak - odparł. - Spójrzmy, co tam się dzieje.

W porównaniu z hałasem w powietrzu, cisza, jaka teraz zapadła, wydawała się przytłaczająca. Otter kołysał się łagodnie na płozach, niecałe pięćdziesiąt metrów od podnóża Mount Dainard, osiem kilometrów od zapory. Niewielkie fale wydawały głuchy dźwięk, uderzając o aluminiowe płozy. Kane otworzył drzwiczki i popatrzył na wodę pod kadłubem samolotu. Miała lekko brunatny odcień.

- Rany boskie - powiedział Kane.

- Co się stało? - Halleran wychylił głowę, żeby popatrzeć.

- Zaraz panu powiem. - Kane odpiął pas i śmiało wystawił nogi na zewnątrz, aż poczuł pod stopami twardą płożę. Wysunął się niezdarnie z kabiny, chwytając za jeden ze wsporników podwozia. Samolot zakolysał się silnie. Kane miał wrażenie, że drzewa stojąco nieruchomo naprzeciw niego wyrażają niemą dezaprobatę. Zajrzał ponownie do kokpitu, marszcząc czoło. - Ma pan jakiś kubek, czy coś takiego? - zapytał.

Pilot pokręcił głową.

- A co się stało?

Kane wyglądał na poirytowanego.

- Mówiłem już, że zaraz wyjaśnię. Za chwilę. Na razie potrzebuję jakiegoś naczynia.

- Może być mój kapelusz? - Halleran zdjął pomiętego stetsona i wręczył go Kane'owi.

- Chyba będziemy musieli się tym zadowolić - mruknął Kane. Chwycił kapelusz i zniknął po raz drugi. Wrócił po chwili, trzymając w ręce kapelusz pełen wody. - Proszę, niech pan trzyma - powiedział spiesznie.

Halleran wyciągnął rękę i przejął kapelusz, mocząc sobie spodnie, gdyż woda przeciekała przez cienki materiał. Kane wgramolił się do samolotu i wziął kapelusz od Hallerana. Wystawił go za drzwi i poczekał, aż cała woda wycieknie. Wówczas przeniósł kapelusz z powrotem do kabiny, zanurzył w nim dłoń i pokazał Halleranowi. Palce były pokryte drobnoziarnistym piaskiem.

Halleran wzruszył ramionami.

- No i co? - mruknął. - Mówiłem już: świeży szlam.

Kane potrząsnął głową. Potarł piasek między palcami, spoglądając przez otwarte drzwiczki na wyrastające z wody zbocze góry.

- To nie jest gleba powierzchniowa - powiedział zaniepokojonym głosem. - To muł rzeczny. Stok został podmyty. Tak samo jak w Vaiont.

- Vaiont?

Kane pokiwał głową, patrząc na masywny kształt góry. Jego twarz była bledsza niż zazwyczaj.

- Tak, Vaiont - powiedział. - To była zapora we Włoszech.

- Była?

Kane skinął z goryczą i wyjaśnił:

- Zakończono jej budowę w 1963 roku. Usytuowanie było podobne do tego tutaj. Wąskie ujęcie kanionu, a za nim wyjątkowo duży zbiornik, otoczony stromymi górami. Tak zwany lejek.

- To była zapora ziemna?

Kane pokręcił głową.

- Łukowa. W tamtych czasach najwyższa na świecie.

- I co się stało?

Kane wciąż gapił się przez przednią szybę na podobny do urwiska stok wyrastający nieopodal.

- Rozpadła się - odparł zwyczajnie. - Padały wyjątkowo obfite deszcze i poziom wody w zbiorniku był bardzo wysoki. Osunęło się całe zbocze góry. Siedemset milionów ton skał i gleby.

- Cholera jasna! - krzyknął Halleran, spoglądając w tę samą stronę co Kane. - Teraz sobie przypominam. Poniżej zapory znajdowało się miasto, prawda?

- Owszem. Longaronne. Fala wywołana osunięciem przewyższała zaporę o dwieście pięćdziesiąt metrów. Nikt nie przeżył. Odkopanie ciała zajęło wiele miesięcy. Inżynierowie znacznie wcześniej wiedzieli, że mają kłopoty. Zauważyli powolny ruch wierzchniej warstwy ziemi w wielu miejscach wokół zbiornika, ale nie podjęli żadnych działań. Nie ostrzegli nawet mieszkańców miasteczka. Trzy tysiące ludzi. Trach! - i nie ma.

- A tutaj? - spytał Halleran. Nagle góra wydała mu się wyższa i bardziej stroma; na brał wielkiej ochoty, by zapuścić silnik i czym prędzej stąd odlecieć.

Kane pocierał palcami piasek zgromadzony w kapeluszu.

- Nie jestem pewien - powiedział cicho. - Niewiadomo. Sądząc po wyglądzie mułu, stok uległ silnej erozji pod powierzchnią wody. Dzięki Bogu, przestało padać.

- Chce pan powiedzieć, że cały ten stok może zostać podcięty?

- Może tak, może nie. Żeby się o tym przekonać, musiałbym wiedzieć, jak daleko posunęła się erozja. Jeśli jest aż tak źle, jak można wnioskować po tym mule, osunięcie może nastąpić praktycznie w każdej chwili. Wystarczy niewielki deszcz, mała lawina wysoko w górach. Praktycznie cokolwiek. Rany! To dlatego nie dawano mi dostępu do informacji! Ktoś musiał o tym wiedzieć! Tak silna erozja mogłaby zostać przeoczona tylko przy najbardziej pobieżnym badaniu.

- Dlaczego ktoś miałby o tym informować Amerykanów? - Wydawało się, że Halleran z góry wiedział, jaka będzie odpowiedź.

- Jest wiele powodów - odparł Kane. - Po pierwsze, to oni nalegali na tę lokalizację. Przynajmniej przekonywali o słuszności swoich planów, tyle mi wiadomo. Możliwe, że nawet przeprowadzili wstępne pomiary geologiczne.

- I co teraz będzie? - spytał Halleran. - Wie pan o tym, że będę musiał napisać artykuł.

- I obaj wylecimy z pracy? Niech pan o tym zapomni. Nie jestem niczego do końca pewien. Wiem tylko, że dzieje się tu coś niedobrego. Nie mogę powiedzieć co, dopóki nie zostaną przeprowadzone badania.

- Bzdury gadasz, panie Kane - stwierdził oschle Halleran. - Coś mi się widzi, że chcesz pan tylko chronić własną dupę. To mi się nie podoba.

- Wcale nie chcę, żeby się panu podobało - odparł Kane. - Chce pan napisać artykuł, proszę bardzo, niech pan pisze. Ale jeśli się pan na mnie powoła, zdementuję to. Nie chcę, żeby zamknięto mi usta.

- A więc? - spytał Halleran.

- A więc wrócę do Seattle i skontaktuję się z moimi zwierzchnikami z Waszyngtonu. Jeśli ich nie przekonam do podjęcia jakichś działań... wtedy może pan napisać swój artykuł, zgoda?

- Brzmi uczciwie. - Halleran wciąż nie wyglądał na zadowolonego. - Ale jakich działań pan od nich oczekuje?

- Będą musieli osuszyć zbiornik, przynajmniej na tyle, aby odłonić zerodowaną część. Sądząc po wyglądzie stoku, obszar, który może się osunąć, jest trzykrotnie większy niż w Vaiont.

- Chyba pan żartuje! Naprawdę myśli pan, że oni osuszą Jezioro McNaughtona? Jezu! Chce pan, żeby zrezygnowali z energii elektrycznej wartej miliony dolarów?

- To bez znaczenia - odparł Kane. - Muszą to zrobić, i to jak najszybciej.

- Nie uwierzę, dopóki nie zobaczę - mruknął Halleran. - Pan chce, żeby wyrzekli się milionowych zysków... i jeszcze na dodatek ujawnili swoje tajemnice. Nie tylko oni, ale i władze Kolumbii Brytyjskiej. Kiedy zaczną osuszać zbiornik, wybuchnie straszna afera.

Kane odchrząknął i wyprostował się w fotelu.

- Im szybciej dotrzemy do Vancouver, tym prędzej nagłośnię sprawę - powiedział. Zamknął oczy. Silniki ottera zawyły. Samolot przebył dwieście metrów na płozach, po czym gwałtownie wzbił się w powietrze.

- Nie potrafię tylko zrozumieć, jak oni mogli dopuścić do takiej sytuacji - powiedział Kane, trzymając się kurczowo poręczy fotela, kiedy Halleran brał ostry zakręt i zawracał na zachód. - Z całą pewnością nie zrobili tego celowo!

- Diabli wiedzą. Wtedy tu był Dziki Zachód - odparł Halleran. - Budowa zapór na Kolumbii została rozpoczęta w czasach, kiedy prowincją rządził W.A.C. Bennett. Wacky nie dałby ani grosza na te zapory, przede wszystkim dlatego, że wcale nie zamierzał budować tutaj elektrowni wodnych, przynajmniej przez wiele lat. Ale nie siedział z założonymi rękami. Budował własny system elektrowni, na północy, w ramach projektu „Peace River”. Jednak wy, Amerykanie, oferowaliście mnóstwo pieniędzy za Kolumbię, a Wacky nie należał do facetów, którzy obojętnie przejdą obok jednego dolara. Poza tym prowincja była już wtedy na skraju bankructwa. Dziurawy budżet, niegospodarność, nazywaj to pan jak chcesz...

... W każdym razie, mówiąc krótko, Wacky wziął pieniądze i podpisał umowę. Kilka lat później musiał wypić piwo, którego sobie nawarzył. Musiał zacząć budować zapory. Ale zdążył się splukać. Co do centa. Większość pochłonął projekt „Peace River”. Tymczasem Amerykanie naciskali go coraz bardziej, więc trzeba było coś wykombinować. Wziął pieniądze z wielu różnych resortów - komunikacji, oświaty i tak dalej - a potem próbował to zatuszować w statystykach. Parę lat temu mieliśmy tu niezłą awanturę. Nie wyobraża pan sobie, co się działo, kiedy sprawa wyszła na jaw! A więc zapory zaczęły powstawać za lewe pieniądze. Jakby tego było mało, Wacky nie pomyślał o inflacji. Kiedy kończył budowę, jej koszty czterokrotnie przewyższyły fundusze, które otrzymał.

- Naprawdę sądzi pan, że Amerykanie aż tak go naciskali?

- Jasne - odparł Halleran. - Oni też musieli dotrzymać obietnicy. W samym tylko zbiorniku Mica zmagazynowanych jest dwadzieścia pięć miliardów metrów sześciennych wody. Można za jej pomocą wytworzyć ogromną ilość energii, która już wcześniej została sprzedana. Kupiły ją wielkie koncerny przemysłowe nad Kolumbią.

- Wiem o tym.

Obaj zamilkli. Kane nie mógł uwierzyć w to, co powiedział Halleran. Ale później pomyślał, że stałoby się tak nie po raz pierwszy. Katastrofa w Vaiont nastąpiła w podobnych okolicznościach. Tak samo katastrofa w Teton w 1976. Kane czytał sprawozdania z zamkniętych przesłuchań senackich na temat tego wielomiliardowego fiaska. Wydawało mu się, że czyta litanię wszelkich możliwych błędów, jakie można popełnić przy budowie zapory. Wyglądało na to, że wszystko zrobiono źle, począwszy od wyboru lokalizacji bez przeprowadzenia odpowiednich pomiarów geologicznych. Jediną Kasandrą była dwiętnastoletnia studentka geologii, pracująca latem przy budowie tamy. Ostrzegająca szefa budowy, że zaporą może się zawalić przy napełnianiu zbiornika. Szef wyrzucił ją z pracy i kontynuował napełnianie w zdwojonym tempie. Tama pękła, zabijając kilkadziesiąt osób i powodując miliardowe straty w sześciu okręgach dwóch stanów.

Zmierch zapadał nad równinnym wybrzeżem, kiedy otter przemknął nad górską przełęczą i znalazł się ponad ujściem rzeki Fraser. Zanim dwaj mężczyźni wylądowali wśród aeroplanów należących do Air West oraz kontenerów z benzyną stojących w porcie węglowym, uzgodnili już cały plan działania.

Kane miał wrócić do Seattle i skontaktować się z generalnym dyrektorem Biura Kontroli i Bezpieczeństwa Środowiska w Waszyngtonie. Wcześniej, podczas weekendu, miał

dokładnie opracować metodą prezentacji poznanych faktów. Jeśli szef biura nie zgodzi się skontaktować z władzami kanadyjskimi i poinformować ich o istniejącym zagrożeniu, Halleran zamieści swój artykuł w gazetach w Vancouver, a Kane powie o wszystkim Chuck. Kiedy informacje zaczną otwarcie krążyć zarówno w Stanach, jak i w Kanadzie, B.C. Hydro będzie zmuszone obniżyć poziom wody do bezpiecznego poziomu. Halleran chciał, żeby nie zawracać sobie głowy szefem biura, lecz lojalność Kane'a nakazywała mu się sprzeciwić, i dziennikarz ostatecznie zgodził się, żeby dać urzędnikom ostatnią szansę.

- Podrzucić pana na lotnisko? - spytał Halleran.

- Nie, nie trzeba - odparł Kane. Miał już dosyć bycia pasażerem Hallerana, a poza tym potrzebował czasu na przemyślenia. Mężczyźni uściśnili sobie dłonie i rozstali się. Kane złapał taksówkę na Georgia Street i kazał się zawieźć na lotnisko okrężną drogą. Taksówkarz nie dał się długo prosić.

Wygładając przez szybę na wody Burrard Inlet i Spanish Banks, Kane rozważał problem na wszystkie strony.

Nie miał żadnych wątpliwości, że ktoś musiał wiedzieć, w jakim stanie znajduje się jeden ze stoków. Tylko najbardziej pobieżne pomiary mogłyby tego nie wykazać. Ale skoro ludzie za to odpowiedzialni wiedzieli o tym, dlaczego nie podjęli żadnych działań? Dlaczego uparli się, żeby zbudować zaporę?

Kane przypuszczał, że na samym początku nie zdawali sobie sprawy ze skali niebezpieczeństwa. Możliwe, że stok nie był wówczas tak silnie zerodowany. Ale przecież inżynierowie powinni przewidzieć, co się stanie, jeśli nurt rzeki będzie oddziaływał na skałę przez dziesiątki lat. Z całą pewnością musieli to wiedzieć. Z tego wynikało, że ktoś gdzieś musiał coś rozmyślnie zignorować. To oznaczało coś znacznie gorszego niż brak kompetencji. Coś znacznie gorszego.

Kane zapalił papierosa i wyrzął przez okno taksówki, która wspięła się wzdłuż urwiska nad Wreck Beach, a następnie zakręciła w stronę miasteczka uniwersyteckiego. Przed sobą i po prawej stronie Kane widział ostatnie promienie słońca zza gór na Vancouver Island, oświetlające gałęzie cedrów rosnących wzdłuż drogi. Dym papierosowy zdawał się mieć przykry smak. Nagle Kane zdał sobie sprawę, że jest przerażony - nie tylko świadomością, że wkrótce może dojść do osunięcia ziemi. Działy tu całkiem inne czynniki, bardziej skomplikowane niż wielkie masy ziemi, uparcie pragnące poddać się prawu powszechnego ciężenia; swoją drogą, były to czynniki równie potężne.

Kiedy taksówka przemknęła przez Knight Street Bridge i zaczęła kierować się w stronę lotniska, Kane ciągle nie mógł uwierzyć w to, co odkrył. Dłoń, w której trzymał nesesor, była mokra od potu. Rozpęta się potworna awantura, kiedy prawda wyjdzie na jaw, lecz Kane będzie miał satysfakcję, nawet jeśli wyrzucą go z pracy. Wiedział, że postępuje słusznie.

Dotarł wreszcie na lotnisko i zapłacił taksówkarzowi. Poszedł do informacji i dowiedział się, że następny lot do Seattle jest dopiero za godzinę. Kupił bilet i wspiął się na górny taras widokowy, skąd mógł zadzwonić. Przeszukał kieszenie i znalazłszy trochę drobnych, wykręcił numer Chuck. Telefon w jej mieszkaniu zadzwonił aż siedem razy i Kane miał już odwieść słuchawkę, kiedy usłyszał znajomy trzask.

- To ja - powiedział Kane.

Jej głos od razu złagodniał.

- Cześć! Wiesz, właśnie się kąpałam! Czy mógłbyś zadzwonić... -Ugryzła się w język. - Zaraz, skąd ty dzwoniisz? Przecież miałeś być w Vancouver.
- Jestem. Dzwonię z lotniska.
- Co z Halleranem? Widziałeś się z nim?
- Tak. Pokazał mi zaporę w Mica. Polecieliśmy tam dziś po południu.
- I co?
- Jest źle.
- Bardzo źle?
- Nie mogło być gorzej - powiedział Kane z rezygnacją. Stojąc w przestronnej hali lotniska, nagle zapragnął być blisko Chuck. Zauważył, że jest bardzo, bardzo zmęczony. - Słuchaj - powiedział w końcu. - Wracam dziś wieczorem. Pomasowałabyś mój zmęczony kark?

Chuck zachichotała.

- Nie tylko kark - odparła. - Może przyjechać po ciebie na lotnisko?
- Nie. Jestem w fatalnym stanie. Daj mi trochę czasu, żeby mógł doprowadzić się do porządku. Czy dwunasta w nocy to nie będzie za późno? Nie sprawi ci to kłopotu?
- Dlaczego ma mi sprawić kłopot? Co ty bredzisz? - ofuknęła go. - Oczywiście, że przyjadę.

Kane zawahał się.

- Chuck... - zaczął. Zamilkł na chwilę. Nie teraz, pomyślał. I nie tutaj.
- Co się stało? - spytała.
- Nic - odparł. - Po prostu cieszę się, że już wracam. To wszystko.
- Chyba wiem, co chcesz mi powiedzieć - oznajmiła łagodnie. - Ja też. Do zobaczenia o północy.

Rozdział 4

27 czerwca

Snyder rozwinął wielką planszę na stole kuchennym w domu Ronalda Batemana i przycisnął ją kilkoma filiżankami do kawy.

- W porządku - powiedział. - Przerobimy to jeszcze raz i upewnimy się co do wszystkich detali, okay? - Popatrzył na Batemana i Paulę St. George. Paula uśmiechnęła się entuzjastycznie. Bateman wciąż narzekał.

- Nadal uważam, że cały ten plan jest zbyt niebezpieczny - powiedział. W jego oczach, gdy tak spoglądał na bladą, pociągłą twarz Snydera, widać było wrogość. - Nie lubię, jak się mnie w coś wrabia.

- Nikt cię nie zmusza, Bateman - powiedział Snyder. Zaczął zwijać planszę. Paula wyciągnęła rękę i powstrzymała go.

- Uspokój się, Vince. Ron jest trochę spięty. Wszyscy jesteśmy spięci. Nie martw się, Ron jest po naszej stronie.

- Nie chcę już więcej tracić czasu - burknął Snyder.
- A co z pieniędzmi? - odezwał się Bateman z goryczą. - Przez ostatnie kilka dni wydawaliśmy je w ogromnym tempie.
- Snyder obruszył się.
- Myślisz, że próbuję cię znowu naciągnąć na marne sto dolców?
- Ależ skąd - odparł Bateman, czerwieniąc się. - Nie, Vince, wcale nie uważam, że próbujesz mnie naciągnąć. Mam tylko nadzieję, że wiesz, co robisz. Zaangażowałem się w to wszystko tylko z jednego powodu. Wiem doskonale, że Paula i tak się nie wycofa. Nie chcę, żeby stała jej się krzywda.
- Jakiś ty rycerski - mruknęła Paula. - Posłuchaj, Ron, potrafię sama zadbać o siebie. Jeśli chcesz zrezygnować, nie krępuj się. Vince i ja damy sobie radę.
- Nie wątpię. - Bateman wziął głęboki oddech. - Nie, nie rezygnuję. Niech będzie, co ma być.
- Snyder popatrzył w sufit, bębniąc palcami o blat stołu.
- Skończyliście? Chciałbym już przystąpić do rzeczy.
- Skończyliśmy - odparła Paula, spoglądając znacząco na Batemana. - Mów.
- Snyder pokiwał głową i wyciągnął z kieszeni džinsów wieczne pióro o szerokiej stalówce. Wskazał cienką niebieską linię biegnącą przez środek pilszary.
- Rzeka Kolumbia - powiedział. - Ogrodzenie bazy atomowej znajduje się około dwudziestu siedmiu kilometrów od Richland. Najpierw pojedziemy do miasta. Wynajmiemy pokój w motelu i rozejrzemy się. Jak na razie mamy tylko tę mapę, udostępnioną przez Instytut Rozwoju Energetyki.
- Nadal nie mogę w to uwierzyć - przyznała Paula. - Napisałeś do nich list, a oni przysłali ci szczegółowy plan całej bazy i zaproszenie na wycieczkę z przewodnikiem. Czy wszyscy tam powariowali?
- Może są przekonani, że nie ma się czego obawiać - powiedział Bateman, uśmiechając się po raz pierwszy tego wieczoru.
- Snyder odchrząknął ostentacyjnie.
- Dacie wy wreszcie spokój? - zapytał.
- Bateman podniósł ręce.
- Przepraszam - powiedział. - Już nie przeszkadzam.
- Snyder skinął głową i natychmiast podjął swój wywód tam, gdzie go przerwał.
- Okay. Jak już mówiłem, ogrodzenie biegnie z trzech stron. Z czwartej strony jest rzeka, ale ponieważ łatwo przez nią przepłynąć, musi być pilnie strzeżona. Możemy o niej zapomnieć. Tutaj... - wskazał piórem -... mamy coś, co się nazywa składowisko A. Są jeszcze B, C, D i E.
- Odpady atomowe - wtrąciła Paula szeptem.
- Snyder zignorował ją.
- Prawdopodobnie najlepiej będzie pójść tędy. Jak widzicie, teren składowiska przylega do ogrodzenia budynku reaktora, o tutaj, przy samych torach kolejowych. Dostaniemy się tam, przechodząc przez składowisko od strony rzeki, a potem przez ogrodzenie w miejscu, w którym przechodzą tory. Trzeba będzie przedostać się przez cały teren reaktora, ale sądząc z mapy, jest on w tej chwili prawie całkiem opustoszały, więc pewnie nie natkniemy się na żaden patrol. Tak więc przedrzemy się przez rejon dawnego

reaktora i dojdziemy do budynku administracyjnego, a stamtąd prosto do nowego reaktora. On jest tutaj, przy samym ogrodzeniu od strony południowej.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego nie możemy pójść prosto. - W głosie Batemana sły-
chać było sceptycyzm. Nozdrza Pauli rozszerzyły się ze złości. - Dlaczego mamy się
narażać, przechodząc przez cały rejon reaktora?

Snyder westchnął.

- Posłuchaj - powiedział. - Zostaw to mnie. Ten reaktor jest całkiem nowy. Będzie
najsilniej strzeżony. Oni zawsze postępują w ten sposób. W Wietnamie przydzielano
pięciuset żołnierzy do eskortowania nowej dostawy granatów, a wszystkie samoloty F-
-111 zostawiano w tym czasie bez opieki. Ludzie muszą się nacieszyć nową zabawką.
Wierz mi, okrężna droga jest najlepsza. Okay? To jedziemy dalej. Kiedy dotrzemy do
nowego reaktora, musimy dostać się do środka. Po wycieczce powinienem wiedzieć, jak
to zrobimy. Później radźcie sobie sami. Kiedy znajdziemy się w środku, moja rola się
kończy. Zamontuję tylko atrapy bomb.

- Złożyłeś je już? - zapytał Bateman.

Snyder pokręcił głową.

- Nie. Możliwe, że samochód zostanie przeszukany gdzieś po drodze, więc wolę je
trzymać rozłożone na części, dopóki nie dotrzemy do motelu w Richland.

- Jesteś pewien, że wyglądają jak trzeba? - spytała Paula. - Będą tam mieli zainsta-
lowane kamery i nie potraktują nas poważnie, jeśli ich nie przekonamy, że mamy prawdziwe bomby.

Snyder uśmiechnął się. W jego wyrazie twarzy było coś, co przyprawiło Batemana
o dreszcze.

- Bez obawy - powiedział jasnowłosy mężczyzna. - Plastik i plastelina wyglądają
całkiem podobnie. Będą myśleli, że mamy prawdziwe bomby. - Wydał z siebie krótki,
gardłowy śmiech. - Mogę wam to zagwarantować - powiedział.

Max Rudnick jechał powoli przez rejon starego reaktora, od czasu do czasu przyświe-
cając sobie przenośnym szperaczem, który leżał na siedzeniu pasażera. Prowadził sa-
mochód z prędkością minimalnie tylko większą niż ta, z jaką porusza się pieszy. Patro-
lowanie starych budynków było stratą czasu. Wiedział o tym, ale było mu wszystko
jedno. Miał mnóstwo czasu do stracenia. Ostatnio, odkąd nasilił się ból żołądka, prawie
wcale nie sypiał. Każdego dnia brał coraz więcej tabletek i to go niepokoiło. Jeśli chce
dalej pracować, wkrótce będzie potrzebował silniejszego środka.

Kiedy dotarł do torów kolejowych, zauważył, że latarnie przy ogrodzeniu się nie pał-
tak, że cała brama jest ukryta w ciemności. Sięgnął po szperacz i poświecił nim przez
okno. Nic. Siatka, a za nią pustynia. Jak zwykle. Poświecił jeszcze na rzekę, patrząc jak
światło odbija się w odległych o dwa metry torach kolejowych. W latach czterdziestych
było lepiej, pomyślał. Wtedy to miejsce naprawdę coś znaczyło. Po tych torach przy-
jeżdżało tajne wyposażenie, a do Alamogordo odjeżdżały gotowe bomby. Teraz przy-
wożono wyłącznie śmieci: radioaktywny płyn w opancerzonych cysternach, stare rdze-
nie reaktorów, bezużyteczne, lecz wciąż śmierteczne. Przywożono napromieniowaną
odzież i inne „brudy” z pobliskich baz atomowych.

Rudnick przesunął światłem szperacza wzdłuż torów i drucianego ogrodzenia, oświe-
tlając fragment składowiska A. Ziewnął. Wszystko w normie. Nie licząc niewidocznego

kopca ziemi, który przykrywał miejsce przecieku. Mężczyzna chrząknął cicho i zapalił papierosa. Dobrze, że już się z tym uporano, przynajmniej z jego punktu widzenia. Udało mu się przekonać dyrektora, że straż ma wystarczająco dużo roboty wokół nowego reaktora, po drugiej stronie bazy. Któż by chciał ukraść jakieś cholerne odpady atomowe? Tak więc rozstawiono wokół całego terenu tablice z napisem: UWAGA! BARDZO SILNE PROMIENIOWANIE! Jeśli jakiś dureń, chcący wdrzeć się na teren bazy, nie przeczyta tych ostrzeżeń, to już będzie jego zasrany problem.

Rudnick zatrzymał samochód i popatrzył na pogrążone w ciemności składowisko, zastanawiając się, dlaczego wszyscy byli tak zaniepokojeni tym „wypadkiem”, jak to nazywano. W przeszłości dochodziło już do przecieków; za jego czasów trzykrotnie. Ostatnim razem rozlało się z milion litrów silnie napromieniowanej wody i nikt się wtedy tak nie denerwował. A teraz wszyscy biegali jak pszczoły w ulu. Rudnick widział nawet samego dyrektora chodzącego po składowisku w ochronnym ołowianym kombi- niezonie. Ekipy badawcze wysyłano przez cały dzień, aby nieustannie pobierać próbki głębinowe.

Rudnick pokiwał głową do własnych myśli. Tak, wyglądali na mocno zaniepokojonych. Kiedy wypełniał raport o bezpieczeństwie dla dyrekcji w Seattle, nie wspominał ani słowem o przecieku. Cokolwiek wydostało się z podziemnego zbiornika, było dość niebezpieczne. Zgasił szperacz. To nie jego sprawa. Odjechał, lawirując wśród zużytych korpusów i chłodnic reaktora leżących nad rzeką i skierował się do budynku administracyjnego. Czas wziąć kolejną tabletkę. Po drodze przypomniał sobie, żeby zlecić naprawę latarni nad bramą kolejową.

Człowiek z Langley stał na skraju opustoszałej autostrady, paląc papierosa i czekając. Zadrzał lekko, czując chłodne, pustynne powietrze. Równoległe do autostrady biegła stara droga, stanowiąca niegdyś dojazd do budowy. W świetle księżycy była ledwie widoczna. Po jej bokach stały dwa rzędy słupków, z których co dziesiąty był oznaczony czerwoną tabliczką. Rzędy były od siebie odległe dokładnie o trzydzieści osiem metrów. Całość wyglądała jak ogrodzenie wokół wykopów prowadzonych przez obsługę autostrady.

Mężczyzna zaciągnął się papierosem i zadrzał ponownie. Nacisnął przycisk w zegarku i na czerwonym wyświetlaczu pojawiła się godzina: dziesiąta dwadzieścia. Zastanawiał się, jak radzą sobie ludzie w Seattle. Nie zostało im wiele czasu od chwili, kiedy przechwycono telefon Kane'a z Vancouver. Mężczyzna potrząsnął głową. Nie lubił pośpiechu. Pośpiech go denerwował i był nieprofesjonalny. Po chwili rozległ się dźwięk gwizdka. Człowiek, trzymając palec na przycisku zegarka, czekał. Gwizdanie zabrzmiało ponownie i człowiek nacisnął przycisk. Zegarek zaczął odmierzać sekundy.

Na drodze, sto pięćdziesiąt metrów dalej, pojawiło się czterech ludzi. Człowiek z Langley z trudem rozróżniał w mroku ich postacie, lecz znał drobiazgowo każdy element ich wyposażenia. Byli ubrani na czarno, a na twarzach mieli przyciemniane gogle. Każdy z nich niósł okazały plecak i trzymał w ręku udoskonalony próbnik Ashleya. Próbnik wyglądał jak gigantyczna igła od strzykawki - były to dwie tytanowe rury, wpasowane jedna w drugą. Zewnętrzna rura miała ponad metr długości, a wewnętrzna - dwa. Każda z nich posiadała uchwyt: wewnętrzna - przymocowaną rączkę, a zewnętrzna - wyżłobienia na palce.

Czterej mężczyźni ustawili się w jednej linii, pod kątem prostym do słupków ciągnących się wzdłuż drogi. Stanęli w odległości metra jeden od drugiego. Postawili zewnętrzne rury na ziemi i wystrzelili wewnętrzne za pomocą siłowników ciśnieniowych. Trzymając próbnik pionowo, naciskali na spust; rozlegał się głuchy trzask, kiedy siłownik wbił w ziemię wewnętrzną rurę próbnika. Siłę uderzenia hamował szeroki uchwyt, który opierał się na ziemi. Następnie każdy z ludzi łapał za uchwyt i wyciągał próbnik z ziemi, pozostawiając otwór o średnicy pięciu centymetrów. Ekipa przesunęła się w stronę drugiego rzędu słupków i ponowiła operację. Wykonano ją w sumie sześciokrotnie. Kiedy było po wszystkim, pomiędzy rzędami słupków ciągnęła się równa linia dwudziestu czterech otworów.

Mężczyźni odłożyli próbki i zdjęli plecaki. Każdy z nich wypełnił sześć otworów materiałem wybuchowym Gelex-2 firmy DuPont. Do otworów wkładano dwa długie na niecałe pół metra ładunki, łącząc je przedtem za pomocą drutu. Następnie do każdego ładunku przytwierdzano zapalnik, który przykrywano wydobytą na powierzchnię ziemią. Otworów wydrążonych w asfalcie nie zasypywano, lecz zalewano mieszaniną sadzy i cementu dentystycznego. Materiał wybuchowy był wyjątkowo ciężki, każdy pojedynczy ładunek ważył dwa i pół kilograma. Czterej mężczyźni umieścili w ziemi łącznie sto dwadzieścia kilogramów tego materiału.

Kiedy skończyli wypełniać i zaślepiać otwory, zebrali narzędzia i zniknęli w ciemności. Człowiek z Langley popatrzył na zegarek i czekał. Po upływie kolejnej minuty zatkał uszy. Eksplozja była niewiarygodnie silna. Mężczyznę powaliło na ziemię, chociaż znajdował się w odległości stu pięćdziesięciu metrów. Ziemia zadrżała mu pod stopami, a potworny huk boleśnie uraził bębenki. Ogluszony, zdołał wstać, kiedy pył zaczął opadać z nocnego nieba, pokrywając jezdnię autostrady. Mężczyzna nacisnął przycisk w zegarku, krztusząc się gryzącym dymem, który wdarł mu się do krtani. Popatrzył na wyświetlacz. Cała operacja zajęła dwadzieścia jeden minut i dziesięć sekund.

Czterech ludzi wyłoniło się z gęstej chmury dymu i pyłu. Tym razem nie nieśli już ekwipunku. Jeden z nich zawiązał linę wokół bioder kolegi i pomógł mu się opuścić na dno krateru. Pozostali dwaj mierzyli wielkość wyrwy za pomocą dwudziestometrowej taśmy. Po dłuższej chwili człowiek badający dno krateru pojawił się na powierzchni. Wszyscy czterej naradzali się przez kilka sekund, po czym jeden z nich podbiegł do człowieka z Langley.

- Jest całkiem równy - powiedział głosem nieco stłumionym przez wełnianą maskę. - Co najmniej pięć metrów głębokości, sześć metrów szerokości. Krater jest nieco głębszy w miejscu, gdzie kiedyś przebiegała jezdnia. Asphalt musiał odbić energię eksplozji.

- Doskonale - powiedział człowiek z Langley. - To powinno w zupełności wystarczyć. Zobaczmy się o trzeciej.

- Tak jest - odparł czarno ubrany. Zasalutował niedbale i pobiegł do pozostałych. Po chwili wszyscy zniknęli w ciemnościach. Minutę później człowiek z Langley usłyszał odgłos zapalającego silnika i oddalającej się ciężarówki, jadącej ze zgaszonymi światłami.

Mężczyzna zapalił kolejnego papierosa i podszedł do krateru, na miejscu którego jeszcze niedawno znajdowała się droga i kawałek pustynnej ziemi. Uśmiechnął się i wrócił na autostradę. Pięć minut później usłyszał nad głową warkot samolotu. Spojrzał na zegarek. Była północ. Transport dotarł na czas.

Kane przekręcił klucz w zamku i zmęczonym krokiem wszedł do ciemnego korytarza. Ziewnął donośnie, zaniknął za sobą drzwi i zaczął szukać wyłącznika światła. Coś uderzyło go boleśnie w kark. Upadając, potknął się o stolik, zrzucając z brzękiem aparat telefoniczny.

Czyjaś stopa wylądowała na jego żebrach; Kane instynktownie chwycił za kostkę i wykręcił ją. Przewrócił się na bok, nie puszczając obcej nogi, i napastnik upadł, uderzając o poręcz schodów.

Kane usiadł, z wysiłkiem chwytając powietrze. Żebra i bok bolały go potwornie. Przed jego oczami przemknął jakiś cień i Kane ledwo zdążył się schylić, kiedy potężny cios dosięgnął jego ramienia. Oszołomiony uderzeniem, zaczął na oślep machać rękami, próbując odepchnąć niewidocznego napastnika. Dostrzegł przed sobą niewyraźną postać i kopnął z całej siły. Całkiem przez przypadek udało mu się trafić w krocze. Napastnik wydał zdumiony okrzyk i upadł. Kane wymknął się do sypialni i zaczął tarzać się po podłodze; jęknął z bólu, kiedy jego poobijane żebra uderzyły o nogę stołu. W pokoju na chwilę rozbiły światło. Kane usłyszał nad głową stłumiony syk. Był pewien, że czuje zapach nafty. Spróbował wstać. Krzyki na korytarzu przypominały mu, że musi się spieszyć. Oparł dłoń na stole, chcąc się czegoś uchwycić, i zawył z bólu, kiedy jego palce natrafiły na coś gorącego. Udało mu się usiąść i wtedy zobaczył, co go oparzyło. Na stoliku leżała staroświecka spawarka, a z jej dyszy wydobywał się niewielki błękitny płomień.

Kane bardziej wyczuł, niż zobaczył postać napastnika pędzącego w jego stronę. Chwycił spawarkę i przekręcił zawór. Natychmiast z dyszy wyskoczył z sykiem prawie metrowy język ognia, pokrywając pokój niesamowitą mozaiką światła i cieni. Kane przez chwilę widział śniadą twarz, a potem napastnik wycofał się z krzykiem. Płomień ze spawarki pełzał po jego odzianym w skórę ramieniu. Kane zdołał wstać. Poczuł drzenie podłogi, kiedy ktoś zbliżał się do niego od tyłu. Odwrócił się, zataczając płomieniem spawarki szeroki łuk. Tym razem przeciwnik szedł pochylony i udało mu się powalić Kane'a na ziemię. Spawarka wypadła Kane'owi z rąk i wylądowała pod przeszkłonymi drzwiami balkonowymi. Żółty płomień natychmiast ogarnął zasłony i posuwał się coraz wyżej, aż do karnisza.

Kane był zwinny i wysportowany, lecz poderwanie się na nogi okazało się dla niego niemal zbyt dużym wysiłkiem. Przez chwilę stał, chwiejąc się, lecz po chwili drugi z napastników był już przy nim i uciskał jego klatkę piersiową. Kane spróbował wbić mu palce w oczy i po chwili uścisk zelżał. Potem przed Kane'em wyrosła jakaś postać i Jonathan poczuł potworny ból w czaszce. Upadł. Czuł, jak stolik załamuje się pod nim, a potem stracił przytomność i nic już nie widział.

Trzy metry od jego nieruchomej postaci języki ognia zawzięcie pełzały po drewnianej ścianie.

Niewielkie szczeliny rozszerzały się niedostrzegalnie pod osłoną nocy. Góra, stojąca spokojnie od dziesięciu milionów lat, budziła się z długiego snu. Cały jej stok był teraz pokryty drobną siateczką pęknięć. Ptaki i gryzonie uciekały, zaniepokojone drzeniem ziemi. Kilka kamieni potoczyło się w przepaść, wznosząc tumany kurzu w ciemnościach bezkسیężycowej nocy. Karłowate drzewa pochylały się coraz bardziej, chociaż nie było wiatru.

Wkrótce nadejdzie czas.

Rozdział 5

1 lipca

Dennis Penpraze siedział przy barze w zatłoczonej kawiarni motelu McGregor i rozmyślał. Spędziwszy trzy dni w Revelstoke, doszedł do wniosku, że trafił na straszne zadupie. Największą atrakcją w tym małym, otoczonym górami miasteczku był aparat do masażu wibracyjnego, zainstalowany w hotelowym łóżku.

W Revelstoke mieszkało pięć tysięcy ludzi. Wyglądało na to, że wszyscy pracowali albo w magazynach Canadian Pacific, albo w młynie nad rzeką. O ile Penpraze się orientował, nocne życie w ogóle tu nie istniało. Siedząc, dłubał w zębach drzazgą z pudełka od zapalek. Te góry naprawdę go niepokoiły. Za dnia wydawało się, że przytłaczają go swoimi olbrzymimi, wysokimi na parę tysięcy metrów sylwetkami, porośniętymi duszącą gęstwiną drzew. W nocy wyczuwał ich obecność, jakby olbrzymie ściany odcinały mu drogę ucieczki. Czuł się, jakby zamknięto go w lochu.

Penpraze przyglądał się, jak młoda kelnerka za barem podaje mu kawę i skromną porcję gumowatej jajecznicy. Poczul swędzenie erekcji. Dziewczyna, z pewnością miejscowa, miała szesnaście albo siedemnaście lat i zbyt mocny makijaż. Obcisły jasnozielony kostium ze sztucznego materiału, który miała na sobie, wrzynał się między pośladki, kiedy chodziła. Widać było, że zdaje sobie sprawę, co o niej myślą mężczyźni siedzący na sali. Zupełnie jak dziwki w Sajgonie. Penpraze poczuł, jak jego erekcja słabnie. Będzie tylko patrzył. Za każdym razem, kiedy decydował się na coś więcej, było to dla niego zimne, pozbawione życia doświadczenie. Fizjologiczna funkcja, tak jak oddawanie moczu. Wolał dać sobie spokój. Nie warto tracić czasu.

Penpraze wypił kawę i wiercił się na winylowym stoiku. Cholera. Miał teraz ważniejsze rzeczy na głowie. Na przykład pracę. Uśmiechnął się, rozmyślając, co zrobiłaby dziewczyna, gdyby wiedziała, że on jest agentem. Tajnym. Odwrócił niedbale głowę i popatrzył na otaczających go ludzi. Co zrobiłby każdy z nich? Pewnie pospadaliby z tych cholernych krzesel. Oni są jak stado owiec. Kiedy tak siedzą, popijając kawę i robiąc do siebie miny, nie mają w głowie nic poza swoją nudną pracą i szybkim posiłkiem. Nie mają pojęcia, kto siedzi wśród nich. Penpraze popatrzył na zegarek. Ósma czterdzieści pięć. Czas iść.

Rozkazy, które otrzymał, były proste i zwięzłe. Przybywszy do Revelstoke, miał zameldować się w motelu McGregor. Wcześniej zrobiono mu rezerwację. Następnie, posługując się własnym prawem jazdy, miał wynająć furgonetkę, najlepiej z napędem na cztery koła, przyjechać na swoje miejsce parkingowe przed motelem i tam ją zostawić, kładąc pocztówkę z widokiem Los Angeles na półce obok deski rozdzielczej. W żadnym wypadku nie wolno mu było jeździć tym samochodem. Pomiędzy ósmą trzydzieści a ósmą czterdzieści pięć miał przychodzić po dalsze rozkazy. Znajdowały się w koperce ukrytej pod siedzeniem. Czekać na nie, miał dowiedzieć się jak najwięcej o rejonie Revelstoke, zwracając szczególną uwagę na zapory - w Mica oraz tutejszą.

Postępował dokładnie według instrukcji. Przez całe trzy dni zadawał pytania każdemu, kto zgodził się z nim porozmawiać. Dwukrotnie odwiedził biuro terenowe B.C. Hydro, chcąc uzyskać szczegółowe informacje na temat zapór.

Penpraze dopił kawę i zapłacił rachunek, gapiąc się bezczelnie na kelnerkę, kiedy ta wydawała mu resztę. Zignorowała go. Wzruszył ramionami, wyszedł bocznymi drzwiami kawiarni i ruszył przez parking w stronę furgonetki. Mimo wczesnej pory słońce świeciło mocno, a niebo było bezchmurne.

Dotarł do samochodu, wgramolił się do kabiny i siedział w niej przez chwilę, wpatrując się w żółtą ścianę motelu. Sięgnął do kieszeni kurtki i wyciągnął lotnicze okulary słoneczne. Założył je i przejrzał się w lusterku. Doskonale. Poruszył ramionami, aby poczuć ciężar starej trzydziestkiósemki, ukrytej w kaburze pod pachą. Nie odwracając głowy, popatrzył jeszcze raz we wsteczne lusterko, potem w boczne. Nikogo nie było w pobliżu. Sięgnął ręką pomiędzy kolana i serce zaczęło mu bić jak oszalałe, kiedy poczuł pod palcami niewielką kopertę ukrytą wśród sprężyn. Wyjął ją, uważając, żeby nie była widoczna z zewnątrz. Rozerwał brzeg kciukiem i wyjął pojedynczą kartkę papieru. Kiedy przeczytał, pozwolił sobie na nieznaczny uśmiezek. To było to.

Przeczytał dwukrotnie instrukcję i nacisnął przycisk samochodowej zapalniczki. Kiedy zapalniczka wyskoczyła, przytknął żarzący się koniec do kartki i patrzył, jak papier spala się błyskawicznie, pozostawiając na podłodze kupkę szarego popiołu. Zapalił silnik, wrzucił wsteczny bieg i wyjechał z miejsca parkingowego.

Pięć minut później dotarł do opuszczonego złomowiska na północnym skraju miasteczka i skręcił w prawo, w starą Big Bend Road. Popatrzył na wielką zieloną tablicę stojącą na poboczu.

ZAPORA W MICA
USŁUGI TURYSTYCZNE
120 KILOMETRÓW

Kane miał wrażenie, że leży na dnie przepaści, w dodatku bez rąk, nóg i oczu. Dotarli do niego jakieś stłumione głosy, odbijające się echem od ścian korytarza, dudniące w jego głowie niczym daleki dźwięk dzwonu.

Później, choć nie zdawał sobie sprawy z upływającego czasu, przez kilka sekund wydawało mu się, że widzi przesuujące się twarze o rozmażanych kształtach, poruszające ustami. Lecz po chwili znów poczuł ból i skrył się w bezpiecznej przepaści, jaką stanowiła utrata przytomności.

- Mm... - mruknął wreszcie. Z trudem rozchylił wargi. Czuł w ustach kwaśny smak spalenizny. Wydawało mu się, że język urósł mu do nieprawdopodobnych rozmiarów. Zaczął znów tracić przytomność.

- Panie Kane! - Głos był stanowczy. Męski.

- Mm - powiedział znowu Kane. Przepaść, w której leżał, nagle zniknęła. Otworzył oczy.

- Jestem doktor Shillington - powiedział różowy obłok pochylający się nad nim. - Znajduje się pan w szpitalu Akademii Medycznej. Dziś jest pierwszy lipca.

- No to co? - wymamrotał niewyraźnie Jonathan. W różowym obłoku pojawiła się szczerlina. Nie wiedzieć czemu Kane poczuł zapach krochmalu. Świeża pościel. Niesamowite.

- Panie Kane? - powtórzył uparcie głos.

Shillington? Kane nie znał żadnego Shillingtona. Kiedy o tym pomyślał, poczuł, że ogarniają go mdłości. Miał wrażenie, że siedzi w pędzącej lokomotywie, a łóżko kołysze się na boki. Chwycił się kurczowo prześcieradła.

- Zawroty głowy to normalny objaw, panie Kane - powiedział Shillington.

Przykre odczucie minęło po kilku sekundach, lecz twarz lekarza wciąż wyglądała jak różowy obłok.

- Moje szkła - wykrztusił Kane. Proszę mi dać szkła kontaktowe. - Bez nich był bezradny jak niemowlę. Nie wiedzieć czemu, miał ochotę się rozplakać.

- Spokojnie, panie Kane. Wiem, że przeszedł pan swoje - powiedział łagodnie Shillington. - Jak się pan czuje?

Kane zastanowił się nad odpowiedzią. Miał wrażenie, że jego lewy bok został rozjechany przez walec drogowy, a z prawej części czaszki promieniował straszliwy ból, kiedy tylko się poruszył. Wyciągnął rękę i poczuł, że jest owinięta grubą warstwą bandażu.

- Czuję się paskudnie - odparł.

- To dobrze - powiedział Shillington, uśmiechając się znowu. - Ma pan szczęście, że w ogóle coś czuje. Poproszę pielęgniarkę, żeby przyniosła panu szkła kontaktowe i dajmy panu coś przeciwbólowego. Czy ma pan siłę na odrobiną życia towarzyskiego?

- Kto chce mnie zobaczyć? - spytał Kane.

Dwie czarne dżdżownice na czubku głowy doktora wygięły się w łuk.

- Prawdę mówiąc, bardzo atrakcyjna młoda kobieta.

- Niech wejdzie - powiedział Kane i zamknął oczy.

Dwie wprawne pielęgniarki krzątały się wokół niego przez parę minut, a potem Charlene Daly zajrzała przez drzwi i stanęła przy łóżku.

- Cześć - powiedziała. Przełknęła ślinę.

Kane spróbował się uśmiechnąć.

- Cześć - powiedział cicho. - Jak wyglądam?

Chuck zmarszczyła nos.

- Fatalnie - stwierdziła. - Ale mogło być gorzej. - Głos jej się łamał. Znowu przełknęła ślinę.

- Tak mi powiedział lekarz - odparł Kane. - Czy napisano o tym artykuł w „Intelligencer”? - Kane przybrał ton telewizyjnego sprawozdawcy. - Pan Jon Kane, znany konstruktor i geolog, został dotkliwie pobity, kiedy przeszkodził włamywaczom okradającym jego dom... - Zamilkł.

Chuck zmarszczyła czoło, a w jej oczach błyszczały łzy.

- To nie byli włamywacze - powiedziała.

Kane popatrzył na nią zaskoczony. Jeszcze raz spróbował się uśmiechnąć, lecz odniósł wrażenie, że tysiące odłamków szkła wbijają mu się w czoło.

- Z pewnością nie przyszli po to, żeby mnie nakłonić do złożenia datku na walkę z rakiem - powiedział, nie wiedząc, co Chuck ma na myśli. - Po prostu źle obliczyli z czasem, to wszystko. To znaczy, powinienem był...

- Posłuchaj mnie, do cholery! To nie byli włamywacze! Włamywacze nie podpalają ludziom domów za pomocą spawarki! - Chuck podniosła głos, a jej palce pobałdyły, gdy zacisnęła je na poręczu łóżka.

- Sam to zrobiłem - powiedział Kane. Kiedy sobie o tym przypominał, poczuł dotkliwy ból w głębi czaszki. - Wypadła mi z ręki i podpałiła zasłony.

- Och, na litość boską! Po pierwsze, co robiła spawarka w twoim pokoju? Szef straży pożarnej chciałby to wiedzieć. Ojej, przepraszam, nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. -

Chuck otarła łzy wierzchem dłoni i westchnęła. - Niestety, oni splądrowali również twoje biuro. Kiedy sekretarka przyszła tam we wtorek rano, wszystko było zdemolowane. Rozbito nawet kasę pancerną. Zniszczono też kilka biur na tym samym piętrze, żeby nie budzić podejrzeń, ale i tak wiadomo, że chodziło im o ciebie.

- Czy to ty znalazłaś mnie w domu? - spytał Kane, usiłując cokolwiek sobie przypomnieć. Nic. Pustka.

Chuck skinęła głową i uśmiechnęła się, odwracając wzrok.

- Owszem. Powinnaś zostać Harcerką Roku. Zrobiłam ci sztuczne oddychanie i tak dalej. Strażacy powiedzieli, że gdybym przyjechała pięć minut później, byłbyś już tylko stertą popiołu. - Uśmiechnięte usta zadrżały nieznacznie. - Rany, Jon! Co tu się dzieje? W co ty się wpakowałeś? - Przeszła na drugą stronę łóżka i osunęła się na krzesło.

- Nie jestem pewien - powiedział Kane, oszołomiony. - Chciałbym wiedzieć, co ci ludzie robili w moim domu i w moim biurze.

- Szukali informacji. I chcieli cię zabić - powiedziała Chuck. - Wiem to po sposobie, w jaki się na ciebie zaczęli. Zamierzali cię zabić i podpalić dom.

- Ale skąd wiedzieli? - zapytał niepewnie Kane, usiłując myśleć logicznie. - Skąd wiedzieli, kiedy wracam do domu? Nikomu nie mówiłem, ile czasu zamierzam spędzić w Vancouver. Jediną osobą, która wiedziała o moim powrocie... - Zamilkł i obrócił głowę na poduszce, żeby popatrzeć na dziewczynę.

- .. byłam ja - dokończyła Chuck. - Tylko ja o tym wiedziałam. - Tym razem ona zamilkła. Wpatrywała się w niego oczami rozszerzonymi z przerażenia. - O mój Boże! Ty chyba... chyba nie myślisz, że to ja...

Kane pokręcił głową i kiwnął przecząco dłonią.

- Nie, nie. Ale byłaś jedyną osobą, która wiedziała. Twój telefon musiał być na podsłuchu. Ktoś usłyszał naszą rozmowę, zrozumiał, że wiem zbyt wiele i postanowił mnie wykończyć. Ale to też wydaje się bez sensu. Skoro ktoś nas podsłuchiwał, musiał wiedzieć, że przyjedziesz do mnie o północy.

- Chcesz powiedzieć, że mnie też chcieli wykończyć? - szepnęła Chuck, drżąc.

Kane skinął głową.

- To jedyne rozsądne wytłumaczenie. Najpierw mnie, potem ciebie. Na końcu mieli podpalić dom. Ale ja pokrzyżowałem im plany i ciebie musieli zostawić na później.

Chuck wstała z krzesła, obeszła łóżko i usiadła obok Kane'a. Wzięła jego rękę i ścisnęła delikatnie.

- Nie byłeś pierwszy - powiedziała wreszcie. - Przed tobą był Halleran.

Kane na chwilę zamknął oczy, potem znów je otworzył.

- Powiedz coś więcej - poprosił.

- On nie żyje - szepnęła Chuck. Ścisnęła mocniej jego dłoń. - Dostałam wiadomość we wtorek. Oficjalnie wiadomo, że tankował paliwo do samolotu w poniedziałek o dziesiątej wieczorem. Zbiornik eksplodował. Uznano to za nieszczęśliwy wypadek.

Kane oparł głowę na poduszce i znów zamknął oczy. Tego już było za wiele. Chciał od wszystkiego uciec i zacząć od nowa. Cofnąć te wszystkie dni, które poświęcił na prowadzenie śledztwa. To było szaleństwo. Przecież sprawował urząd państwowy, był inżynierem, drobnym kółkiem w wielkiej machinie. Takie historie przydarzały się tylko w fumach, na przykład szpiegom w Berlinie. Na pewno nie ludziom takim jak on. Wresz-

cie jego umysł poddał się i Kane leżał w milczeniu, nie mogąc uwierzyć w to, co go spotkało. Potem zaczął w nim narastać gniew - wściekły gniew, który opanował go niemal całkowicie. To wszystko prawda. Oni - kimkolwiek byli - zabili Hallerana, próbowali zabić jego i Chuck. Skoro raz się nie udało, spróbują ponownie. Otworzył oczy.

- Musimy się stąd wydostać. Natychmiast - powiedział stanowczo. Usiadł na łóżku, a ból w głębi czaszki stał się nie do zniesienia.

- Nie bądź głupi - powiedział Chuck. - Lekarz twierdzi, że masz wstrząs mózgu. Powinieneś pozostać w łóżku co najmniej przez tydzień. Byłeś nieprzytomny przez prawie trzy dni.

Spróbowała ułożyć go z powrotem na poduszce. Odechnął ją i po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że jego lewa dłoń jest zabandażowana. Przypomniał sobie, jak dotknął dyszy spawarki. A więc wszystko się zgadzało.

- Przynieś mi ubranie i zorientuj się, czy jest tu jakieś boczne wyjście - nakazał, siadając na skraju łóżka. Pokój wirował mu przed oczami.

- Dokąd pojedziemy? - spytała Chuck. Kane popatrzył na nią błędnym wzrokiem.

- Do Olympii - wymamrotał. - Musimy rozpętać wielką awanturę.

- Co takiego? - Chuck, rzecz jasna, myślała, że Kane bredzi. Lecz po chwili wyglądał już znacznie lepiej.

- Obiecałem to Halleranowi. - Opuścił nogi na ziemię. - Nie zamierzam tu tkwić. Przynieś mi ubranie.

Przewodnik wycieczki, zdruzzonego młodego człowieka o czerwonych policzkach i włosach tak jasnych, że wyglądały jak tlenione, prowadził niewielką grupę przez tunel wiodący z centrum administracyjnego bazy w Richland do budynku reaktora termojądrowego. Jego monotony głos odbijał się głuchym echem od ścian wąskiego, jasno oświetlonego korytarza.

- Przewodami, które tu widzicie, jest przesyłana większość informacji z budynku reaktora. Są to dane komputerowe, sygnały wizyjne z kamer wideo, sygnały z instalacji alarmowej. Tym grubym przewodem po lewej stronie płynie prąd. Jest to dodatkowe źródło zasilania, na wypadek awarii instalacji w reaktorze.

Przewodnik dotarł do końca tunelu i zatrzymał grupę przed gładkimi drzwiami windy. Nacisnął przycisk i drzwi niemal natychmiast rozsunęły się z sykiem. Zaprosił wycieczkę do windy. Drzwi zamknęły się i kilka sekund później otworzyły na główny hol budynku reaktora. Przewodnik kontynuował swój wywód, podczas kiedy wycieczka przechodziła przez przestronną salę; wreszcie zatrzymali się przed modelem reaktora, przeciętym w połowie, aby ukazać jego wnętrze. Przewodnik gmerał przez chwilę przy panelu kontrolnym, aby oświetlić wybrane elementy modelu.

- Przy głównym holu znajduje się stanowisko strażników - zaintonował, wskazując na drzwi w południowej ścianie sali. - Z tego miejsca zmieniające się przez całą dobę straże mogą dzięki kamerom obserwować praktycznie wszystko, co dzieje się w budynku. - Wyszczerył zęby w wytrenowanym uśmiechu. - Możliwe, że nawet w tej chwili jesteśmy obserwowani - dodał, wskazując na sufit.

Wszyscy posłusznie podnieśli głowy i ujrzeli baterię kamer ustawionych tak, aby pokazywały każdy skrawek holu, łącznie z głównymi drzwiami wejściowymi.

- Po drugiej stronie holu, dokładnie przed nami - ciągnął przewodnik - znajdują się drzwi prowadzące do samego reaktora. - Wskazał na podwójne, masywne, żelazne drzwi, jednocześnie przekręcając wyłącznik, który zapalał odpowiednie światelko na modelu. - Drzwi te są wykonane z blachy tytanowej. Każde skrzydło waży jakieś sześć i pół tony - oznajmił z dumą. W grupie rozległy się jęki podziwu. - Za tymi drzwiami znajdują się laboratoria i centrum sterowania. - Zapalił kolejne lampki na modelu, po obu stronach holu. - W tych laboratoriach prowadzi się wiele pożytecznych i wartościowych eksperymentów z izotopami wytwarzanymi przez reaktor. Centrum sterowania, które widzimy po prawej stronie modelu, stanowi ośrodek nerwowy całego kompleksu. Właśnie tam kilku doskonale wyszkolonych ludzi śledzi procesy zachodzące wewnątrz reaktora. Pomaga im jeden z największych komputerów w Stanach Zjednoczonych. Gdyby doszło do awarii - co jest niezwykle mało prawdopodobne - na przykład gdyby nastąpiło przegrzanie lub pęknięcie korpusu, wówczas reaktor zostałby bezpiecznie wyłączony przez ekipę ukrytą za ścianami grubymi na półtora metra.

Przewodnik znów przybrał wystudiowany uśmiech.

- Centrum sterowania jest hermetycznie zamknięte i posiada własne zasoby świeżego powietrza. Jest też wyposażone w awaryjny system zasilania. Znajdujące się tu wskaźniki są również zainstalowane w magazynie paliw nuklearnych oraz w budynku administracyjnym. Ma to zapewnić bezpieczne funkcjonowanie reaktora. Wszystkie czujniki są testowane co dwa tygodnie, abyśmy mieli pewność, że działają poprawnie. - Przewodnik nacisnął następny przycisk, oświetlając kolejny, tym razem większy element modelu. - To, co tutaj widzimy, to zlewnia i centralny magazyn paliwa nuklearnego. Ma on przeszło dwadzieścia metrów średnicy i siedemnaście metrów wysokości. Centrum sterowania oraz laboratorium są oddzielone od magazynu komorą próżniową... - następny przycisk, następna lampka -...która zapobiega skażeniu radioaktywnemu ludzi pracujących przy załadunku paliwa. To właśnie w magazynie paliw wiązki rdzeni są umieszczane w „plastrze miodu”, dużym, okrągłym otworze, który widzimy na głównej ścianie reaktora przylegającej do magazynu. Ponad plasterem miodu, przy samym suficie, widzimy kilka podestów. Używa się ich przy sprawdzaniu temperatury cieczy chłodzącej, znajdującej się w tych białych rurach. W rzeczywistości rury te mają średnicę ponad dwudziestu pięciu centymetrów. Ciekły sód, który zawierają, przenosi ciepło z reaktora do wymiennika ciepła, znajdującego się obok. Ciekły sód rozgrzewa się w trakcie tego procesu do około pięciuset stopni Celsjusza.

- Ile to będzie w skali Fahrenheita? - zapytał któryś ze zwiedzających.

- Dziewięćset trzydzieści dwa stopnie - wyjaśnił natychmiast przewodnik. Zawsze ktoś o to pyta. Odwrócił się od modelu i poprowadził wycieczkę w stronę drzwi wiodących do głównego bloku reaktora.

Max Rudnick, stojący w pokoju strażników przy pulpicie sterowania kamerami, patrzył kątem oka na obraz z holu, w którym znajdowała się grupka turystów.

- Dajcie zbliżenie na wschodniej kamerze - powiedział cicho

Człowiek obsługujący pulpit nacisnął kilka przycisków i grupa turystów urosła na ekranie. Po chwil, widać było już tylko plecy Vince'a Snydera.

- Cholerne, długowłose gnojki - wymamrotał Rudnick.

- To będzie znacznie łatwiejsze, niż przypuszczałem - powiedział Vince Snyder. Półtorej godziny temu wyszli z budynku reaktora. Teraz on, Paula St. George i Ronald Bateman jedli spóźnione śniadanie w swoim pokoju w motelu Richland.

- Jak to? - spytała Paula z ustami pełnymi jajeczniczy. Bateman z ponurą miną przeżuwał kawałek żytniego tosta. Przez ostatni tydzień Paula otwarcie flirtowała ze Synderem. Bateman wiedział, że zbliża się chwila, kiedy będzie musiał coś z tym zrobić, ale nie bardzo wiedział co. Prawdę mówiąc, był mocno przestraszony.

- Nie myślałem, że wykażą się aż takim niechlujstwem - powiedział Snyder. - Po pierwsze, jedyny alarm przeciwwłamaniowy, jaki widziałem, składał się z kawałka folii przyklepionej na szybie. Nie stosuje się tego od dziesięciu lat. Mogę przejść przez takie okno w ciągu pięciu minut.

- Czemu mielibyśmy wchodzić do budynku administracyjnego? - spytał Bateman, poirytowany. - Przecież cała ta eskapada ma za zadanie pokazać, z jaką łatwością terroryści mogliby się wedrzeć do samego reaktora.

Snyder pokiwał głową, popijając kawę.

- Właśnie. - Posłał Batemanowi protekcjonalny uśmiezek. - Zapewne pamiętasz, Ronaldzie, że z budynku administracyjnego można dojść tunelem do reaktora. Jeśli wdrzemy się do budynku administracyjnego, wystarczy iść tym tunelem, żeby dotrzeć do holu. Dokładnie tak jak w czasie wycieczki.

- A wtedy strażnicy zobaczą nas przez kamerę i wyjdą ze swojego pokoju z wycelowaną bronią - mruknął Bateman. - Bardzo konstruktywne.

- Dlaczego nie dasz Vince'owi skończyć? - burknęła Paula, odwracając się w jego stronę. - Mów dalej, Vince.

Snyder pokręcił głową i uśmiechnął się.

- Hm - mruknął. - Będę jeszcze musiał coś sprawdzić, ale myślę, że sobie z tym poradzimy.

- Mam nadzieję - powiedział Bateman, mierząc go posępnym spojrzeniem. - Jeśli nie, to już po nas.

Dokładnie trzydzieści dziewięć i pół kilometra za znakiem stojącym na poboczu Big Bend Highway, Dennis Penpraze skręcił furgonetką w wąską drogę do tartaku. Droga pięła się po stromym, porośniętym drzewami stoku góry i wkrótce szosa pozostała daleko w dole. Według instrukcji miał przejechać tą drogą szesnaście i pół kilometra. Kiedy przebył tę właśnie odległość, natrafił na niewielką polanę obok drogi. Na środku polany stał niewielki drewniany szałas bez okien, utrzymywany na grząskiej ziemi przez krótkie żelazne podpory.

Penpraze zjechał z drogi na polanę i zaparkował samochód obok szałas. Wyłączył silnik, opuścił szybę i czekał, nasłuchując. Po pięciu minutach wysiadł z furgonetki, wziął z bagażnika łyżkę do opon i podszedł do drzwi szałas. Były zamknięte na zwykłą zasuwkę. Spróchniałe drewno natychmiast ustąpiło i drzwi stanęły otworem.

Ciemne wnętrze szałas było wypełnione prawie czterema tonami materiałów wybuchowych. Wszystkie skrzynki z detonatorami, torby z nitramitem i pudełka z zapalnikami i laskami dynamitu miały oznaczenia departamentu autostrad w Kolumbii Brytyjskiej. Penpraze uśmiechnął się na widok dobrze mu znanych akcesoriów.

Ostrożnie posegregował materiały, zostawiając baryłki prochu strzelniczego i proszku detonującego nitramit, a wybierając laski dynamitu i detonatory wysokociśnieniowe. Wziął też dwa zwoje lontu, małą skrzynkę zapalników oraz nożyce do cięcia drutu. Przerzucił wszystkie materiały na tył furgonetki, przykrywając skrzynki plandeką, którą zakupił dzień wcześniej. Pod siedzeniem ukrył jeszcze pięćdziesiąt lasek dynamitu, przykrywając je swoją wiatrówką.

Kiedy wszystko załadował, wdrapał się na siedzenie kierowcy i ruszył w drogę powrotną do Revelstoke. Po drodze zatrzymał się tylko raz, w centrum handlowym na przedmieściach miasta, gdzie poszedł do działu sportowego i nabył plecak ze stelażem, pistolet sygnałowy, skrzynkę rac oraz jednostrzałową strzelbę Cooeya i pięć paczek naboju. Włożył zakupy do plecaka, z wyjątkiem strzelby, którą niósł osobno w futerale. Zajrzał jeszcze do sklepu przemysłowego, gdzie zakupił pół tuzina sześciogodzinnych minutników kuchennych, piłkę do metalu i pięć rolek taśmy izolacyjnej. Znow spakował wszystko do plecaka. Wrócił do samochodu, pojechał do motelu McGregor i poszedł do swojego pokoju. Kiedy rozpakował plecak, była już dwunasta trzydzieści. Chociaż żołądek skurczył mu się z głodu, Penpraze usiadł do pracy, pogwizdując i rozmyślając o kelnerce z kawiarni.

Pojechali szosą międzystanową Tacoma-Olympia. Chuck siedziała za kierownicą mercedesa 230-S z 1968 roku, a Kane obok niej, wciśnięty w miękki skórzany fotel. Wyglądał przez okno, kiedy mknęli nowoczesną, czteropasmową jezdnią, przecinającą lasy i pola uprawne okręgu Pierce. W oddali, po stronie wschodniej, nieustannie towarzyszył im ośnieżony szczyt Mount Rainier, wyłaniający się na tle postrzępionej linii Gór Kaskadowych, ciągnących się wzdłuż horyzontu.

Od dwóch godzin jechali cały czas na południe. Kane wciąż był obolały. Najbardziej dokuczały mu trzy złamane żebra, pamiątka stoczonej walki. Chociaż był ściśle owinięty elastycznym bandażem, przy każdym ruchu czuł potworne pieczenie w piersi. Ból ręki trochę się zmniejszył, lecz nie ustępował. Kane wiedział, że Chuck, siedząca obok za kierownicą wiekowego mercedesa, prowadzi ten wielki samochód najdelikatniej jak potrafi, aby nie przysparzać Jonowi dodatkowych cierpień. Od wyjścia ze szpitala prawie nie rozmawiali, oboje zagrożeni w rozmyślaniach.

Chuck pierwsza przerwała milczenie.

- Jon, co by było, gdyby zapora rzeczywiście się zawałiła? - zapytała szeptem.

Kane popatrzył w okno, zamyślony. Przed nimi czarny błyszczący chrysler zjechał na pas awaryjny.

- Nie jestem całkiem pewien - powiedział, odwracając się do dziewczyny i krzywiąc z bólu. - Próbowałem to ustalić. W najlepszym razie zniszczeniu ulegną miasta w kanadyjskiej części dorzecza Kolumbii, a na północnych obszarach stanu Waszyngton nastąpi wielka powódź. Miasto Spokane też może ucierpieć, jeśli woda cofnie się korytem rzeki Spokane. - Zobaczył, że Chuck spogląda co chwila we wsteczne lusterko. Obrócił się w fotelu, krzywiąc z bólu po raz kolejny. Jadący za nimi jasnoniebieski lincoln zbliżył się na odległość trzydziestu metrów. Kane zmarszczył brwi. Na autostradzie prawie nie było ruchu. Dlaczego jakiś samochód miałby jechać uparcie za nimi? Tymczasem Chuck kontynuowała rozmowę.

- Powiedziałaś: w najlepszym razie - zauważyła. - Skoro to jest najlepsze, czego oczekujesz, to jak wygląda najgorsze?

Kane ostrożnie oparł głowę na miękkim zagłówku.

- To się nazywa „domek z kart” - powiedział i zamknął oczy. - To taka teoria, o której przez jakiś czas było dość głośno. Według niej, jeśli w dorzeczu zawali się najwyżej położona tama i jeśli nachylenie terenu jest odpowiednio duże, to wytworzona fala zniszczy wszystkie niżej stojące zapory. Rozsypią się jak domek z kart. Wiele nad tym dyskutowano po katastrofie w Teton w siedemdziesiątym szóstym, ale jeszcze nigdy takie zjawisko nie wystąpiło. Nikt nie chciał poważnie brać tego pod uwagę.

- Czy to się może wydarzyć na Kolumbii? - spytała Chuck.

Kane wyprostował się na siedzeniu i sięgnął do schowka po paczkę papierosów.

- Myślę, że tak - powiedział, zapaliwszy. - Teren jest wystarczająco pochyły, zwłaszcza po tamtej stronie granicy. Według strzępów informacji, które do mnie dotarły, poziom rzeki obniża się o pół metra na kilometr.

- To niewiele - stwierdziła Chuck.

- Żartujesz? To strasznie dużo. Rzeka Kolorado ma ponad dwa razy mniejsze nachylenie, a wiesz przecież, jak prędko płynie.

- Jeśli tak na to spojrzeć - odparła Chuck. - Ale trudno mi to sobie wyobrazić.

Kane skinął głową.

- Wiem. Właśnie to będzie największym problemem w Olympii. Ciężko będzie przekonać biurokratów, że zapora tej wielkości co ta w Mica może się w ogóle zawalić. - Kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Lincoln zaczął ich wyprzedzać, a za nim pojawił się drugi chrysler, identyczny jak ten, który jechał przed nimi.

- Wiesz już, z kim będziesz rozmawiał? - spytała Chuck.

Kane skinął twierdząco. Lincoln wyprzedzał ich zdumiewająco powoli.

- Myślę, że zacznę od władz stanowych... - zaczął Kane.

Lincoln jechał teraz bezpośrednio przed nimi. Chrysler jadący z tyłu był niecałe sześć metrów od ich tylnego zderzaka. Kane błyskawicznie obrócił się na fotelu. Jadący przed nimi chrysler zwalniał, miał zapalone światła stopu.

- Chuck! - krzyknął Kane, zrozumiałwszy co się dzieje. W okamgnieniu lincoln skręcił w prawo, uderzając bokiem w ich samochód, który odskoczył gwałtownie i przechylił się na bok. Chrysler jadący z tyłu nagle przyspieszył i uderzył w mercedesa. Uderzenie wbiło Kane'a w fotel. Jonathan wydał z siebie jęk, czując, jak przestawiają mu się zębra.

Chuck skręciła w lewo, kierując samochód prosto na lincolna. Masywny stalowy zderzak mercedesa wsunął się w nadkole lincolna, przecinając błotnik i rwąc oponę na strzępy. Lincoln odskoczył z piskiem, uderzył w barierkę dzielącą jezdnię i zaczął koziółkować. Po trzecim obrocie stanął w płomieniach i eksplodował. Chuck nie zwracała na to uwagi. Z całej siły nacisnęła gaz, zajmując pas zwolniony przez lincolna. Mercedes pomknął naprzód; dwurzędowy, ośmiocylinnowy silnik Boscha pozwolił mu błyskawicznie wyminąć jadącego z przodu chryslera.

Bezpośrednio przed nimi barierka dzieląca drogę zwążyła się, a wreszcie zniknęła, kiedy zbliżyli się do jednoprzęsłowego mostu nad rzeką Nisqually. Chuck spojrziała przełotnie w lusterko, potem na Kane'a, który sprawiał wrażenie umierającego. Jeszcze raz

popatrzyła w lusterko. Dwa chryslery znajdowały się niecałe trzydzieści metrów za nimi. Zerknęła przed siebie. Na moście nie było ani jednego samochodu.

- Zrobimy podwójny strzał - mruknęła pod nosem. Wyciągnęła prawą rękę, wyłączyła automat i zredukowała bieg. Silnik zawył i samochód natychmiast zwolnił. Chuck położyła prawą rękę z powrotem na kierownicy, a lewą sięgnęła pod deskę rozdzielczą, aby ciągnąć ręczny hamulec. Po chwili nacisnęła z całej siły na pedał hamulca głównego.

Mercedes wpadł w poślizg, obracając się powoli na zablokowanych kołach, i zatrzymał w poprzek drogi, blokując obydwie pasy. Kierowcy obu chryslerów zareagowali odruchowo i skręcili, żeby uniknąć zderzenia - jeden w lewo, drugi w prawo. Samochody przebiły ochronne barierki niemal jednocześnie i spadły w spokojny nurt rzeki Nisqually, płynącej dwadzieścia metrów niżej.

Kane wyprostował się, jęcząc. Czuł się, jakby ktoś uderzył go kowalskim młotem. Huczało mu w głowie, a cały świat zdawał się wirować. Po chwili doszedł do siebie i odwrócił się do Chuck. Siedziała sztywno, z wytrzeszczonymi oczami, z pobladłymi palcami zaciśniętymi kurczowo na skórzanej kierownicy.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Kane.

- W porządku - odparła. - Lata gry w bilard nareszcie się do czegoś przydały... - Głos jej się załamał i opadła bezwładnie na kierownicę, szlochając. Drżała jeszcze godzinę później, kiedy samochód prowadzony przez Kane'a minął granicę miasta Olympia. Kopuła Urzędu Stanowego w śródmieściu, oświetlona popołudniowym słońcem, wyglądała jak olbrzymia szynka.

Załatwienie czegokolwiek w stolicy stanu zawsze bywa kłopotliwe. Kane doszedł do wniosku, że na dzień przed pierwszym wakacyjnym weekendem jest to praktycznie niemożliwe. O czwartej trzydzieści miasto było prawie całkiem wyludnione. Ci urzędnicy, którzy jeszcze nie wyjechali, bez entuzjazmu zaczęli rozmowę z wystraszonego człowiekiem w zabłoconym garniturze i z zabandażowaną ręką. Gdyby nie jego rządowe dokumenty, Kane zapewne nie zostałby wpuszczony do środka przez strażników urzędu. Jak łatwo zgadnąć, ludzie, z którymi przyszło mu rozmawiać, przeważnie patrzyli na niego jak na wariata i próbowali zbyć jak najprędzej, twierdząc, że mają do załatwienia bardzo pilną sprawę.

Wreszcie, po prawie godzinnej gadaninie, Kane zaczął tracić cierpliwość. W zdumiewająco krótkim czasie znalazł się w gabinecie gubernatora.

Gloria Cullen, gubernator, właśnie wyjechała z miasta do swojej letniej rezydencji na równinie Puget, lecz jej asystentka, Eleanor Sweet, trzydziestoparoletnia kobieta o zaciętej twarzy, wciąż tkwiła za biurkiem.

Kane postanowił nie owijać w bawełnę i opowiedział urzędnicze całą historię, począwszy od pierwszych podejrzeń aż po wydarzenia na autostradzie. Opowieść zajęła mu prawie godzinę, a w jej trakcie Eleanor Sweet kilkakrotnie sprawiała wrażenie, jakby za chwilę miała wezwać psychiatrę, lecz Kane nie poddawał się, a Chuck uzupełniała luki w jego wypowiedzi.

- Niewiarygodne - powiedziała chłodno Sweet, kiedy skończyli.

- Ale prawdziwe.

- Gdyby nie to, że ma pan rządowe papiery, nie zawahałabym się pana stąd wyrzucić - stwierdziła Sweet. - Jednak biorąc pod uwagę pańskie stanowisko, muszę przy-

znać, że nie bardzo wiem, jak postąpić. Szczerze mówiąc, to, co pan mówi, brzmi jak zupełne szaleństwo. Jakie pan ma dowody, panie Kane? - Strząsnęła nieistniejący pyłek z dopasowanego, tweedowego żakietu.

- Wystarczy, że skontaktuje się pani ze szpitalem w Seattle oraz z policją stanową. Jestem pewna, że znaleziono już wraki - powiedziała Chuck, zdesperowana.

- Ale co mi to da? - zapytała Sweet. - Dowiem się, że pan Kane przebywał ostatnio w szpitalu z powodu dolegliwości, których mógł się nabawić w różnych sytuacjach, a dziś byliście państwo świadkami serii wypadków drogowych.

- Na litość boską, niech pani nie udaje idiotki - warknął Kane. Eleanor Sweet zesztyniała i Kane zrozumiał, że popełnił błąd. - Proszę posłuchać - poprosił trochę uprzejmiej - dlaczego miałbym pani opowiadać taką historię, gdyby była nieprawdziwa? Co by mi z tego przyszło? Jeśli wierzy pani, że jestem tym, za kogo się podaję, w taki razie powinna pani przynajmniej sprawdzić, czy moje słowa są prawdziwe. Trzeba jak najszybciej poinformować gubernatora. Jeśli nie podejmie się natychmiast jakichś działań, będziemy mieli straszne kłopoty.

Sweet wciąż nie wyglądała na przekonaną.

- To jak? - spytał Kane. - Skontaktuje się pani z gubernatorem, czy mam pójść gdzie indziej?

- Gdzie indziej? - Sweet uśmiechnęła się z politowaniem. - A gdzie, na litość boską?

- „Post Intelligencer” - odparła Chuck. - Albo prosto do telewizji.

- Rozumiem - powiedziała urzędniczka, zaciskając usta.

Kane pochylił się do przodu, podnosząc ręce w geście zaprzeczenia.

- Proszę mi wierzyć, pani Sweet, to jest ostatnia rzecz, na jakiej nam zależy - powie diał. - Ujawnienie takiej historii mogłoby wywołać straszną panikę. Ale jeśli to jedyny sposób, nie zawahamy się. Jeden człowiek już zginął. Kilkrotnie próbowano zabić panią Daly i mnie. Trzeba nagłośnić sprawę natychmiast, zanim będzie za późno.

Kane wyciągnął się na sofie, ostrożnie podtrzymując pęknięte żebra. Sweet popatrzyła na niego, zastanawiając się nad całą sytuacją. Po dłuższej chwili skinęła głową.

- W porządku. Spróbujmy dojść do porozumienia. Dla dobra sprawy założmy, że pańska opowieść jest prawdziwa; w takim razie wasze życie jest w niebezpieczeństwie. A zatem musicie mieć ochronę. Z drugiej strony, równie dobrze możecie być parą szaleńców, odgrywających tę całą farsę nie wiadomo po co. Muszę mieć czas na sprawdzenie waszej historii, zanim porozumiem się z gubernatorem. Zgoda?

- Zgoda - odparł Kane. Chuck skinęła głową.

- Dobrze - powiedziała Sweet, chwytając za słuchawkę telefonu stojącego na biurku. - Załatwię, żebyście zostali przewiezieni do motelu i otrzymali ochronę. Jeśli wasza historia okaże się prawdziwa, skontaktuję się z panią gubernator najszybciej, jak będę mogła. Jeśli kłamiecie, pošlę was do więzienia za naruszenie porządku publicznego. Zrozumiano?

Chuck i Kane w milczeniu pokiwali głowami, a Sweet zaczęła wykręcać numer.

Z jakiegoś powodu Kane był zaniepokojony. Wiedział, że jego historia musi zostać sprawdzona. A jeśli potwierdzenie się nie znajdzie? Kane nie odzywał się, kiedy milczący szofer wiozł ich przez miasto i eskortował do oddzielnych, lecz połączonych ze sobą

pokoi w motelu Olympic, położonym w pobliżu rzeki. Był to niewielki motel, oprócz nich nie było tu prawie żadnych gości. Przydzielono im miejsca jak najdalej od recepcji, a przyległe pokoje były puste. Po drugiej stronie ulicy stał nieoznakowany policyjny samochód. Motel przylegał do wielkiego sklepu z częściami samochodowymi i wszystkie okna wychodziły na jedną stronę. Wyglądało na to, że będą tu w miarę bezpieczni, zwłaszcza że charakterystyczny samochód Chuck został odholowany na policyjny parking i nie przyciągał niczyjej uwagi.

- To dla mnie niewygodne... - zaczął z wahaniem Kane, kiedy leżeli nadzy na łóżku, w ciemnym pokoju.

- Co jest niewygodne? Z wyjątkiem tego, co powinno? - spytała Chuck, gładząc go po zabandażowanych plecach.

Kane roześmiał się.

- Twoje imię - odparł.

- Co w nim niewygodnego? - zapytała.

- Cóż, jak ja mam powiedzieć: „Kocham cię, Chuck”? To znaczy... to brzmi jakoś dziwnie.

- Moim zdaniem brzmi bardzo dobrze - odparła, obracając jego głowę i całując go delikatnie. - W każdym razie lepiej niż Charlene. Może chcesz spróbować jeszcze raz?

- Kocham cię, Chuck.

- Ja ciebie też, Johnny. - Przez chwilę leżeli w milczeniu, dotykając się delikatnie.

- Ciekawe, czy moje zebra będą nam przeszkadzały? - szepnął Kane, przekręcając się na bok i dotykając zdrową ręką gładkich, wąskich pleców dziewczyny.

- Nie sądzę - szepnęła, przyciągając go mocno. Objęła go obiema nogami i wprowadziła w głąb siebie, zaciskając uda na jego talii. Zaczęła poruszać się powoli, kołysząc nim lekko i wciskając go coraz bardziej w siebie. Poczuł, jak jej usta muskają jego ucho, i usłyszał mruczenie, nieukładające się w żadną melodię. Ten głos i te ruchy odsunęły od niego wszelkie obawy. Zamknął oczy, pragnąc za wszelką cenę, żeby ta chwila nigdy się nie skończyła.

Część 2

DOMEK Z KART

Rozdział 6

4 lipca

12.08 czasu zachodnioamerykańskiego

15.08 czasu wschodnioamerykańskiego

Pułkownik William D. Canterra dla przyjaciół Dzikie Bill, dla zwierzchników „szalony sukinsyn Canterra”, pociągnął w górę nos swojego F-111, aby wzbić się wysoko w nocne niebo. Prawie półtora kilometra niżej światła Spokane lśniły słabo; ich skąpa poświata niemal ginęła w otaczającym ją mroku. Jednak Canterra nie zwracał uwagi na dalekie światła miasta ani na żadne ślady cywilizacji docierające do niego z ziemi. Przyziemne sprawy go nie interesowały.

Choć jego matka gorąco temu zaprzeczała, Canterra był przekonany, że urodził się w samolocie. W żaden inny sposób nie dawało się wyjaśnić nieopisanej miłości, jaką darzył wszystko, co lata. W wieku trzech lat zaczął pomagać ojcu w budowaniu modeli samolotów. Mając lat osiem, zaczął konstruować modele napędzane silnikiem. Kiedy skończył dziesięć, rodzice ulegli wreszcie jego nieustannym namowom i zafundowali mu lot turystyczny nad jego rodzinnym miastem. Po ukończeniu trzynastu lat zapisał się do szkoły kadetów, a w dniu osiemnastych urodzin zgłosił się do sił powietrznych.

Po miesiącu spędzonym przez niego w szkole pilotażu instruktorzy zdali sobie sprawę, że mają do czynienia z geniuszem. Niektórzy rodzą się, aby komponować wielkie symfonie albo projektować wspaniałe budynki. Canterra pasjonował się samolotami. Chciał pilotować wszystko, co lata, i zrealizował to pragnienie. Pilotował bombowce i transportowce, śmigłowe i odrzutowe; pilotował szybowce, helikoptery. Wszystko.

W Wietnamie poznał swój ulubiony F-111. Wielu jego kolegów pilotów uważało ten potężny myśliwiec bombardujący o rozkładanych skrzydłach za śmiertelną pułapkę, lecz dla Canterry była to miłość od pierwszego wejrzenia. W czasie wojny zgromadził na swoim koncie więcej udanych misji bojowych niż jakikolwiek inny pilot. Następnie latał w Rodzji, a później w jednostce NATO bazującej w Niemczech. Powrócił do Stanów w randze pułkownika i został instruktorem w tej samej szkole, w której zaczynał karierę.

Papierkową robota była nużąca, a po kilku miesiącach robienie asów z niedoświadczonych pilotów nie stanowiło już wyzwania. Canterra zwrócił się do kilku swoich przyjaciół piastujących wysokie stanowiska w Pentagonie. Po roku załatwienia spraw postawił na swoim. Zaoferowano mu pracę przy tworzeniu eskadry latania precyzyjnego, mającej powstać na Zachodnim Wybrzeżu. Eskadra miała być wyposażona w samoloty F-111. Siły

powietrzne wciąż stwarzały bariery z powodu problemów technicznych z maszyną, więc taka jednostka wydawała się idealna, aby zademonstrować możliwości samolotu. Jedyna baza będąca w stanie zająć się utrzymaniem i naprawami tych maszyn mieściła się w Merton, na północ od Spokane, podlegała jednostce Strategicznego Dowodzenia Powietrznego pod kierunkiem generała Vaughna Hartingtona. Kiedy powiedziano Canterze, że godziny lotów będą nieograniczone, zgodził się natychmiast.

Aby nie zakłócać normalnego funkcjonowania bazy, Canterra ograniczył swoją działalność do nocnych lotów; wolał samotność, jaką dawało mu nocne niebo, od zatłoczonej przestrzeni powietrznej w czasie dnia. Zgłaszał swoje wojaże jako loty testowe, jednak Hartington wiedział swoje. Samolot testowano przez setki godzin, zanim został wprowadzony do użytku, więc nie było potrzeby przeprowadzania dalszych prób. Generał przysmykał na to oczy, słusznie zakładając, że zadowolony Canterra w powietrzu jest lepszy niż sfrustrowany Canterra na ziemi. Odkąd dwudziestosiedmioletni, ciemnowłosy, przystojny oficer przybył do Merton, zdążył zawrócić w głowie wielu żonom oficerów. Hartington, pomimo pewnych sprzeciwów, uznał, że najwygodniejszym rozwiązaniem będzie tolerowanie nocnych powietrznych eskapad.

Canterra doskonale się bawił, wprowadzając lecący z nadźwiękową prędkością potężny samolot w ciasny korkociąg. Kiedy osiągnął maksymalną wysokość, skierował maszynę na północ, w stronę postrzępionych grzbietów kanadyjskich Gór Skalistych. Te pustynne, prawie niezamieszkane rejony były jedynym miejscem, gdzie mógł nurkować z pełną szybkością, nie strasząc okolicznych mieszkańców. Nocna zmiana kontrolerów ruchu w kanadyjskiej bazie powietrznej w Chilliwack przyzwyczała się już do niezwykłych manewrów samotnej maszyny, którą obserwowali na ekranach. Lubili przyglądać się jego wyczynom i zawsze witali go z radością, kiedy oznajmiał przez radio, że wkroczył w kanadyjską przestrzeń powietrzną. Ze swojej strony Canterra cieszył się, że kontrolerzy ruchu widzą jego poczynania na ekranach radarów; popisywał się przed nimi jak aktor grający przed publicznością. Popatrzył na rząd wskaźników przed sobą. Sprawdziwszy odczyty, pociągnął prawą ręką za dźwignię przepustnicy i popędził na północ, z prędkością ponad dwa tysiące kilometrów na godzinę, aby rozpocząć swój występ.

Dwadzieścia kilometrów niżej mały gumowy ponton, napędzany cichym, lecz wydajnym silnikiem zaburtowym, podpłynął do górnej krawędzi zapory w Mica. Czterech doskonale wyposażonych, odzianych na czarno mężczyzn przywieziono wcześniej samolotem do miejsca oddalonego dwanaście kilometrów od tamy, w pobliżu ujścia rzeki Canoe. Samolot czekał w tej chwili na ich powrót.

Szef ekipy popatrzył na fluorescencyjną tarczę zegarka. Po prawie godzinnej podróży znaleźli się w głębokim cieniu zapory. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, powinni wrócić do samolotu przed świtem. Stamtąd wszyscy czterej zostaną przetransportowani do Nevady. Będą lecieć nisko, aby uniknąć wykrycia przez radary. Potem przesiądą się do innego samolotu i udadzą do ostatecznego miejsca przeznaczenia - do Meksyku. W Mexico City otrzymają drugą ratę honorarium. A potem znikną.

Ani czterej mężczyźni, ani wiozący ich pilot nie wiedzieli, że w samolocie zainstalowano bombę, mającą wybuchnąć czterdzieści pięć minut po ponownym włączeniu silnika. Wszyscy znikną, lecz nie tak, jak to sobie wyobrażali.

Kiedy ponton dobił do zapory, rozległ się stłumiony zgrzyt. Czterej mężczyźni wysiedli bezszelestnie z łodzi i zaczęli się wspinać po wysokiej na cztery metry ścianie.

Vince Snyder leżał całkowicie ubrany na łóżku w swoim pokoju hotelowym. Był spięty, nasłuchiwał. Coś go zbudziło z płytkiego snu. Podniósł rękę i popatrzył na zegarek. Była pierwsza nad ranem. Zaczynają dopiero za trzy godziny.

Usłyszał ponownie ten sam dźwięk, ciche pukanie do drzwi. Bezszelestnie zsunął się z łóżka i przeszedł przez pokój. Pukanie powtórzyło się, tym razem bardziej natrączywie.

- Kto tam? - szepnęła mężczyźna.

- Paula. Wpuść mnie - odparł stłumiony głos zza drzwi. Vince odsunął zasuwkę i wyjrzał na jasno oświetlony korytarz, mrużąc oczy przyzwyczajone do ciemności.

Paula St. George, ubrana w krótką, jaskrawoniebieską koszulę nocną, przestępowała nerwowo z jednej bosej nogi na drugą.

- Na litość boską, otwórz wreszcie! - syknęła, rozglądając się po korytarzu. Snyder otworzył drzwi szerzej i dziewczyna wsunęła się do środka; zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie. Snyder popatrzył na szerokie rozcięcie jej nocnej koszuli, które rozchyliło się, ukazując spójnienie ud. Paula nie wykonała żadnego ruchu, żeby się zasłonić.

- Nie możesz zasnąć? - spytał Snyder, uśmiechając się w ciemności. Paula nic nie powiedziała. Zrobiła krok do przodu i zarzuciła mu rękę na szyję, przyciskając się do niego. Pocałowała go mocno, nie pozostawiając żadnych wątpliwości co do swoich intencji. Uparcie atakowała niecierpliwym językiem. Mężczyźna pozwolił się całować jeszcze przez chwilę, potem odepchnął ją na odległość ramion.

- Nasz mały Ronnie zaniemógł? - zapytał.

Zignorowała to i sięgnęła do paska od jego spodni, rozpięła klamerkę i wsunęła dłoń do środka.

- Zamknij się - szepnęła chłodno.

Chwycił za pasek podtrzymujący jej nocną koszulę i rozwiązał go, muskając dłońmi jej krągłe biodra, sięgając wyżej, do jędrnych piersi i naciskając kciukiem twarde, ciemne brodawki.

- Czy on śpi? - spytał Snyder. Skinęła głową. Zaczęli przesuwac się w stronę czekającego na nich łóżka.

W sąsiednim pokoju Ronald Bateman leżał, wpatrując się w sufit i wsłuchując w stłumione szelesty dochodzące zza ściany. Wyciągnął rękę i dotknął prześcieradła, na którym jeszcze niedawno leżała Paula.

Kiedy nasłuchiwał, dźwięki stawały się coraz głośniejsze; szelesty zmieniły się w westchnienia, a wreszcie w rytmiczne skrzywienie łóżka, któremu wtórowały łatwe do rozpoznania jęki rozkoszy. Bateman zacisnął zęby, zamknął oczy i modlił się, żeby te dźwięki ucichły. Lecz nie ustawały przez długie minuty.

Ronald Bateman miał ochotę umrzeć. Leżał tak dłuższą chwilę, zamroczony wściekłością, aż zrozumiał. Wcale nie chciał umierać. Wręcz przeciwnie. Po raz pierwszy w życiu Ronald Bateman pragnął zemsty i walki. Ronald Bateman chciał zabijać.

Z bolącymi mięśniami i powiekami opadającymi ze zmęczenia Dennis Penpraze dojechał do Vancouver przed świtem. Jechał krętą wstęgą autostrady transkanadyjskiej,

wijącej się wzdłuż Pasma Przybrzeżnego i dalej schodzącej nad brzeg Deep Cove, wrzynającej się najgłębiej w ląd nad zatoką Burrard. Jechał wzdłuż brzegu, mijając rafinerię IOCO, aż w końcu znalazł się na Hastings Street. Jego furgonetka była jedynym pojazdem na jasno oświetlonej alei sex-shopów, wypożyczalni samochodów i gabinetów masażu.

Dotarł do centrum miasta, skręcił w Burrard, przecinając dzielnicę biurową, wreszcie minął Burrard Bridge. Jedyną oznakę życia stanowiła samotna taksówka oraz pusty autobus, pokonujący mechanicznie wyznaczoną trasę.

Jechał dalej wzdłuż brzegu zatoki, minął Kitsilano i opustoszałe doki Point Grey w Spanish Banks, aż w końcu zobaczył zarysy budynków miasteczka uniwersyteckiego. Podjechał pod strome zbocze i zwolnił na samym szczycie, podziwiając krajobraz. Kiedy dostrzegł parking opisany w instrukcjach, które otrzymał, zaparkował na nim, wyłączył silnik i zgasił światła. Parking był pusty, a otaczające go drzewa - nieruchome. Ani śladu wiatru. Mężczyzna podniósł ramę ciężkiego plecaka i zarzuciwszy go na ramiona, przeciął trawnik i szedł stromą ścieżką prowadzącą do Wreck Beach, leżącej u podnóża wysokiego klifu z piaskowca.

Kiedy znalazł się na samym dole, przystanął, żeby uspokoić oddech. Bezpośrednio przed nim znajdowały się wzburzone wody zatoki, co kilka minut rozświetlane przez latarnię morską w Atkinson, stojącą sześć kilometrów stąd, na przeciwległym brzegu. Ponad latarnią morską wznosiła się ciemna linia szczytów Pasma Przybrzeżnego, schodzących do morza w zatoce Horseshoe. Poprawił plecak, skręcił w prawo i zaczął iść po piasku. Wieża miała znajdować się z półtora kilometra dalej, u wejścia do zatoki.

Wieże strzelnicze po obu stronach zatoki stanowiły pamiątkę po zimnej wojnie. W czasie jej trwania były one wyposażone w ciężkie działa morskie, lecz teraz stały puste. Ich betonowe, wysokie na trzynaście metrów ściany pełniły rolę kryjówki dla kochanków i pola do popisu dla twórców graffiti.

Kiedy dotarł do wieży, za jego plecami pojawiła się pierwsza poranna zorza, wznosząc się ponad górami i rozciągając wokół pogrążonego we śnie miasta. W słabym świetle zobaczył napis wymalowany na betonie wielkimi białymi literami: WRACAJCIE SKĄD PRZYSZLIŚCIE.

Uśmiechnął się. Właśnie na to miał teraz ochotę. Otworzył jednak skrzypiące żelazne drzwi u podstawy wieży, wszedł do środka i zarygłował je za sobą. Wspiął się po schodach na otoczoną murem platformę, z której roztaczał się widok na plażę, i tam rozłożył swoje rzeczy. W instrukcji powiedziano mu, że furgonetka zostanie przejęta w ciągu kilku minut po jego przybyciu, a łódź przypłynie po niego o północy następnego dnia. Wolałby spędzić ten wolny dzień w motelu, ale rozkazy były jasne. Bez względu na okoliczności miał się zjawić na wieży najpóźniej o świcie czwartego lipca i pozostać tam aż do odwołania. Położył plecak delikatnie na podłodze, oparł na nim głowę i zasnął.

Człowiek z Langley metodycznie przeszukiwał mieszkanie, niektóre przedmioty usuwając, niektóre zastępując innymi. Egzemplarz *Katalogu materiałów wybuchowych* DuPonta postawił na niedużej półce z książkami wiszącej w kuchni; tak samo uczynił z *Dokumentacją techniczną zapory w Mica* oraz *Atlasem drogowym Kanady* wydanym

przez Randa McNally'ego. Książkę Paula Brickhilla *Pogromcy tam* położył na rezerwarze w ubikacji. Usunął zbiór dzieł Thoreau ze stosu książek leżących obok łóżka, a na ich miejsce podłożył podziemne, meksykańskie wydanie *Kapitału*. Na pomiętym prześcieradle zostawił numer „Miesięcznika Ekologicznego”. Na drzwiach kuchennych przykleił plakat Andreasa Baadera. W górnej szufladzie biurka umieścił szarą kopertę z wycinkami z gazet, opisującymi różne zamachy terrorystyczne przeprowadzone w ciągu ostatnich czterech lat. Dokładnie zeszkrobał numer skrytki pocztowej zapisany na ścianie obok aparatu telefonicznego, z którego wcześniej wymontował urządzenie podsłuchowe. Na podłodze zostawił pomiętą kopertę z nadrukiem Zarządu Elektrowni Wodnych w Kolumbii Brytyjskiej.

O godzinie szóstej scena była przygotowana. Człowiek z Langley wymknął się z mieszkania Dennisa Penpraze'a. Zamknął za sobą drzwi i ściągnął gumowe rękawice, które nosił przez cały czas operacji.

Rozdział 7

4 lipca

6.30 czasu zachodnioamerykańskiego

9.30 czasu wschodnioamerykańskiego

Rozebrany młodzieniec pochylał się nad nim, zataczając krąg lśniącym, potężnym ostrzem miecza. Ostra jak brzytwa krawędź zbliżała się coraz bardziej, a Rudnick odsuwał się coraz dalej, usiłując uwolnić z więzów, które go krępowały. Otworzył usta, lecz nie słyszał własnego krzyku, który został zagłuszony przez donośne wrzaski tysięcy ludzi zgromadzonych wokół na stadionie. Młodzieniec przystanął i uklonił się elegancznie przed publicznością. Potem postąpił naprzód, stanął pomiędzy rozkraczonymi nogami Rudnicka i podniósł miecz wysoko nad głowę. Aplauz tłumu zaczął narastać, kiedy ostrze powędrowało w dół. W ostatniej sekundzie przed ciosem Rudnick z przerażeniem zdał sobie sprawę, że zmoczył się ze strachu. Kiedy miecz wbił się w jego ciało, tysiące dzwonek odezwało się ogłuszającą melodią, zaznaczając moment jego śmierci.

Rudnick gwałtownie otworzył oczy. Dzwonek telefonu stojącego dwadzieścia centymetrów od jego ucha rozdzierał przesiąknięte alkoholem szare komórki. Przekreślił się na sofie i uderzył dłonią w aparat stojący na stoliku, zrzucając go na podłogę. Przez chwilę mężczyzna leżał nieruchomo, oddychając z wysiłkiem, usiłując opanować potworne dudnienie pod czaszką. W końcu wyciągnął rękę, podniósł słuchawkę i przycisnął ją do ucha. Usłyszał czyjś głos wypowiadający jego nazwisko. Był to Haberman, jego zastępca.

- O kur... - zaczął Rudnick, ale słowa przerodziły zaraz się w spazmatyczny kaszel, który poruszył wszystkimi wnętrzościami. Mężczyzna skrzywił się z bólu. Po chwili skurecz minął. - Już czas? - wykrztusił w końcu.

Głos Habermana był dziwnie ożywiony. Rudnick niemalże widział jego różową, okrągłą twarz i wielkie wyłupiaste oczy.

- Prawie szósta trzydzieści, panie Rudnick. Przepraszam, że przeszkadzam, sir. Wiem, że nie jest pan na służbie, ale pomyślałem, że to ważne. Myślę, sir, że mamy problem.

- Rany, Haberman, uspokój się! - Rudnick spróbował usiąść na łóżku, lecz ból głowy powalił go z powrotem. Mrużył oczy, mimo iż do sypialni wpadało jedynie słabe światło poranka. Spróbował ponownie. Tym razem zdołał oprzeć się na łokciach.

- Tak, sir. Przepraszam, sir... - mówił Haberman.

- I mów trochę ciszej. Krzyczysz mi do ucha.

- Tak jest, sir. - Haberman był pewien, że jego głos jest niewiele głośniejszy od szepetu, ale wiedział, że z Rudnickiem nie warto się sprzeczać. Powiedział więc nieco głośniej: - Jak mówiłem, sir, mamy problem. - Zamilkł, zakłopotany.

- Tak? - odparł Rudnick zachrypniętym głosem. Odchrząknął. - Zamierzasz z tego robić sekret, czy co?

- Nie, sir - powiedział Haberman. - Straciliśmy kontakt z reaktorem, sir.

- O czym ty, do cholery, mówisz, Haberman? - burknął Rudnick. - Co to ma znaczyć: straciliście kontakt? Co się stało, jacyś cholerni kosmici ucięli kabel?

- Nie, sir - odparł nerwowo Haberman. - To nie tak, sir. Byłem w głównym pokoju strażników z Danbym i Bellowsem, oni w tym tygodniu mieli nocną zmianę...

- Wiem, kto jest na nocnej zmianie, Haberman. Sam ustalam ten cholerny grafik. Na litość boską, mów, o co chodzi!

- Dobrze, sir. - Haberman przełknął ślinę. - Jak już powiedziałem, byłem w pokoju strażników, kiedy nagle wysiadły wszystkie linie monitorowania reaktora. Próbowaliśmy połączyć się przez awaryjną, ale się nie udało, sir.

- A więc straciliście łączność wizyjną. Nie jestem technikiem, Haberman. Jeśli to już wszystko...

- Nie, sir. Wezwałem techników, panie Rudnick. Sprawdzili instalację i okazało się, że kabel w tunelu był przeżarty.

- Przeżarty? - powiedział Rudnick. - O czym ty, do cholery, mówisz?

- Właśnie tak. Wygląda na to, że ktoś go potraktował kwasem.

- Sukinsyny! - syknął Rudnick, drapiąc się po głowie. Spuścił nogi na ziemię i zaczął się rozglądać za kapturami.

- Tak jest, sir - powiedział Haberman.

- Próbowalesz się dodzwonić do ochrony reaktora?

- Tak, sir. Nic z tego. Telefon jest podłączony do tego samego kabla co kamery. Próbowalem przez radio, ale nikt nie odpowiadał.

- Cholera jasna!

- Tak jest, sir. Pomyślałem, że lepiej będzie, jak do pana zadzwonię, zanim podejmę jakieś działania.

- Będę u was za dwadzieścia pięć minut. Nic nie róbcie. Zostań tam, gdzie jesteś, Haberman. Zrozumiano? - Rudnick poczuł, że przechodzi mu ból głowy, kiedy w żyłach zaczęła płynąć adrenalina.

- Tak jest, sir. Czy coś jeszcze panie Rudnick? - zapytał Haberman.

- Tak - odparł Rudnick, wstając z sofy. - Obudź Ogórka i powiedz mu, co się stało. Mam zadzwonić do pana Kellermana? - szepnął Haberman, przerażony perspektywą obudzenia naczelnika.

- Zgadłeś. Jeśli ja z tego powodu muszę wstawać o szóstej trzydzieści, to on też. Powiedz mu, że prawdopodobnie ktoś się włamał do jego ukochanego reaktora.

- Myśli pan, że właśnie to się stało, panie Rudnick? - spytał Haberman.

Rudnick uśmiechnął się szeroko.

- Daję głowę, że tego kabla nie przegryzły myszy, Haberman - powiedział i rzucił słuchawkę na widełki.

Pięć minut później Rudnick, mając na sobie to samo ubranie, w którym zasnął, przemykał przez opustoszałe ulice Richland. Lampa przymocowana na dachu jego kombi błyskała oślepiająco, a ukryta pod maską syrena rozbrzmiewała w chłodnym porannym powietrzu.

O godzinie czwartej pięćdziesiąt rano wciąż było ciemno. Snyder, Paula St. George oraz Bateman, wszyscy trzej ubrani na czarno od stóp do głów, skończyli pompować czarny gumowy ponton. O piątej piętnaście dobili do zachodniego brzegu Kolumbii, w pobliżu składowiska A w bazie atomowej w Richland. Następnie pobiegli po mokrej, rozmiękłej ziemi, kierując się na południowy zachód, w stronę ogrodzenia bloku reaktora. O piątej dwadzieścia pięć przeszli przez teren przecieku nuklearnego. W ciemności nie zauważyli tablic z napisem: UWAGA! SILNE PROMIENIOWANIE! postawionych przez podwładnych Rudnicka.

Do ogrodzenia bloku reaktora dotarli o piątej trzydzieści jeden. Poszli wzdłuż siatki, aby być poza zasięgiem latarni, aż wreszcie znaleźli się na północno-zachodnim krańcu składowiska. Następnie przemknęli przez pogrążoną w mroku dawną instalację nuklearną, trzymając się blisko ścian opuszczonych budynków. O piątej czterdzieści dotarli do gmachu administracyjnego.

Bateman, na chwilę zapominając o zazdrości, z podziwem patrzył na Snydera, który zręcznie sforsonował piwniczne okienko, przecinając szybę diamentem i podłączając zabezpieczającą folię do obwodu, który zbudował z elementów zakupionych w sklepie przemysłowym. Zbudowawszy dodatkowy obwód, po prostu wybił szybę kopniakiem. Wcisnął się do środka, a za nim Paula St. George. Bateman wszedł ostatni, najpierw podając plecak, w którym były makiety bomb oraz strzelba z uciętą lufą, zakupiona w tym samym sklepie co drut, diament do cięcia szkła i inne narzędzia.

Znaleźli się w kotłowni, otoczeni płataniną rur, kanałów wentylacyjnych oraz przewodów klimatyzacji. Snyder, idący na przedzie, włączył miniaturową latarkę. Szli, kierując się jej skąpym światłem, wśród szumu pracujących urządzeń, aż znaleźli się w szerokim podziemnym korytarzu, którym przechodzili podczas wycieczki z przewodnikiem. Ruszyli tym korytarzem, spiesząc się i nasłuchując zbliżających się strażników. Nie słyszeli nic poza zwykłymi odgłosami budynku. Kellerman, główny nadzorca, dawno temu postanowił zainwestować w nadzór elektroniczny. Jedyni strażnicy budynku siedzieli w swoim pokoju na parterze. Spośród piętnastu kamer zainstalowanych w budynku administracyjnym, czternaście znajdowało się na pierwszym, drugim i trzecim piętrze. Piętnastą zamontowano w piwnicy, aby móc obserwować wlot tunelu. Niestety, przestarzała lampa fotonowa przepaliła się tydzień temu i jak dotąd nikt jej nie wymienił. Przejście było niestrzeżone.

W tunelu było włączone nocne oświetlenie: paliła się tylko co czwarta jarzeniówka. Troje włamywaczy zatrzymało się, ujrawszy wlot Bateman bez słowa wskazał w górę,

na kamerę zamocowaną na wsporniku. Niedziałający obiektyw był skierowany w głąb tunelu. Bateman pochylił się i Snyder wspiął mu się na ramiona, balansując z przesadną ostrożnością, w jednej ręce trzymając nożyce do cięcia drutu, a drugą opierając na ramieniu Batemana. Ronaldowi robiło się niedobrze, kiedy czuł, jak krocze drugiego mężczyzny opiera się na jego szyi. Zamknął oczy i spróbował skupić się na wykonywanych czynnościach. Snyder wyciągnął rękę i przeciął kabel kamery, a następnie poklepał Batemana po głowie. Ten pochylił się, aby Snyder mógł z niego zeskoczyć. Vince popatrzył na zegarek i pokiwał głową.

Po wojskowym przeszkoleniu Snyder wiedział o systemach bezpieczeństwa wystarczająco dużo, aby zdawać sobie sprawę, że liczba kamer zawsze przewyższa liczbę monitorów. W porządnym systemie każda kamera włącza się tylko o określonych porach. Snyder uznał, że mają co najmniej pięćdziesiąt procent szans, aby dotrzeć do reaktora, zanim kamera w tunelu się włączy. Podejmowali skalkulowane ryzyko. Bateman miał wiele obaw, lecz Snyder zapewniał go, że instytucja używająca foliowych zabezpieczeń w oknach z całą pewnością jest jeszcze w epoce kamienia łupanego, jeśli chodzi o systemy bezpieczeństwa.

Troje ludzi sunęło bezszelestnie korytarzem. O piątej pięćdziesiąt sześć dotarli do windy. Paula wręczyła plecak Snyderowi. Ten, wciąż dysząc ciężko, sięgnął do środka i wyciągnął dwie małe szklane fiolki, których końce zatkało woskiem. Położył fiolki na grubym zwoju kabli przymocowanych do ściany i skinął na Batemana, który nacisnął przycisk wzywający windę. Kabina znajdowała się już na dole i drzwi rozsunęły się od razu. Paula weszła do środka, niosąc plecak i strzelbę. Bateman stał w drzwiach, przytrzymując je nogą i patrząc, jak Snyder uwija się przy przewodach.

W trakcie wycieczki Snyder słusznie wydedukował, że gruba wiązka kabli umieszczona wysoko na ścianie jest pod wysokim napięciem, a w położonej niżej, różnobarwnej wiązce znajdują się przewody systemu alarmowego, telefonu oraz kamer. Snyder przytwierdził fiolki do obejm przytrzymującej dolną wiązkę przewodów i poczekał, aż kwas azotowy się rozleje. Prawie natychmiast Bateman poczuł w nozdrzach przykrą woń. Patrzył na przewody, z których unosił się dym. Gumowa izolacja stopiła się natychmiast, a potem zaczęły się rozpuszczać lśniące metalowe druty. Snyder, krztusząc się, wskoczył do windy. Bateman odblokował drzwi, jednocześnie naciskając przycisk na panelu kontrolnym. Zmarszczył czoło, kiedy Paula wręczyła Snyderowi strzelbę.

- Tym czymś można co najwyżej strzelać do ptaków - zapewniał go Snyder, kiedy jeszcze byli w motelu.

- Ależ to zupełnie przeciwieństwo tego, co chcemy osiągnąć! - krzyknął wtedy Bateman, rozwścieczony. - Nie chodzi tylko o to, że Greentree jest organizacją pokojową albo że ja jestem przeciwnikiem przemocy. To jest po prostu niebezpieczne. Zaczynamy się zniżać do ich poziomu!

— A co mamy, kurwa, zrobić? Powiedzieć: „Przepraszamy bardzo, chcieliśmy zająć wasz reaktor”? Bądź realistą! - odburknął Snyder.

Bateman w końcu dał się przekonać. Lecz teraz, gdy patrzył, jak Snyder wprawnie przeładowuje i odbezpiecza broń, z przerażeniem zdał sobie sprawę, że popełnił fatalny błąd. Jeśli Snyder kiedykolwiek miał choćby najmniejszą chęć osiągnąć humanitarny

cel poprzez zajęcie reaktora, owa chęć ulotniła się z chwilą, gdy jego palce zacisnęły się na spuście remingtona z obciążoną lufą. Mając w rękę strzelbę, Snyder był w swoim żywiole - a jego żywiołem była przemoc.

Podróż windą wydawała się ciągnąć w nieskończoność, chociaż według Snydera, który na wycieczce zmierzył czas, powinna zająć tylko sześć sekund. Snyder wiedział, że czas odgrywa tu decydującą rolę. Kiedy tylko strażnicy zorientują się, że alarm jest niesprawny, wzmożą czujność i zaczną krążyć po całym budynku. Vince liczył, że dzięki powstałemu zamieszaniu zdoła osiągnąć swój cel.

Drzwi windy otworzyły się i Snyder wypadł pędem na korytarz, pozostali tuż za nim. Trzymając broń przy biodrze, wystrzelił w górę. Korytarz wypełnił się hukiem wystrzału. Odłamki roztrzaskanych kamer posypały się z brzękiem na podłogę. Snyder w biegu przeładował broń i przykucnął trzy metry od pomieszczenia strażników.

Trzej strażnicy zareagowali błyskawicznie. Znaleźli się przy drzwiach kilka sekund po tym, jak zobaczyli Snydera na swoich monitorach. Nie byli jednak wystarczająco szybcy. Kiedy wybiegli ze swojego pokoju, natknęli się na wycelowaną w nich lufę remingtona.

- A dokąd to? - Snyder uśmiechnął się szeroko.

Trzej mężczyźni, którzy właśnie sięgali do kabur, podnieśli ręce. Paula i Bateman rozbroili ich w milczeniu i związali cienką linką, którą mieli w plecaku, a potem zawlekli z powrotem do wartowni. Snyder sprawdził węzły, w końcu zabrał pęk kluczy jednemu ze strażników. Podeszedł do panelu kontrolnego monitorów i, rozeznawszy się szybko w przełącznikach, zaczął przełączać obraz na kolejne kamery, dopóki na ekranie nie pojawiło się centrum kontroli reaktora. Snyder cmoknął z zadowoleniem, wpatrując się w mrugający obraz. Było dokładnie tak, jak przewidywał. W pomieszczeniu znajdowało się tylko dwóch ludzi, śledzących komputerowe raporty o działaniu reaktora. Przez cały weekend personel bazy pracował w minimalnym składzie. Okazało się również, że przewodnik miał rację, twierdząc, że centrum kontroli jest hermetycznie zamknięte. Dwaj mężczyźni najwyraźniej nie zdawali sobie sprawy, że coś się wydarzyło.

- Do dzieła - powiedział stanowczo Snyder. Skinął na Batemana. Obaj wyszli z wartowni, zostawiając Paulę, aby pilnowała strażników z pistoletem odebrany jednemu z nich.

Snyder i Bateman otworzyli masywne drzwi prowadzące do laboratorium i centrum kontroli. Szybko przeszli jasno oświetlonym korytarzem o stalowej podłodze i zatrzymali się przed wyjściem awaryjnym z pomieszczenia kontrolnego. Przewodnik wyjaśnił im wszystko szczegółowo. Normalnie wchodziło się do centrum kontroli reaktora poprzez komorę próżniową w końcu korytarza. Jednak w przypadku awarii reaktora pracujący przy nim ludzie mogli się błyskawicznie ewakuować, przebijając cienką ołowianą osłonę. „Chociaż centrum kontroli reaktora mieści w sobie wyposażenie warte miliony dolarów - mówił z dumą przewodnik - bezpieczeństwo pracujących tu ludzi zawsze stawia się na pierwszym miejscu”.

Bateman i Snyder stanęli przy przeciwległej ścianie i rzucili się na drzwi. Kiedy uderzyli w nie z całej siły ramionami, zawiasy ustąpiły i drzwi zapadły się do wewnątrz. Snyder wycelował broń w dwóch techników o pobladłych twarzach. Kilka minut później dołączyli oni do trzech mężczyzn w wartowni.

Snyder zamknął drzwi do pomieszczenia kontrolnego i zaczął instalować „bomby”. Dziesięć minut później robota była skończona. Zajęli reaktor. Była godzina szósta trzydzieści sześć.

Charlene Dały zaciskała kurczowo powieki, niezadowolona, że wąskie języki słonecznego światła, wpuszczane przez zasłony w oknie na przeciwległej ścianie, uparcie muskały jej twarz. Popiskiwanie, które towarzyszyło jej we śnie, nie ustawało. Myszy. W tym pokoju z całą pewnością były myszy. Wyciągnęła rękę, żeby ostrzec Jona, lecz jej dłoń natrafiła jedynie na śliską powierzchnię nylonowej poszewki. Chuck na chwilę wpadła w panikę. Potem otworzyła oczy i odwróciła się. Kane, ubrany, siedział przy stoliku obok drzwi łączących ich pokoje i pisał coś ołówkiem na kartce papieru. A więc to nie myszy, pomyślała dziewczyna i westchnęła z ulgą.

Kane odwrócił się, słysząc szelest. Jego twarz była spięta i pełna niepokoju.

- Śpij dalej - powiedział chłodno i wrócił do pisania.

- Co ty, do cholery, robisz? - zapytała nieprzytomnie Chuck, spoglądając na zegar stojący na stoliku. - Rany! Dopiero za dwadzieścia pięć siódma! - mruknęła.

- Mówię ci, śpij dalej - powtórzył Kane, nie odwracając się. Pisał coś zawzięcie.

Chuck usiadła na łóżku i sięgnęła po papierosa.

- Przez ciebie miałam koszmarny sen - powiedziała, zapalając. - Skrobiesz jak stado polnych myszy.

- Śpij! - powiedział jeszcze raz Kane, spoglądając na nią przez ramię.

- Pójdę spać, jak mi powiesz, nad czym tak ciężko pracujesz - odparła Chuck, zaciągając się papierosem.

Kane odłożył ołówek i przeciągnął się.

- Chciałem to wszystko pozbierać do kupy - powiedział, przechodząc przez pokój i siadając na skraju łóżka. Wyciągnął papierosa i zapalił.

- Doszedłeś do jakichś wniosków? - spytała Chuck.

Kane jęknął.

- Tak. Zrozumiałem, że nie jestem aż tak bystry, jak mi się zdawało. To wszystko jest szaleństwem. Nic do niczego nie pasuje.

- Spróbujmy razem - zaproponowała Chuck. - Jestem dziennikarką. Dziennikarze są dobrzy w wyciąganiu wniosków.

- W porządku - powiedział Kane. - Jednego nie mogę zrozumieć: natknąłem się na coś, co wcześniej wydawało mi się jedynie abstrakcyjnym wymysłem. Może dojść do wielokrotnego zaważenia się zapór w kanadyjskiej części Kolumbii. Próbowałem się rozeznaczyć w sytuacji, ale do niczego nie doszedłem. Potem udało mi się dotrzeć trochę głębiej i nagle wywołało to straszną burzę. Ktoś próbował mnie zabić. Zamordowano Hallerana. A to by sugerowało, że moje wnioski nie były aż tak niedorzeczne. Zgadza się?

- Jak dotąd świetnie ci idzie.

- Próbujemy skontaktować się z kimś, kto może coś pomóc w tej sytuacji, i znów usiłują nam przeszkodzić. Kiedy w końcu docieramy do przedstawicieli władzy, zamykają nas w motelu, zostawiając strażnika, który pilnuje, żebyśmy znowu się w coś nie wplątali. - Kane wskazał kciukiem w stronę okna.

- A więc? - Chuck wzruszyła ramionami. - Do jakich wniosków cię to doprowadziło?

Kane wstał i zaczął przechadzać się po pokoju.

- Dlaczego oni to wszystko robią? - zapytał poirytowany. - Dlatego że odkryłem coś, co chcieli utrzymać w tajemnicy? Gówno prawda! Jak można trzymać w tajemnicy takie niebezpieczeństwo? Powstrzymywanie mnie od działania nie może powstrzymać ziemi od osunięcia się!

- Rozumiem, co masz na myśli - mruknęła Chuck. - To by miało sens tylko wtedy, gdyby w jakiś sposób zamierzała rozwiązać ten problem, nie przyciągając niczyjej uwagi-

- A to jest niemożliwe - stwierdził Kane. - Myślałem nad tym. Nie można zapobiec osunięciu ziemi, nie osuszając całego zbiornika, a to by dopiero rozpętało burzę. Przeprowadzono by dokładne śledztwo.

- A na to nie mogą sobie pozwolić. - Chuck oparła się na poduszce i zamknęła oczy.

Kane podszedł do okna i rozchylił nieznacznie zasłony, aby wyjrzeć na opustoszały parking i mało ruchliwą ulicę. Nieoznakowany samochód wciąż stał przed motelem. Barczysty człowiek o czerwonej twarzy czytał ostatnią stronę gazety, popijając kawę z kubka od termosu.

- Czas - powiedziała Chuck, nie otwierając oczu. - Czas - powtórzyła. - Wygląda na to, że strasznie im się spieszy. - Wypuściła dym i przez jego chmurę spoglądała na sufit, rozmyślając. - Spójrzmy na to inaczej - rzekła po dłuższej chwili. - Kimkolwiek są ci ludzie, chcą się nas pozbyć, i to jak najprędzej. Wiedzą, że osunięcie ziemi nastąpi, i wiedzą, że my o tym wiemy. Zamierzają siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż to się stanie. Wtedy powiedzą, że to nieszczęśliwy wypadek, a nas już nie będzie, więc nikt się nie dowie, że było inaczej. Jeśli twoja teoria wielokrotnego zawalenia zapór jest słuszna, będą mieli niezłe kłopoty. Być może mają nadzieję, że to nie nastąpi i że zniszczenia obejmą tylko teren Kanady. Jak to brzmi?

- Jak dotąd dobrze - przyznał Kane. - Ale coś tu nie gra. Po pierwsze, jeśli pozwolą, aby doszło do osunięcia, będą odpowiadać za to, że nie potrafili go przewidzieć. Jeśli ktoś się dowie, że badania geologiczne wykazywały możliwość osunięcia, będą mieli jeszcze większe kłopoty. Sądzę, że tak właśnie się stało. Musieli od samego początku wiedzieć, że teren jest niebezpieczny, ale Kanadyjczycy zignorowali to i zbudowali zapórę, aby dotrzymać ustaleń porozumienia. Lokalizacja kanadyjskich tam została ostatecznie zaplanowana przez Amerykanów. Kanadyjczycy mieli własne plany, ale nie było ich stać na realizację. Amerykanie w końcu przekonali ich do zbudowania zapór w miejscu, na którym im zależało ze względu na optymalną ilość spiętrzonej wody. Teraz muszą wypić piwo, którego sobie nawarzyli. Jeśli dobrze zgaduję, korpus inżynieryjny albo Instytut Jakości przeprowadził badania nad wielokrotnym zawaleniem się tam, wkrótce po awarii zapory Teton w siedemdziesiątym szóstym, i doszedł do wniosku, że może to nastąpić w dorzeczu Kolumbii, jeśli zawali się zapora w Mica. Pamiętam, że gdzieś czytałem sprawozdania z ówczesnych przesłuchań senackich. Teoria wielokrotnych awarii była przedtem skrzętnie ukrywana, aż do katastrofy w Teton. Lecz wtedy już było za późno, żeby cokolwiek zrobić, przynajmniej z punktu widzenia Kanadyjczyków, więc cała sprawa znów przycichła.

- Ale jeśli dojdzie do osunięcia ziemi, wszystko wyjdzie na jaw - stwierdziła Chuck.
- Dokładnie tak - przyznał Kane. - Oni muszą wiedzieć, że wkrótce nastąpi osunięcie. Muł rzeczny, który widziałem, jest tego wystarczającym dowodem. A więc my w jakiś sposób przeszkadzamy im w zrobieniu czegoś - cokolwiek by to było - co ma zarządzić niebezpieczeństwu.

- Ale co to może być? - spytała Chuck. - Gdyby chcieli coś zrobić, żeby powstrzymać osunięcie, zaczęliby działać dawno temu.

- Mają tylko dwa wyjścia - powiedział Kane. - Pierwsze: spowolnią osunięcie, tak aby nie wywołało fali mogącej zburzyć zaporę. Drugie: mogą otworzyć wszystkie śluzy i spuścić nadmiar wody najszybciej jak się tylko da. W ten sposób obniżą poziom wody w zbiorniku i być może powstrzymają lawinę. Ale wydaje mi się, że już jest na to za późno.

- A więc? - Chuck wzruszyła ramionami. Siedząc na łóżku, pochyliła się do przodu i zgasiła papierosa w popielniczce. - Może wymyślili coś, na co sam nie wpadłeś?

- Nie mogli niczego wymyślić! - wybuchnął Kane. - Otwarcie śluzy jest jedynym sposobem na obniżenie poziomu wody. Nawet to może okazać się niewystarczające. W Vaiont otwarto wszystkie śluzy na tydzień przed osunięciem ziemi i nic im to nie dało. - Kane zmarszczył czoło i potarł dłonią napięte mięśnie na podbródku. - Nie. Maksymalna prędkość przepływu w śluzach Mica, jak się dowiedziałem z materiałów, które dał mi Halleran, wynosi osiemdziesiąt tysięcy metrów sześciennych na sekundę. Aby móc cokolwiek zrobić, potrzebowaliby pięciokrotnie szerszej śluzy. Przecież nie są w stanie tego dokonać, chyba żeby całkiem powariowali

Kane otworzył szeroko oczy i krew odpłynęła mu z twarzy. Wizja, którą nagle ujrzał, była zbyt przerażająca, aby w nią uwierzyć. Ale musiał uwierzyć. Tylko to jedno miało jakiś sens, była to jedyna rzecz, jaką ludzie usiłujący go powstrzymać mogli zrobić, aby nie dopuścić do powodzi takiej jak w Vaiont i do wielokrotnego zaważenia się tam na Kolumbii. Był to wybór mniejszego zła. Mała katastrofa w zamian za uniknięcie wielkiej.

- Co takiego? - spytała Chuck, spoglądając na niego ze strachem. - Co się stało?

- Matko Boska! - szepnął Kane. - Myślę, że oni zamierzają wysadzić w powietrze zaporę w Mica!

Rozdział 8

4 lipca

8.55 czasu zachodnioamerykańskiego

11.55 czasu wschodnioamerykańskiego

Do tej pory zawsze go to ekscytowało. Za każdym razem, kiedy Norm Taylor, szef nadzoru technicznego, przechadzał się po zaporze, tak jak robił to co rano przed przystąpieniem do wypełniania nudnych formularzy, ogrom całej budowli przyparował go o miły dreszczyk. Zaporę w Mica była największa na świecie, a jego zadaniem było

dbanie o nią. Większość czasu spędzał, upewniając się, czy kanały spustowe i setki innych urządzeń działają poprawnie, jednak spacer wzdłuż zapory, napawanie się jej ogromem zawsze robiło na nim wielkie wrażenie.

Kiedy szedł wąską asfaltową drogą łączącą oba końce tamy, wyglądał jak małeńki punkt na tle gór. Po jego prawej, za wieżą obserwacyjną rozciągały się wody jeziora, spokojne i głębokie, a w ich turkusowej powierzchni odbijały się góry stłoczone na brzegach. Po lewej stronie otwierała się przepaść, głęboka na dwieście siedemdziesiąt metrów, wykuta w stromej ścianie łupków i piaskowców. Kiedy znalazł się pośrodku tamy, podszedł do jej krawędzi i popatrzył w dół.

Na dnie przepaści widział ciemną linię drogi dojazdowej, biegnącej wzdłuż podstawy zapory do nowo zbudowanych, głęboko wciśniętych w skałę generatorów, które też były największe na świecie. Taylor popatrzył na drogę, którą przyszedł, a potem na służę - na jej kanał wijący się jak serpentyna i na uchylne wrota u podnóża tamy. Czuł ulgę, wiedząc, że dziś miało nastąpić otwarcie śluzy. Poziom wody w zbiorniku był wyższy niż dopuszczalny, a padające deszcze i szybko topniejący śnieg znacznie zawęziły margines bezpieczeństwa.

Cóż, teraz to nie miało znaczenia. Za godzinę spiętrzone wody jeziora zaczęły spływać jednocześnie przez służę i przez kanały generatorów, zmniejszając napór na tamę, a jednocześnie wytwarzając energię elektryczną, która nadawała sens istnieniu zapory-

Jeszcze raz popatrzył w dół. Podobne do robaków ciągniki gąsienicowe stały jeden za drugim na drodze. Z tej odległości każdy z nich nie wydawał się większy niż palec u ręki. Taylor zastanawiał się, jak sam wygląda widziany z dołu. Kiedyś, stojąc u podnóża tamy, popatrzył w górę. Nie widział nic poza przytłaczającym betonowym urwiskiem, wznoszącym się na wysokość siedemdziesięciopiętrowego wieżowca. Człowiek stojący na jej szczycie wydawał się mikroskopijnym punktem. Taylor kontynuował swój spacer.

Tuż przed środkiem tamy potknął się o małe wybrzuszenie w asfalcie. Przystanął i obejrzał się za siebie, marszcząc czoło i zastanawiając się, czy zimowe mrozy mogły naruszyć nawierzchnię. Z całą pewnością nigdy dotąd nic takiego nie miało miejsca. Przyjrzał się uważniej, ale nie zauważył nic szczególnego. Po chwili spostrzegł jednak plamę, wyróżniającą się kolorem i fakturą. Pochylił się, aby popatrzeć z bliska.

Garb był gładki, w przeciwieństwie do chropowatego asfaltu. Miał idealnie okrągły kształt. Mężczyzna dotknął go końcem palca wskazującego. Palec ubrudził się czymś czarnym. Co to, u diabła, jest?

Taylor sięgnął do kieszeni kombinezonu po scyzoryk, rozłożył ostrze i zagłębił je w garbie. Weszło z łatwością, jak w nieutwardzony kit okienny. Mężczyzna zaczął rozgrzebywać garb, wyciągając z niego kawałki czarnej, kleistej substancji. Rozejrzał się dokoła i zauważył, że ów garb nie był odosobniony. W pobliżu znajdowało się ich co najmniej ze dwa tuziny, w równych, półtorametrowych odstępach, w dwóch rzędach ciągnących się w poprzek drogi. Kiedy ostrze natrafiło na coś twardego, mężczyzna przerwał pracę. Resztkę czarnej mazi wydfubał palcami i serce podeszło mu do gardła. Zerwał się na równe nogi. Tam w środku był zapalnik. Widział takie zapalniki i używał ich już setki razy. Odwrócił się i zaczął biec.

Eksplozja nastąpiła, zanim zdążył przebyć pięć metrów. Norman Taylor zginął natychmiast; jego ciało i umysł wyparowały, zanim zdał sobie sprawę, że doszło do wybuchu.

Huk detonacji nie miał szansy ucichnąć. Natychmiast przerodził się w ogłuszające dudnienie, kiedy woda zaczęła się przelewać przez świeżo wydrążony otwór, tworząc strumień piany opadający po zewnętrznej ścianie zapory. Zaraz po eksplozji szczelina miała szerokość ośmiu metrów i głębokość prawie sześciu. W ciągu kilku sekund siła przepływającej wody zwiększyła jej szerokość do piętnastu metrów, pogłębiając ją o siedem metrów, prawie do punktu, gdzie beton łączył się z wałem ziemnym.

Środek tamy roztrzaskał się w drobne odłamki, a powstały otwór powiększał się z każdą chwilą. Woda wbijała się w ścianę zapory niczym stalowy klin w rozmiękłe drewno.

Kiedy ludzie wylegli z pomieszczeń służby na krawędź tamy, biegnąca wzdłuż niej droga zaczęła się marszczyć przy wyrwie, wreszcie osunęła się do wód jeziora, tylko po to, by za chwilę wraz z nimi spłynąć w otchłań. Kilku ludzi zrozumiało, co się dzieje, i zaczęło uciekać z powrotem do pomieszczeń sterowania służą. Jedynym sposobem zapobieżenia niemal nieuniknionej katastrofie było natychmiastowe otwarcie wszystkich awaryjnych kanałów, które pozwoliłoby zmniejszyć ciśnienie wywierane na przetrwaną tamę. Jednak najgorsze miało dopiero nadejść.

Teren osuwiska był znacznie mniej stabilny, niż ktokolwiek przypuszczał. Detonacja ponad stu kilogramów materiału wybuchowego nie tylko przerwała zaporę, ale też wywołała potężną wibrację w wodach jeziora. Po krótkiej chwili wibracja dotarła do podnóża góry Dainard, położonej dwanaście kilometrów od tamy, wstrząsając - wprawdzie minimalnie - i tak już zachwianą strukturą podwodnej części stoku. To wystarczyło. Góra drgnęła.

Strefa osuwiska obejmowała część południowego stoku góry Dainard, długą na trzy kilometry, szeroką na prawie dwa, głęboką na niemal sto pięćdziesiąt metrów. Cały fragment góry - dziewięćset milionów ton ziemi i skał - oderwał się od podłoża i stoczył w głąb Jeziora McNaughtona.

Wypchnięta woda utworzyła falę wysoką na dwieście pięćdziesiąt metrów, która pomknęła przez jezioro. Po drodze obruszyła zachodni stok Mount Cummings, wznoszącej się na wschodnim brzegu, zmywając ziemię i pozostawiając nagą skałę. Kiedy kolejna masa ziemi osunęła się do jeziora, wywołała następną falę, która podążyła w kierunku tamy za swoją poprzedniczką, pędząc z prędkością stu kilometrów na godzinę.

Fala wywołana pierwszym osunięciem sięgała prawie stu pięćdziesięciu metrów ponad linię zapory, do której dotarła cztery minuty po eksplozji. Kilkunastu ludzi stojących na skraju tamy zmiażdżyła olbrzymia masa wody.

Betonowe wsporniki przytwierdzające oba krańce tamy do skalnego podłoża zostały poddane działaniu naprężenia rzędu dwudziestu ton na metr kwadratowy. W ciągu kilku sekund pękły, pozwalając całej zaporze ześlizgnąć się w przepaść. Szczątki tamy wzbily się w górę, niesione potężną falą.

Kiedy fala przetoczyła się nad zaporą, długi na trzy czwarte kilometra kanał odpływowy oderwał się od wschodniego krańca tamy niczym przerdzewiała rynna. Zapora zaczęła się walić. W tej samej chwili druga fala, wywołana osunięciem się stoku Mount Cummings, uderzyła w walącą się tamę i utworzyła w niej olbrzymią dziurę. Kilka se-

kund później cała budowla zmieniła się w rzekę gładów, mułu i błota. Po usunięciu przeskody gigantyczna ściana wody, wysoka na ponad dwieście metrów, pędząca z prędkością stu czterdziestu kilometrów na godzinę, zasilana przez jezioro długości dwustu kilometrów, rozpoczęła swoją wędrówkę wzdłuż doliny Kolumbii, do swego ostatecznego miejsca przeznaczenia - Oceanu Spokojnego, odległego o półtora tysiąca kilometrów. Była godzina dziewiąta pięć czasu zachodnioamerykańskiego.

Rozdział 9

4 lipca

9.15 czasu zachodnioamerykańskiego

12.15 czasu wschodnioamerykańskiego

W wyścieranym dywanami i wypełnionym antykami biurze doktora Hansa Kellermana, naczelnika administracyjnego bazy atomowej w Richland, Max Rudnick wyglądał i czuł się jak stoń w składzie porcelany. Usiadł ostrożnie na zaokrąglonym brzegu krzesła w stylu królowej Anny i czekał, aż Kellerman się odezwie. Niski, siwowłosy naczelnik stał przy oknie, spoglądając na mrowie ludzi krzątających się przed budynkiem administracyjnym. Pobliska droga zastawiona była kilkunastoma radiowozami policji stanowej oraz biura szeryfa w Richland. Haberman i trzech innych pracowników ochrony wskazywało niepoinformowanym przybyszom drogę do reaktora. Kellerman odwrócił się od okna i usiadł przy ozdobnie rzeźbionym, siedemnastowiecznym stole, który służył mu za biurko. Popatrzył na Rudnicka.

- Trzeba będzie naprawić kable w tunelu? - zapytał. Jego niemiecki akcent był silniejszy niż zazwyczaj.

Rudnick skinął głową.

- Sam je sprawdzałem. Przeżarte na wylot. Wszystko śmierdzi kwasem azotowym albo siarkowym.

- Nie weszliście jeszcze do reaktora?

Rudnick znów potwierdził.

- Uznałem, że najlepiej będzie poczekać na chłopców ze stanowej. Strażnicy i technicy z reaktora twierdzą, że intruzów było tylko troje, kobieta i dwóch mężczyzn. Jeden z nich miał strzelbę. Postanowiłem powstrzymać się od działania, dopóki z panem nie porozmawiam.

- Dziękuję - odparł Kellerman. - Sprawdził pan na monitorach, w którym miejscu się znajdują?

- Są w centrum kontroli reaktora. Jeden z mężczyzn, ten ze strzelbą, może mieć ze trzydzieści lat, może trochę mniej. Drugi z nich, lekko łysiejący, z czarnymi, kręconymi włosami, ma ze trzydzieści pięć lat... Dziewczyna jest wysoka. Ciemne włosy. Dwadzieścia parę lat. Z nich trojga tylko ten ze strzelbą wygląda na niebezpiecznego.

Kellerman posłał mu chłodne spojrzenie.

- Oni wszyscy są niebezpieczni, panie Rudnick. Dzwonił pan po FBI? - Zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie niż pytanie.

- Nie, sir - odparł krótko Rudnick. - Myślę, że możemy sobie poradzić bez ich pomocy.

Kellerman pokręcił głową.

- Nie chodzi o to, co pan myśli, panie Rudnick. To jest baza federalna. Trzeba ściągnąć FBI. Takie jest prawo. Jasne?

- Tak - powiedział Rudnick, opierając się o kruche oparcie krzesła. - Ale wie pan, że to nada sprawie rozgłosu.

Kellerman poczerwieniał. Przez wiele lat na składowisku doszło do licznych pożarów, przede wszystkim z powodu nieprzestrzegania przepisów bezpieczeństwa. Naczelnik był przeczulony na punkcie rozgłosu, a Rudnick o tym wiedział.

- Mniejsza o rozgłos! Niech ich pan wezwie. Natychmiast. Czy ustalił pan, jak ci... osobnicy dostali się do bloku reaktora? - zapytał, zmieniając temat.

Rudnick pokręcił głową, uśmiechając się nieznacznie.

- Jeszcze nie. Haberman wyśle ekipę, kiedy upora się z policją. Ale mam na ten temat swoje zdanie. Przedstawiłem je w raporcie, który przysłałem panu bezpośrednio przed przeciekami. - Rudnick opanował się, żeby nie okazać złośliwej satysfakcji. Odkąd zjawił się w Richland, starał się uzmysłwić wszystkim, że tutejszy system bezpieczeństwa pilnie potrzebuje modernizacji. Przez ostatni rok wiele uwagi poświęcał możliwości wtargnięcia terrorystów na teren bazy. Jego zaangażowanie wzrosło jeszcze bardziej, kiedy przeczytał biuletyn ERDA na temat możliwych kradzieży plutonu. Jednak Kellerman ignorował jego raporty. Z jego punktu widzenia prawdopodobieństwo, że ktoś właśnie się do bazy w Richland, było zbyt małe, aby się tym przejmować. Odrzucał prośby Rudnicka o zwiększenie funduszy, traktując to niemal jak działalność wywrotową. Cóż, pomyślał Rudnick, teraz tego pożałuje. Jego raporty wciąż znajdowały się w aktach i z pewnością zostaną wzięte pod uwagę w śledztwie, które nastąpi po dzisiejszych wydarzeniach.

- O ile pamiętam, sugerował pan, że ewentualne wtargnięcie intruzów miałyby nastąpić od strony rzeki - odparł Kellerman, usiłując przypomnieć sobie treść raportów.

Rudnick przytaknęła i pochylił się do przodu.

- Właśnie. Prawdopodobnie przeprawili się przez rzekę, a następnie poszli wzdłuż ogrodzenia. Założę się, że znajdziemy tam porzuconą łódź. To był zawsze najślabszy punkt, ale nie miałem dość personelu, aby zapewnić mu właściwą ochronę.

Kellerman zignorował tę oczywistą aluzję.

- Czy to oznacza, że przeszli przez teren ostatniego przecieku? - zapytał.

Rudnick posłał mu posępne spojrzenie.

- Nie pomyślałem o tym - wymamrotał, zły na samego siebie. - Wyślę tam ekipę pomiarową.

- Proponuję, aby uczynił pan to natychmiast - powiedział Kellerman, zadowolony, że przekonał rozmówcę. - Jeśli ci ludzie zostali napromieniowani, rzuca to całkiem inne światło na sprawę.

- Właśnie - mruknął Rudnick pod nosem. Wtargnięcie tych idiotów było wystarczającym zmartwieniem. Jeśli na dodatek zostali napromieniowani, sprawa wyglądała dzie-

sieć razy gorzej. Co więcej, im dłużej będzie się obmyślać sposób wyciągnięcia ich stamtąd, tym silniej skażone zostanie centrum sterowania.

- Byłbym też wdzięczny, gdyby poinformował mnie pan, kiedy tylko kabel w tunelu zostanie naprawiony. Będziemy musieli przejąć kontrolę nad reaktorem poprzez awaryjną sterownię. Przez weekend reaktor chodził automatycznie. Chodzi tak do tej pory. Będzie musiał zostać zamknięty.

Rudnick uniósł brwi. Zamknięcie reaktora było nie tylko czasochłonne, było też niewyobrażalnie kosztowne. Minie wiele tygodni, zanim reaktor ponownie osiągnie dawną wydajność.

Kellerman wstał i odprawił gościa skinieniem. Spotkanie dobiegło końca. Kiedy Rudnick zamknął za sobą drzwi, naczelnik administracyjny odwrócił się, podszedł z powrotem do okna i popatrzył na szeroki pas brunatnej ziemi pomiędzy drogą a południowym ogrodzeniem. Poranne słońce zaczynało rozgrzewać pustyнный teren po drugiej stronie siatki. Niebo było bezchmurne, kryształowo błękitne. Kellerman wiedział, że zapowiada się upalny dzień. Nagle zdał sobie sprawę z ciężaru swoich sześćdziesięciu trzech lat. Poczutł nerwowe drżenie policzka i napiął mięsień, aby je opanować. Jeszcze raz popatrzył na niebo. Kiedyś miał już taki dzień, prawie czterdzieści lat temu. Dzień, który odmienił jego życie.

Powrócił wtedy z trzydniowej przepustki i zastał Peenemunde w ruinach; von Braun i inni błękali się wśród poskręcanych, dymiących szczątków największej stacji badawczej, jaką kiedykolwiek zbudowano. Jakimś cudem Kellerman zdołał przetrwać tamten dzień i wszystkie okropieństwa, które po nim nastąpiły, ale miał wtedy niewiele ponad dwadzieścia lat. Tym razem było inaczej. Tym razem nie będzie nowej kariery. Nawet jeśli szczęśliwym trafem zdołają szybko unieszkodliwić terrorystów, dziennikarze go zrujnują. Będzie zmuszony podać się do dymisji, a w najlepszym razie przystać na wcześniejszą emeryturę. Jak na ironię, prawdopodobnie to Rudnick ze swoimi raportami przyczyni się ostatecznie do jego klęski. Kto jak kto - ale żeby Rudnick! W dawnych czasach taki tłusty Polaczek nic by dla niego nie znaczył, byłby narzędziem do wykonywania najgorszych prac.

Kellerman odwrócił się od okna. Sztynnym krokiem podszedł do biurka i usiadł. Przez chwilę rozglądał się po swoim gabinecie, patrząc na dzieła sztuki gromadzone przez dziesięciolecia. Następnie sięgnął po słuchawkę telefonu.

- Wygląda całkiem realistycznie - powiedział Bateman, wpatrując się w bombę przytwierdzoną do głównej konsoli w centrum kontroli reaktora. Urządzenie składało się z dwóch części: piętnastocentymetrowej kuli z masy plastycznej, spłaszczonej u pod stawy, z której wylaniały się dwie wypustki, a każda z nich była połączona drutem z czarnym pudełkiem wielkości paczki papierosów.

Paula, siedząca obok niego przy konsoli, obrzuciła go krytycznym spojrzeniem.

- Co to niby miało znaczyć? - zapytała.

Bateman, z oczami pałającymi wściekłością, popatrzył z ukosa na Snydera, który stał przy rozwalonych drzwiach stanowiących wyjście awaryjne i wpatrywał się w głąb korytarza, wetknąwszy strzelbę pod ramię.

- Dlaczego jej nie powiesz, Vince? - burknął Bateman.

Snyder obrócił się powoli, chwytając mocniej strzelbę i zaciskając palec na spuście. Uśmiechnął się chłodno.

- A więc domyśliłeś się - powiedział.

Bateman przytaknął.

- Doznałem olśnienia, kiedy tu siedziałem - wycedził.

- O czym wy, kurwa, gadacie? - zapytała Paula, wierząc się na krześle. Bateman roześmiał się gardłowo.

- Kochany chłopak, ten tutaj. Zabrał nas na piękną wycieczkę. Zawsze się zastanawiałem, po co to robi. - Westchnął. - Na początku sądziłem, że zależy mu tylko na ściągnięciu ci majątek. Wiedziałem, że jego motywy są bez sensu, ale za bardzo zaangażowałem się w całą sprawę. Powinienem być się domyślić znacznie wcześniej. On cię wykorzystał nie tylko w jeden sposób, Paula. Wykorzystał nas oboje.

- Vince? - powiedziała Paula, odwracając się do niego. Snyder wzruszył ramionami. Dziewczyna popatrzyła pytająco na Batemana.

Przez chwilę patrzył jej w oczy z miną zwycięzcy.

- Pragnęłaś silnych wrażeń, być może pragnęłaś też nowego kochanka. Ja pragnąłem. .. o rany, sam już nie wiem czego. Chyba próbowałem być tym, kim chciałaś, że bym był. Po co to robisz, Vince? Dla pieniędzy?

Snyder przytaknął, a jego uśmiezek przerodził się w triumfalny grymas.

Bateman poczuł, jak żołądek przewraca mu się z wściekłości.

- Ile? - zapytał. - Milion, dwa miliony? Jakiej kwoty domaga się ten twój mały, podły mózdzek?

- Nie mam wygórowanych wymagań, Bateman - odparł Snyder z drugiego końca pokoju. - Pięćset tysięcy.

- A co z nami? - spytał Bateman.

Snyder wykonał dłonią gest wyrażający wahanie.

- To zależy - powiedział. - Jak mi wejdziecie w drogę, to was rozwalę. Jak będziecie mili, to się z wami podzielę. Ta twoja dziewczyna nie jest taka zła. Mógłbym się do niej przyzwyczaić.

Paula zerwała się z krzesła, sycząc przez zaciśnięte zęby. Ruszyła w stronę Snydera z zaciśniętymi pięściami. Kiedy się zbliżyła, Snyder zamachnął się strzelbą. Ciężką, przepiłowaną lufą trafił prosto w twarz i dziewczyna z jękiem osunęła się na podłogę.

Sześć metrów dalej Ronald Bateman siedział nieruchomo. Kiedy się odezwał, jego głos był ledwie słyszalny.

- Zamierzam cię zabić, Vince - wycedził powoli, wpatrując się drugiemu mężczyźnie w oczy.

Snyder odchrząknął.

- Wcale nie zamierzasz - odparł lekceważąco. - Nie byłbyś w stanie. - Kiedy jednak zajrzał w oczy Batemana, nagle zdał sobie sprawę, że może się mylić.

O godzinie dziewiętej dziewięć, cztery minuty po tym, jak pierwsza fala przetoczyła się nad zaporą i zaczęła sunąć wzdłuż kanionu o stromych ścianach, woda dotarła do miasteczka Mica. Fala wypełniła dolinę, wznosząc się na ponad dwieście dwadzieścia metrów. W ciągu kilku sekund spadła z potężnym rykiem na tory kolejowe, na motel, na

drewniany kościół. Przewody wysokiego napięcia i kable telefoniczne przez chwilę unosiły się w powietrzu, a potem pogrążyły w szalejącej powodzi. Łączność z Revelstoke została przerwana, kiedy całe miasteczko zniknęło w okamgnieniu. Nikt nie przeżył.

Fala powodziowa, wysoka na dwieście dwadzieścia metrów, poruszająca się na południe z prędkością stu czterdziestu kilometrów na godzinę, zaczęła tworzyć własny front atmosferyczny. Gorące powietrze u podnóża fali było wypychane w górę, gdzie chłodziło się gwałtownie i produkowało olbrzymie kłęby mgły, która wkrótce spowiła olbrzymią masę wody toczącą się za czołem fali.

Woda podmywała ziemię i skały na obu brzegach, wywołując potężne lawiny, z których tysiące ton odłamków było natychmiast porywane przez prąd. Całe góry zaczęły się przewracać, podcięte napierającą falą. Woda porywała głazy wielkości domów, wyrzucała drzewa z korzeniami, w ciągu kilku sekund dokonując tego, co zwyczajnej erozji zajęłoby miliony lat.

Carl Turcott, jadący wraz z żoną i piątką dzieci swoim nowym kombi, kierował się właśnie w stronę zapory w Mica. Wszyscy chcieli odpocząć - Carl od pracy w towarzystwie ubezpieczeniowym, a żona, Margaret, od jego matki, która mieszkała z nimi, lecz wolała pozostać w Vancouver niż znosić trudy podróży z piątką dzieci. Ani Carl, ani nikt inny spośród pasażerów samochodu nie wiedział nic o prawach hydrologii, lecz o dziewiętej dziewiętnaście tego ranka wszyscy stali się świadkami działania jednej z elementarnych zasad owej nauki.

Fala wody zawsze osiąga moment, w którym nie jest w stanie zwiększyć prędkości rozchodzenia się. Jeśli kanał przepływowy ulega zwężeniu, fala nie zmienia prędkości, lecz zwiększa swoją wysokość.

Dwadzieścia cztery kilometry poniżej miasteczka dolina Kolumbii zwęża się. Kiedy Carl pokonywał w tym miejscu ciasny zakręt drogi, wraz ze swoją rodziną zobaczył, jak fala rośnie wzwyż o kolejne osiemdziesiąt metrów. Woda wystrzeliła w górę i zaczęła porywać całe lasy znajdujące się przy brzegach kanionu. Samochód Carla Turcotta podzielił los pobliskich drzew i głazów.

Trzydzieści siedem minut po nagłym zakończeniu wakacji Turcottów fala powodziowa dotarła do nowo zbudowanej zapory w High Revelstoke. Wysoka na prawie dwieście metrów ściana z betonu i ziemi przez chwilę powstrzymywała szalony napór wody, która wzniosła się wyżej niż kiedykolwiek przedtem. Uderzenie było tak silne, że wielu robotników pracujących przy kanałach spustowych dosłownie zatrzęsło się na śmierć; ich kości pękły od wibracji, zanim woda zdążyła pochłonąć to, co z nich pozostało. Większa część przypór, które przytwierdzały tamę do ścian kanionu, była jeszcze niewykończona. Czternaście sekund po pierwszym uderzeniu tama rozpadła się na elementy, z których była zbudowana. Betonowe płyty i zwały ziemi dołączyły do olbrzymiej masy szczątków niesionej przez falę.

Dwayne Cutler, właściciel stacji benzynowej Esso przy autostradzie transkanadyjskiej biegnącej tuż za mostem nad Kolumbią, był pierwszym mieszkańcem Revelstoke, który zobaczył falę. Jego stacja znajdowała się na zachodnim krańcu miasteczka; było z niej widać most, a za nim rzekę ginącą za zakrętem doliny. Cutler skończył napełniać bak w samochodzie turystów i właśnie wycierał ręce, spoglądając bezmyślnie na północ, kiedy zdał sobie sprawę, że dzieje się coś niedobrego. Ziemia pod jego stopami zaczęła

lekkie drżeć. W pierwszej chwili sądził, że było to spowodowane przez jedną z licznych przejeżdżających tędy ciężarówek, które nieustannie podjeżdżały na stację. Tym razem żadnej ciężarówki nie było. Po chwili zdał sobie sprawę, że drżenie ziemi ma szerszy zasięg. Olbrzymi sztyd stacji Gulf, stojący sto metrów dalej wzdłuż autostrady, kołysał się na boki. Cutler usłyszał brzęk narzędzi w garażu.

Kiedy tak stał, drżenie zaczęło narastać. Towarzyszył mu odległy, potężny szum, który dochodził jakby z głębi kanionu. Mężczyzna popatrzył na północ i zamrugał oczami ze zdziwienia. Olbrzymia chmura mgły opadała na miasto i przez chwilę zdawało mu się, że to początek jakiegoś strasznego letniego tornada. Szum wzmógł się i widać było, jak mgła się rozprzestrzenia, zasnuwając niemal całą kotlinę o kształcie miski. Dopiero kiedy Cutler zobaczył walący się most, zrozumiał, co się dzieje. Zdażył tylko odwrócić się i zacząć biec, kiedy fala uderzyła. Gdy dystrybutory zostały wyrwane z cokołów, przypadkowa iskra zapaliła paliwo znajdujące się w zbiornikach pod stacją. Eksplozja została natychmiast zgaszona przez szalejący strumień wody.

Fala spadła na miasto, polykając ludzi, samochody i domy, zmieniając cegły i kamienie w piasek i muł. Zburzyła młyn wraz z magazynami, trzema stojącymi przy nich pociągami towarowymi oraz lokomotywnią i dworcem pasażerskim.

Jednak powódź jeszcze się nie zakończyła. Szeroka kotlina spowolniła tylko na chwilę jej postęp. Wysokość fali zmalała na moment, kiedy woda wypełniała kotlinę. Później, kiedy dotarła do południowego skraju miasta, kotlina przeszła znów w wąski kanion. Woda, wpływając do niego, wzbiła się niemal na tę samą wysokość co poprzednio. Sześć minut po przejściu nad Revelstoke fala wdarła się w spokojne wody jeziora Upper Arrow. Kiedy tylko się z nimi zetknęła, zmieniła swoją naturę. Ściana wody zaczęła tworzyć z podłożem kąt ostry, wdzierając się w dno jeziora i rozchodząc po całej jego szerokości. Olbrzymia ściana spienionej wody przerodziła się w kolosalną, garbatą bestię, która zanurkowała w jeziorze, pożerając jego brzegi, a wraz z nimi całe farmy, lasy, letnie rezydencje, jachty, ludzi, zwierzęta, a nawet całe miejscowości: Mount Carrier, Shelter Bay, Galenę i Nakusp. I tym razem nikt nie został ostrzeżony.

Wodny klin, wysoki na prawie sto dwadzieścia metrów, urósł jeszcze wyżej, kiedy dotarł do krańca zbiornika. Następnie przetoczył się do jeziora Lower Arrow, wśród ciemnych, porośniętych lasem gór wznoszących się po obu jego stronach. Powódź dokonała kolejnych zniszczeń. Miasta: Makison, New Burton, New Faauier i Needles zniknęły pod wodą. Miejscowości te przeniesiono wcześniej z ich poprzednich lokalizacji, kiedy zbudowano zaporę w High Keenleyside i sztucznie pogłębiono obydwa jeziora Arrow. Tym razem również nie było żadnego ostrzeżenia, nie wszczęto nawet alarmu powodziowego.

Na południowym krańcu jeziora fala natrafiła na przeszkodę. Zapora w Keenleyside była najmasywniejszą z kanadyjskich tam zbudowanych na Kolumbii. Miała podwójną strukturę: w dwóch trzecich była wypełniona ziemią, jak tama w Mica, górna część zaś była betonowa.

W porównaniu z Mica była to niewielka tama, wznosząca się niecałe osiemdziesiąt metrów ponad dno jeziora. Klin wody uderzył w zaporę i przetoczył się nad nią, przewyższając ją o ponad trzydzieści metrów, a następnie rozpuścił wał ziemny i rozbił betonowy mur w kawałeczki, uwalniając wody obu jezior, które dołączyły do wód ze zbiorników w Mica i High Revelstoke.

Za Keenleyside dolina znów się zwężała i wodny klin ponownie przerodził się w pionową ścianę. Woda potoczyła się prastarym korytem rzeki w kierunku granicy amerykańskiej.

Fala dosięgnęła miasto Castelgar, zatopiła je i pomknęła dalej. Dziesięć minut później dotarła do miasteczka Trail, położonego podobnie jak Revelstoke w szerokiej kotlinie. Jednak tym razem kilka osób zdołało się uratować. Lotnisko, na którym lądowały samoloty rolnicze oraz nieliczne maszyny Pacific Western Airlines, było położone na wysokim płaskowzgórzu. Kiedy fala pochłaniała miasto, jeden z kontrolerów lotniska zdołał wysłać ostrzegawcze sygnały, zanim dopływ energii został odcięty. Sygnały te zostały odebrane przez samolot linii Air Canada lecący na zachód. Piloci natychmiast przekazali wiadomość na lotnisko międzynarodowe w Vancouver.

Kiedy fala, teraz już wysoka na ponad dwieście metrów, wdarła się do miasteczka Kolumbia i minęła granicę Stanów Zjednoczonych, pierwsze niejasne ostrzeżenia o nadchodzącej katastrofie zaczęły krążyć w eterze.

Rozdział 10

4 lipca

10.30 czasu zachodnioamerykańskiego

13.30 czasu wschodnioamerykańskiego

O godzinie szóstej dwadzieścia pięć rano, dwadzieścia minut po tym jak Dennis Penpraze wszedł na wieżę strzelniczą na Wreck Beach, ciężarówka z emblematem wschodzącego słońca, znakiem Uniwersytetu Kolumbii Brytyjskiej, oraz napisem: WYDZIAŁ FIZYKI, zaparkowała obok samochodu wypożyczonego przez Penpraze'a. Wysoki kędzierzawy mężczyzna w płaszczu wysiadł z ciężarówki i zaczął przeładowywać do niej materiały wybuchowe z sąsiedniej furgonetki, w której pozostawił jedynie pustą skrzynkę z napisem DEPARTAMENT AUTOSTRAD W KOLUMBII BRYTYJSKIEJ. Następnie otworzył drzwi i wspiął się do kabiny ciężarówki. Zdjął cienkie chirurgiczne rękawice. W milczeniu skinął na kolegę siedzącego za kierownicą i obaj odjechali w bladym świetle poranka, kierując się na teren uniwersytetu, położonego niecały kilometr stąd przy Marine Drive. Cała operacja zajęła im niecałe dziesięć minut.

O szóstej czterdzieści pięć oficer dyżurny wydziału Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej przy Siedemdziesiątej Trzeciej Zachodniej Alei w Vancouver otrzymał telefoniczną wiadomość, która została automatycznie nagrana: „Dzień dobry. Nazywam się Dennis Penpraze. Dziś rano, dokładnie o godzinie dziewiętej zero zero, nastąpi eksplozja na zaporze w Mica. Zapora zostanie kompletnie zniszczona. Jestem w pełni świadom powagi tego aktu, lecz człowiek już zbyt długo niszczy przyrodę i musi wreszcie zapłacić za swoje przewinienia. Zniszczenie zapory w Mica jest częścią mojego planu. Nie marnujcie czasu. Nie możecie nic zrobić, żeby powstrzymać to, co się zaczęło. Jeśli potrzebujecie dowodów na moje słowa, możecie sprawdzić parking przy Wreck Beach. Będę czekał na dole, w wieży strzelniczej, od której wszystko się zaczęło i w której wszystko się zakończy. To jest mój jedyny komunikat”.

Rzecz jasna, oficer dyżurny uznał, że telefon pochodzi od szaleńca, lecz kiedy ponownie przesłuchał nagraną rozmowę, coś go uderzyło w drewnianym, niemal mechanicznym głosie. Wysłał wóz patrolowy na parking przy Wreck Beach. Następnie zadzwonił do wydziału Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej w Revelstoke. Poinformowano go, że na miejscu nie ma ani jednego radiowozu, który można by wysłać, aby sprawdzić prawdziwość groźby, lecz zostanie on wysłany, kiedy tylko będzie to możliwe. Oficer z Vancouver zapytał, czy policja w Revelstoke posiada helikopter. Oficer dyżurny z Revelstoke wyjaśnił, że owszem, ale został wypożyczony dyrekcji parku narodowego, prowadzącej poszukiwania niedźwiedzia, który zaatakował turystów. Obaj mężczyźni zgodzili się, że musiał to być grizzly. Oficer obiecał wysłać radiowóz.

O siódmej piętnaście funkcjonariusz z wozu patrolowego w Vancouver połączył się z bazą przez radio i złożył raport. Według niego w furgonetce znajdowała się skrzynka, wyglądająca jakby przewożono w niej materiały wybuchowe. Oficer dyżurny wysłał na miejsce trzysobową ekipę śledczą, stawiając w pogotowiu policyjną jednostkę saperów.

O siódmej trzydziści oficer dyżurny w Vancouver zadzwonił do Revelstoke i przekazał najświeższe wieści. Tamtejszy oficer zdołał skontaktować się z jednym z radiowozów i wysłał go do zapory. Nawet przy pełnej szybkości dojechanie tam musiałoby zająć prawie dwie godziny. Oficer zadzwonił więc do biura B.C. Hydro w Mica, lecz automatyczna sekretarka poinformowała go, że biuro jest czynne od dziewiętej, a następnie zaczęła przedstawiać aktualny program wycieczek.

O ósmej dziesięć ustalono, że furgonetka pochodzi z wypożyczalni w Revelstoke. Jednostka śledcza wróciła do bazy z dokumentami samochodu. Przy furgonetce pozostawiono jednego funkcjonariusza w radiowozie.

Po przedyskutowaniu sytuacji oficer dyżurny postanowił wysłać czterech detektywów na zwiad. Dwoch miało obserwować furgonetkę z ukrycia, a pozostałych dwóch - patrolować okolicę, udając plażowiczów. Ekipę saperów wciąż trzymano w pogotowiu.

Kiedy detektywi ruszyli do akcji, oficer dyżurny zadzwonił do wydziału łączności. Nazwisko i adres osoby, która wypożyczyła furgonetkę, zostały przesłane telexem do okręgowego biura FBI w Los Angeles w Kalifornii.

W chwili gdy nazwisko Dennisa Penpraze zaczęło się wyłaniać z kalifornijskiego dalekopisu, niewielki ponton wypłynął z doków False Creek. Powoli minął jednostkę strażnicy przybrzeżnej na Crystal Beach, następnie las porastający wzgórze West End, wreszcie wypłynął na wody zatoki Burrard. Nie zdając sobie sprawy z zamieszania, jakie wywołała jego osoba, Dennis Penpraze spał.

- Cholera! - krzyknął Kane, rzucając słuchawkę na widełki. - Ile ich jest?

Chuck, siedząc w kucki na łóżku, trzymała na kolanach książkę telefoniczną Olympii. Policzyła szybko na palcach.

- Dziewięć. Została jeszcze jedna - powiedziała, spoglądając na Kane'a, który siedział przy stole w drugim kącie pokoju.

- Ciągłe nie odpowiada albo pomyłka - stwierdził pośepnie. - Gdzie ona jest, no diabła? - Podniósł słuchawkę. - Podaj mi numer.

- CM. Sweet. Trzydzieści pięć, siedemdziesiąt trzy, trzysta sześćdziesiąt dwa - odparła Chuck, nie odrywając wzroku od książki. Kane po raz kolejny wykręcił numer.

To była ich ostatnia nadzieja. Do tej pory bezskutecznie dzwonili do władz stanowych, do biura gubernatora oraz do informacji rządowej. Miasto opustoszało na cały świąteczny weekend. Kane był tak zdesperowany, że zawołał ubranego po cywilnemu policjanta, siedzącego w samochodzie po drugiej stronie ulicy, aby zapytać go, czy nie zna numeru telefonu do pani Sweet. Nie znał. Wiedział tylko, że ma ich pilnować, dopóki nie otrzyma innych rozkazów z biura gubernatora.

Kane odłożył słuchawkę.

- Cóż, to by było na tyle - stwierdził ponuro.

- Nie mamy szczęścia? - spytała Chuck.

Kane pokręcił głową i palcami zdrowej ręki zaczął bębnić w blat stołu.

- Moglibyśmy jeszcze raz zadzwonić tam, gdzie nikt nie odbierał. Może ktoś już wrócił do domu - zaproponowała Chuck.

- Po co się trudzić? - odparł Kane, krzywiąc się. Wstał i podszedł do okna.

- Posłuchaj, nie możemy się tak po prostu poddać - powiedziała Chuck. - Ona musi gdzieś być.

Rzuciła książkę telefoniczną na łóżko i zapaliła papierosa.

- Sam mówiłeś, że ci ludzie wkrótce wykonają jakiś ruch. Może zamierzają go wykonać dzisiaj! Musimy dalej próbować, Jon, jeśli chcemy...

Kane, który wyglądał przez szparę w zasłonach, uciszył dziewczynę gestem.

- Poczekaj - szepnął. - Chyba mamy gości. - Czarny cadillac zatrzymał się przy policyjnym samochodzie, którego kierowca przez chwilę rozmawiał z kimś siedzącym na tylnym siedzeniu limuzyny. Kane zauważył, że policjant wyprostował się i skinął głową. Limuzyna ruszyła i zaczęła zawracać na motelowym parkingu.

- Idą tu - powiedział szybko Kane.

- Kto? - spytała Chuck. Wstała z łóżka i przeszła przez pokój, żeby dołączyć do Kane'a. Cadillac zatrzymał się na miejscu parkingowym pod ich oknem. Po chwili wysiadła z niego asystentka gubernatora.

- Sweet! - powiedział Kane, zaskoczony.

Chuck popatrzyła na siebie.

- Jezu! - jęknęła. - Przecież ja nie mam nic na sobie! - Przebiegła przez pokój i zniknęła w drzwiach prowadzących do sąsiedniego pomieszczenia.

Kane otworzył, kiedy tylko Sweet zapukała. Asystentka gubernatora, ubrana w nienaganny lniany kostium, weszła do środka z teczką dyplomatką w rękę.

- Mój Boże! - powiedział Kane. - Próbujemy się z panią skontaktować od dwóch godzin. Wiemy już dokładnie, co...

Sweet podniosła rękę.

- Porozmawiamy później, panie Kane. Proszę wziąć swoje rzeczy i iść ze mną. - Chuck, ubrana w dżinsy i koszulę, weszła do pokoju, naciągając zamszą kurtkę. Sweet posłała jej przelotne spojrzenie i zwróciła się do Kane'a: - Pani Daly zostanie tutaj - oznajmiła oschle.

Chuck znieruchomiała, nie zdążywszy włożyć kurtki.

- O czym pani mówi, do cholery?! - krzyknęła. - Byłam z Jonem od samego początku tej historii.

- Przykro mi - powiedziała Sweet. - Pan Kane został zaproszony na nadzwyczajne spotkanie z gubernatorem. Pani nie. Prawdę mówiąc, nie jest tam pani potrzebna. Zostanie pani tutaj. Pod strażą.

- To już się wydarzyło, prawda? - odparła Chuck. - Zapora się zawałiła, a pani próbuje mnie od tego odsunąć. Największa sensacja w mojej karierze, a pani chce mnie uciszyć! - Zwróciła się do Kane'a. - Powiedz jej, Jon - poprosiła. - Powiedz jej, że jadę z tobą.

- Pan Kane nie może o tym decydować - powiedziała Sweet, nerwowo odgarniając kosmyk włosów, który opadał jej na szyję. - To jest kwestia bezpieczeństwa. Bezpieczeństwa narodowego. Zostanie pani tutaj.

- Zrób tak jak ona mówi, Chuck - powiedział łagodnie Kane. - Tutaj będziesz bezpieczniejsza. - Podszedł i położył jej rękę na ramieniu. Odepchnęła ją i popatrzyła na niego z błyskiem w oku.

- Szowinistyczny gnojek! - warknęła. - Mam cię dosyć. Uratowałam ci skórę, i to dosłownie. Mało przez ciebie nie zginęłam. A teraz mi mówisz, że mam siedzieć cicho?

- Chuck... - zaczął Kane.

- Pieprz się! - krzyknęła. Obróciła się na pięcie i wybiegła do swojego pokoju, trzaskając za sobą drzwiami. Kane stał nieruchomo, spoglądając za nią bezradnie.

- Panie Kane - ponagliła go Sweet. Stała przy drzwiach z ręką na klamce, a jej głos był zdumiewająco uprzejmy. - Panie Kane, nie możemy dłużej tracić czasu.

Kane skinął głową. Wcisnął ręce do kieszeni i poszedł za urzędniczką do samochodu. Po chwili jechali już w kierunku posiadłości gubernatora.

- Znaleźliście ich? - powiedział człowiek z Langley do słuchawki.

- Tak - odparł głos oddalony o prawie pięć tysięcy kilometrów. - Są w motelu na przedmieściu. Ale mamy problem. Pierwszy właśnie został zabrany limuzyną.

- A dziewczyna?

- Na miejscu. Strażnik tak samo.

- Weźcie dziewczynę. Może być użyteczna. Z tamtym poradzimy sobie później.

- A strażnik? - zapytał głos w słuchawce.

Człowiek z Langley delikatnie pogładził się po policzku, w który zaciął się przy goleniu.

- Wyeliminować - powiedział. Odłożył słuchawkę i zaczął szukać wody utlenionej.

Głośnik umieszczony na suficie w centrum kontroli reaktora zaskrzeczał. Snyder podniósł wzrok.

- W samą porę, cholera - wymamrotał. Popatrzył w przeciwległy kąt pomieszczenia. Bateman i Paula St. George siedzieli przed jednym z potężnych komputerów. Paula trzymała się za usta, po palcach spływała jej wąska strużka krwi. Dziewczyna miała zamknięte oczy, a głowę opartą na ramieniu Batemana.

Głośnik zaskrzeczał ponownie. Tym razem popłynął z niego metaliczny głos.

- Mówi doktor Hans Kellerman, naczelnik administracyjny bazy atomowej w Richland. Jeśli chcecie coś powiedzieć, proszę podejść do głównej konsoli i nacisnąć przycisk bezpośrednio pod mikrofonem.

Snyder popatrzył w górę, na kamerę umieszczoną w kącie pod sufitem, i uśmiechnął się szeroko. Podszedł do konsoli, nacisnął przycisk i wygiął mikrofon tak, aby mógł do niego mówić i jednocześnie patrzeć w obiektyw.

- Witam, doktorze Kellerman. Nazywam się Snyder. Jak się pan miewa? - Kellerman nic nie odpowiedział. Snyder wzruszył ramionami i mówił dalej. - Dobrze, darujmy sobie pogawędkę. Przejdźmy do interesów.

Snyder zdjął bombę z konsoli i wyciągnął ją w stronę kamery.

- To jest coś, co nazywacie ładunkiem wybuchowym - powiedział, jakby rozpoczął wykład. - Czwierć kilograma najlepszego czamorynkowego gelinitu. Do tego dwa proste zapalniki i zwykły kwarcowy odbiornik krótkofalowy. Mówię o tym czarnym pudełku. - Snyder położył bombę na konsoli i wyjął z kieszeni szary prostokątny przedmiot długości dziesięciu centymetrów. - To jest nadajnik. Piętnaście przycisków, piętnaście bomb. Mogę je odpalić po kolei albo wszystkie naraz. Bum! I możecie się pożegnać ze swoją bazą. Chyba jasno się wyraziłem.

Nastąpiło dłuższe milczenie; wreszcie z głośnika dobiegł głos Kellermana.

- Tak. Rozumiem, że macie jakieś żądania.

Snyder uśmiechnął się do kamery.

- Zgadł pan, doktorze Kellerman. Prawdę mówiąc, nie proszę o wiele. Po pierwsze, chcę pięćuset tysięcy dolarów w szlifowanych diamentach, z których każdy będzie mieć od dwóch do siedmiu punktów na skali AGS i będzie ważyć między osiem dziesiątych a jeden i cztery dziesiąte karata. Miałem do czynienia z diamentami, kiedy służyłem w Rodezji w czarnych beretach, więc nie próbujcie mnie wyrolować. Wziąłem ze sobą lupę, żeby przekonać się, czy jesteście uczciwi. - Z drugiej kieszeni kurtki wyciągnął małe jubilerskie szkło powiększające i pokazał je do kamery. - Powinniście być w stanie dostać towar od Zrzeszenia Dystrybutorów Diamentów w Seattle. - Snyder wziął głęboki oddech i wypuścił powietrze ze świstem. - Kiedy będziecie to załatwiać, możecie jednocześnie zorganizować mi helikopter policji stanowej. Najlepiej duży, na przykład jetranger. Nadajnik, który mam w kieszeni, działa na odległość siedemdziesięciu kilometrów. Jeśli pilot lub ktokolwiek inny będzie próbował jakichś sztuczek, odpalę wszystkie piętnaście bomb. - Snyder patrzył w obiektyw z nieruchomą twarzą. - Rozumiemy się?

Po krótkiej pauzie Kellerman odpowiedział:

- Tak. Rozumiem. Zrobimy to, o co pan prosi.

- Doskonale - powiedział Snyder. Wyszczrzył zęby w uśmiechu i zaczął niby od niechcenia wymachiwać strzelbą, dopóki Bateman i Paula St. George nie znaleźli się na muszce. - Jeśli nie otrzymam diamentów i helikoptera za jakieś cztery godziny, stracę dwoje moich zakładników. Będziecie mogli to zobaczyć na monitorach.

- Odnieśliśmy wrażenie, że ci dwoje są współnikami pańskiego... przedsięwzięcia - oznajmił metaliczny głos Kellermana.

- Owszem, byli. - Snyder uśmiechnął się szeroko. - Ale już nie są. Więc lepiej się pospiesz, Kellerman. Masz cztery godziny. - Wyłączył mikrofon.

W pokoju awaryjnej kontroli reaktora, oddalonym o kilkaset metrów, Kellerman opadł bezsilnie na oparcie fotela i wpatrywał się w milczący głośnik. Rudnick, siedzący obok, zapalił kolejnego papierosa i wypuszczał kłęby dymu, rozmyślając. Patrzył, jak widoczny na ekranie Snyder z powrotem zajmuje stanowisko przy wyjściu awaryjnym. Za plecami Rudnicka siedziało w milczeniu dwóch ludzi z biura szeryfa. W pokoju znajdował się jeszcze jeden człowiek, ekspert od materiałów wybuchowych z policji stanu Waszyngton. Pochylił się nad ramieniem Rudnicka, aby lepiej przyjrzeć się urządzeniu stojącemu na pulpicie w pomieszczeniu kontroli reaktora.

- Czy to, co on mówił o bombach, jest wiarygodne? - spytał Kellerman.

Wysoki mężczyzna w średnim wieku wstał i popatrzył na ekran z bliska. Pokiwał głową.

- Powiedziałbym, że nawet bardzo wiarygodne. Moim zdaniem, możemy mieć pewność. Słyszałem o takich urządzeniach. Wynałazł je pewien szalony radiooperator z Wietnamu, kiedy chciał pozbyć się jednego ze swoich zwierzchników. Prymitywne, ale po winno działać prawidłowo.

Kellerman zwrócił się do Rudnicka.

- Ma pan jakiś pomysł?

- Myślałem, że nie muszę się tym zajmować - powiedział szef straży, wciskając papierosa w kącik ust. - Powiedział pan, że ściągniemy FBI.

- Zgadza się - powiedział sztywno Kellerman. - Niestety, nie udało mi się skontaktować z biurem FBI w Spokane. Wygląda na to, że łączność została przerwana.

- A w Portland? - zasugerował Rudnick.

Kellerman przytaknął.

- Tak. Dzwoniłem do nich. Ale tutaj w grę wchodzi czas. Tamtejsi ludzie mogliby tu przybyć najwcześniej za dwie godziny.

- Hm... - mruknął Rudnick, spoglądając znów na ekran. - Rozumiem. Myśli pan, że ten, jak mu tam... Snyder? Myśli pan, że on może posunąć się aż tak daleko, żeby zdetonować bomby, prawda?

- Takie odniosłem wrażenie - odparł Kellerman.

- Ja też - przyznał Rudnick. - Facet jest stuknięty jak diabli. Każdy, kto ma choć trochę rozumu, wiedziałby, że nie wywinie się z tego. Kiedy tylko znajdzie się poza zasięgiem działania nadajnika, pilot helikoptera może go wysadzić nawet na podwórku więzienia Walla-Walla.

- Więc co pan proponuje? - spytał Kellerman. Rudnick otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale zanim zaczął, drzwi pokoju otworzyły się gwałtownie i stanął w nich zdyszany Haberman.

- Panie Rudnick! Ekipa pomiarowa właśnie złożyła raport!

- I co? - spytał Rudnick, domyślając się odpowiedzi po wyrazie twarzy swojego asystenta.

- Przeszli dokładnie przez miejsce przecieku, sir! Ci ludzie są napromieniowani jak cholera!

Fala powodziowa wtargnęła do Jeziora Franklina Delano Roosevelta zupełnie inaczej niż do obu jezior Arrow. Zamiast wrzynać się od razu w dno, zaczęła najpierw prześli-

zgiwać się wzdłuż północnego brzegu jak samochód, który wypadł z zakrętu oblodzonej drogi. Kiedy masa zgromadzonej wody stała się zbyt wielka, czoło fali załamało się i opadło w spokojną, błękitną toń jeziora, podnosząc gwałtownie jego poziom.

Wzburzona woda, napędzana energią fali płynącej z jeziora Arrow, zaczęła z rykiem przesuwac się w kierunku Grand Coulee, wznosząc się około sześćdziesięciu metrów powyżej normalnego poziomu. Z tyłu spiętrzona woda przypominała pełzającą bestię, która pozostawiała za sobą ślady w postaci potężnych wirów. Wszystko, co znajdowało się w odległości mniejszej niż pół kilometra od brzegu, zostało połknięte przez falę i ostatecznie zmieszało się z szarzieloną masą błota i pyłu. Dno rzeki zostało zryte przez szalejące prądy, a podmyty materiał dołączył do szlamu niesionego przez powódź.

Kiedy fala przeszła nad ujściem rzeki Spokane i zaczęła posuwać się na zachód, niesiony przez nią osad oderwał się od dna i zakorkował ujście, blokując je całkowicie. Wkrótce okresowe dopływy Spokane zaczęły napełniać się wodą, która dotarła aż do położonego nad rzeką miasta.

Poniżej ujścia rzeki brzegi Jeziora Franklina Delano Roosevelta były bardziej strome. Rzeka płynęła teraz głębokim wąwozem wyżłobionym w suchym bazaltowym płaskowyżu. Fala przesuwiała się dalej na zachód, wzdłuż sztucznego jeziora, podmywając brzegi, rozcierając na pył tysiące jachtów i letnich rezydencji. Rozszarpane ciała setek, a później tysiący turystów wirowały groteskowo wśród szczątków.

Odrestaurowany parostatek „Oregon Lady”, na którego pokładach tłoczyło się ponad czterysta dzieci, jakimś cudem zdołał wpłynąć na olbrzymi klin wody. Przez chwilę bliźniacze koła napędowe kręciły się w powietrzu. Lecz kiedy statek ześlizgnął się z fali, jego kadłub został wciągnięty przez potężny wir i dosłownie zarył w zamulone dno jeziora. Kilka sekund później wrzaski przerażonych dzieci zostały na zawsze uciszone przez wtórną falę, która przykryła statek.

Kiedy klin wody przebył połowę długości jeziora, miał sto dwa metry wysokości i przesuwiał się z prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Niczym rozwścieczona bestia rzucił się na zaporę, która blokowała mu drogę.

Była godzina jedenasta osiemnaście.

Rozdział 11

4 lipca

11.30 czasu zachodnioamerykańskiego

14.30 czasu wschodnioamerykańskiego

Satelita potwierdza wystąpienie silnej fali powodziowej w centralnej części Kolumbii Brytyjskiej. Są dowody ekstremalnych zawirowań w rejonie Jeziora Franklina Delano Roosevelta i Grand Coulee. Fala rozprzestrzenia się w kierunku południowym i zachodnim. Konieczność powiadomienia prezydenta. Niniejsza informacja nie może być udostępniana bez zgody najwyższych władz. NOAA, Houston.

Prezydent Stanów Zjednoczonych przechadzał się nerwowo po przestronnym biurze w dziale planowania, które kiedyś było ulubionym miejscem pracy Richarda Nixona. Szedł powoli, szurając podszewkami o gładko wypolerowaną posadzkę z drewna cedrowego. Co parę chwil przystawał i przeglądał wydruk, który trzymał w ręku. Zawsze szanował Glorię Cullen, zarówno za jej wrodzoną inteligencję, jak i za polityczne zaangażowanie, lecz kiedy zadzwoniła, aby poinformować go o sytuacji w stanie Waszyngton, przez chwilę zwątpił w jej zdrowy rozsądek. Popatrzył tępo w słuchawkę. Przesłała mu raport z NOAA - Narodowego Biura Oceanografii i Meteorologii. Okazało się, że mówiła prawdę.

Prezydent wykrzywił usta w gorzkim uśmiechu, kiedy czytał ostatnią linijkę. Doskonale zdawał sobie sprawę, że dziennikarze zaczną dobijać się do drzwi Białego Domu nie dalej niż za godzinę, domagając się oficjalnego oświadczenia. Zerknął na zegarek. Było już prawie trzydzieści pięć po drugiej. Zmarszczył czoło, a jego uśmiech zniknął równie szybko, jak się pojawił. Walter był spóźniony, tak samo jak pozostali.

Odrzucił się do wielkiego, podłużnego kuloodpornego okna wychodzącego na zachodni dziedziniec. Zmarszczył czoło jeszcze bardziej, kiedy przypomniał sobie, jak Gloria Cullen mówiła mu o swoich obawach o Richland. Przed rozmową z nią wiedział już o wtargnięciu terrorystów, lecz teraz, kiedy dowiedział się o powodzi, sytuacja w Richland wydała mu się stokroć gorsza.

Prezydent zdawał sobie doskonale sprawę z zagrożenia, jakie stanowiło tamtejsze składowisko odpadów atomowych. Wiedział o katastrofie, jaka mogła się wydarzyć, jeśli reaktor nie zostanie zamknięty przed nadejściem fali powodziowej.

Spoglądał na równo przyszyżony trawnik i modlił się, żeby zapora w Grand Coulee wytrzymała. Jeśli nie wytrzyma, wszyscy znajdą się w wielkich tarapatach.

Charlene Daly rozchyliła zasłony i wyjrzała na motelowy parking i przylegającą do niego ulicę. Zniecierpliwiona tupnęła nogą. Strażnik wciąż siedział w nieoznakowanym samochodzie po drugiej stronie ulicy. Właśnie skończył czytać ostatnią stronę gazety. Zaczął jeść jabłko i przeglądać jakiś tygodnik.

- Cholera - powiedziała dziewczyna.

Puściła zasłony i wyciągnęła się na sofie. Zapalając dwudziestego już dziś papierosa, zastanawiała się, czy strażnik wie, po co tam siedzi. Drżała z wściekłości. Musiała się wydostać. Na zewnątrz rozgrywała się sensacyjna historia, jej historia, a ona nie mogła nic zrobić, podczas gdy każdy inny dziennikarz korzystał z okazji.

- Cholera, cholera, cholera! - powtarzała.

Musiała być jakieś wyjście z motelu. Zgasiła papierosa i sięgnęła po następnego. Paczka była pusta.

- Niech to jasny gwint! - jęknęła. Wstała, przeszła przez drzwi łączące oba pokoje i wyciągnęła swoją torebkę z szuflady. Przetrzęsła ją, szukając papierosów. Nagle znieruchomiała, otworzywszy szeroko oczy.

To było tak cholernie oczywiste. Popatrzyła na drzwi, przez które właśnie przeszła, i błyskawicznie odwróciła się w stronę przeciwległej ściany. Były tam drzwi do następnego pokoju. Prawdopodobnie wszystkie pokoje były ze sobą połączone na całej długości motelu. Podeszła prędko i nacisnęła klamkę. Zamknięte, rzecz jasna. Odsunęła się, wzięła głęboki oddech i rzuciła się na drzwi. W ostatniej chwili wyskoczyła w górę, podnosząc wysoko nogi.

Kiedy zetknęła się z drzwiami, rozległ się głuchy trzask. Zderzenie odrzuciło ją na środek sąsiedniego pokoju, gdzie wylądowała na podłodze, o mało nie łamiąc kości. Pokój był pusty, dzięki Bogu.

- Idiotka ze mnie! - mruknęła dziewczyna pod nosem. Spróbowała sobie przypomnieć, ile pomieszczeń znajdowało się pomiędzy jej pokojem a ścianą motelu. Jeszcze jedno? Podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Strażnik właśnie jadł pączka. Miał już co najmniej dwadzieścia pięć kilo nadwagi. Chuck mlasnęła językiem. Tacy jak on zwykle kończą zamordowani w trakcie nocnego patrolu. Wyjrzała na miejsce parkingowe sąsiedniego pokoju. Puste. Zastanowiła się, co by zrobiła, gdyby pokój obok okazał się zajęty. „Cześć! Właśnie uciekam przed moim ochroniarzem, nie zwracajcie na mnie uwagi”. To wszystko było szaleństwem. Zebrała się w sobie i wykonała następny skok. Teraz drzwi ustąpiły lekko, lecz Chuck już się nie przewróciła. Popatrzyła na przeciwną ścianę pokoju i uśmiechnęła się. Okno z pleksiglasu. Doskonale!

Przemknęła przez rozwalone drzwi do swojego pokoju. Chwyliła płaszcz i torebkę, potem przeszła do pokoju narożnego, pogmerała w torbie i wyciągnęła pilniczek do paznokci. W ciągu pięciu minut wycięła w pleksiglasie otwór, przez który mogła się przecisnąć. Chwilę później była już na zewnątrz, na wąskim trawniku przy ścianie budynku, poza zasięgiem wzroku strażnika. Przeszła przez asfaltową ścieżkę biegnącą wokół motelu, przeskoczyła niskie drewniane ogrodzenie i szybko pobiegła przyległym wąskim zaułkiem. Wyskoczyła z niego prosto na chodnik przed magazynem z częściami samochodowymi, który przylegał do motelu. Prawie od razu złapała taksówkę i zniknęła.

Rudnick przeciskał się powoli przez wąski kanał wentylacyjny z hartowanej stali. Plastikowe okulary jego kombinezonu przeciwpromiennego zaparowały od oddechu. Ból żołądka był wciąż obecny, mimo podwójnej dawki tabletek przeciwbólowych, które połknął w biurze. Jednak ból się nie liczył. Najważniejsze, że Rudnick znów był w akcji. Ogórek nie musiał go długo przekonywać, chociaż czołganie się kanałem wentylacyjnym nie należało do przyjemności. Może po prostu chciał zakończyć sprawę bez robienia zbędnego rozgłosu, a może wierzył, że ten gnojek Snyder rzeczywiście zamierza wysadzić reaktor. Rudnickowi było wszystko jedno, co kierowało jego zwierchnikiem. Cieszył się, że znów może działać. Poczul, że żyje!

Czołgał się straszliwie powoli. Wszedł do kanału wentylacyjnego z kotłowni przylegającej do tunelu. Według planu miał do przejścia trzy proste odcinki i trzy zakręty, aby dotrzeć do głównego szybu, prowadzącego na poziom komory przeładunkowej. Trzeci zakręt był tuż przed nim. Rudnick miał nadzieję, że człowiek z obsługi technicznej nie mylił się, mówiąc o drabince w głównym szybie. Prędeż by umarł, niż wspiał się po pionowej rurze, w dodatku w tym cholernym kombinezonie. Gruba, pokryta ołowiem tkanina powodowała, że mężczyzna pocił się jak mysz kościelna. Dwukrotnie o mało nie stracił przytomności.

Dotarł do ostatniego zakrętu i precyzyjnie się ostrożnie, uważając na ostre jak brzytwa krawędzie metalu w miejscu, gdzie rury łączyły się ze sobą. Gdyby rozerwał kombinezon, a potem wszedł do skażonego pomieszczenia, mógł od razu pożegnać się z życiem.

Pięć minut później, czując ból w mięśniach i z trudem łapiąc oddech, Rudnick dotarł do końca kanału i znalazł się na dnie szybu. Zatrzymał się na chwilę, żeby odpocząć. Pot

oblepiał wnętrze kombinezonu i zalewał oczy, utrudniając patrzenie. Wydawało mu się, że ktoś nieustannie wali go po głowie olbrzymim młotem. Dłoń i żołądek pały potwornie. Rany boskie! Nie mógł tego znieść. Wyciągnął zdrową rękę i dosięgnął szczebla drabinki. Odetchnął z ulgą, kiedy palce zacisnęły się na półokrągłym szczeblu. Przecisnął się z tunelu do szybu i zaczął wspinać, a przywiązany do jego nogi niewielki rewolwer pobrzękiwał głucho przy każdym kroku.

Kane siedział przy krótszej krawędzi stołu konferencyjnego w administracyjnej części posiadłości gubernatora. Sweet jakimś cudem zdołała znaleźć mu garnitur, który w miarę pasował. Kane przebrał się w łazience urzędu. Przynajmniej nie musiał czuć się zakłopotany, występując w pomiętym i poplamionym krwią ubraniu, w którym uciekł ze szpitala. Mimo to czuł się nieswojo w towarzystwie tylu ważnych osobistości. Do tego uczucia dokładało się przekonanie, że zamach na jego życie musiał zostać zaplanowany w kręgach wysoko postawionych osób. Kiedy przedstawiano go pozostałym uczestnikom spotkania roboczego, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że co najmniej jeden z nich musiał być - przynajmniej pośrednio - powiązany ze spiskiem, którego powodzenie zależało od śmierci Kane'a, Daly i Hallerana.

Od samego początku wykluczył Crawforda, brzuchatego pułkownika sił powietrznych siedzącego po jego lewej stronie. Jak twierdziła gubernator Cullen, Crawford został ściągnięty z bazy powietrznej w Merton, aby nadzorować rekonesans. Kane wykluczył też doktora Sloane'a Wilsona, siwowłosego dyrektora zachodniego oddziału Awaryjnego Centrum Planowania. Wiedział, że Wilson otrzymał posadę dyrektora Centrum, kiedy przestał wykładać na Uniwersytecie Stanu Waszyngton, gdzie był emerytowanym profesorem ochrony środowiska. Typowy naukowiec w okularach w rogowej oprawie i pomiętym szarym garniturze.

Kane rozejrzał się ponad stołem. Manfredi. Może to on? Z całą pewnością było to możliwe. Ten człowiek o lisiej twarzy, przewodniczący rady nadzorczej Zakładu Energetyki w Bonneville z pewnością piastował swoje stanowisko wystarczająco długo, aby mieć rozeznanie w sytuacji kanadyjskich tam. Albo taki Hammond, siedzący naprzeciwko Wilsona i Manfrediego. Generał Curtis D. Hammond, barczysty i muskularny, był regionalnym dowódcą korpusu inżynierskiego. Korpus, wraz z Instytutem Jakości, był bezpośrednio odpowiedzialny za wstępne prace nad niemal każdą ważniejszą zaporą w Stanach Zjednoczonych; miał też swój udział w budowie tam na Kolumbii. Jeśli ktokolwiek wiedział o zagrożeniu powodziowym, musiał to być Hammond. Ale to wydawało się niedorzeczne. Jeśli Hammond był zamieszany w tę aferę, Instytut Jakości również musiał mieć w niej udział - Bóg jeden wie, ilu ludzi w Waszyngtonie musiałyby być wtajemniczonych. Równie dobrze można by założyć, że i Gloria Cullen została wciągnięta do spisku.

Z całą pewnością nadawałaby się do tego. W ciągu niecałych dziesięciu lat awansowała z burmistrza Spokane na senatora stanowego, potem na gubernatora. Krążyła nawet plotka, że pięćdziesięcioczeroletnia urzędniczka zamierzała w najbliższych wyborach kandydować na prezydenta. Nikt nie robi kariery w tak błyskawicznym tempie, jeśli w przeszłości nie miał podejrzanych koneksji i nie przysłużył się komu trzeba. To wszystko zaczyna być absurdalne. pomyślał Kane. Miał przecież ważniejsze rzeczy na głowie. Na przykład perspektywę zniknięcia kilku stanów z mapy Ameryki.

Popatrzył ponad stołem na Cullen. Kończyła właśnie prowadzoną szeptem rozmowę z Eleanor Sweet, która siedziała na krześle za jej plecami. Kobiety wyglądały jak siostry. Każda z osób siedzących przy stole przedstawiła wcześniej swój pogląd na sprawę i teraz czekali na wypowiedź pani gubernator.

Cullen pokiwała głową do Sweet i z powrotem skupiła uwagę na zebranych. Jej normalnie sympatyczna twarz była zmarszczona od niepokoju. Kiedy się odezwała, głos miała napięty i gardłowy.

- Proszę państwa - zaczęła, kładąc dłonie przed sobą na stole. - Pani Sweet właśnie poinformowała mnie, że fala powodziowa znajduje się w odległości siedemdziesięciu pięciu kilometrów od Grand Coulee. Mamy mało czasu na przygotowania, nie zdążymy już zająć się dochodzeniem przyczyn katastrofy. Pan Manfredi zapewnił nas, że zaporą w Grand Coulee wytrzyma i że w najgorszym razie dojdzie do zalania pomocnej części stanu. Jednak pan Kane nie zgodził się z jego opinią i powiem szczerze, że użył przekonujących argumentów. Nie kwestionując słów pana Manfrediego, muszę niestety przyznać, że moim zdaniem tama w Grand Coulee zawali się.

Cullen popatrzyła na Sloane'a Wilsona siedzącego po przeciwnej stronie stołu.

- Doktorze, proponuję, aby pan jak najprędzej przygotował plan ewakuacji miasta. Na podstawie danych przedstawionych przez pana Kane'a nie sądzę, abyśmy w tej chwili musieli martwić się o Portland, jednak omówimy możliwość ewakuacji, kiedy spotkam się z gubernatorem Blakiem. Gubernator zaproponował, abyśmy przenieśli nasze stanowisko dowodzenia do Awaryjnego Centrum Planowania w Portland. Jeśli nikt nie ma nic przeciwko temu, chciałabym, abyśmy przystali na tę propozycję. - Siedzący przy stole pokiwali głowami ze zrozumieniem. Centrum w Portland było wyposażone w kompletny system łączności awaryjnej i własne źródło prądu, jak również wiele innych przydatnych urządzeń, takich jak bezpośrednie połączenie telekomunikacyjne z satelitą.

Cullen nalała sobie szklankę wody ze stojącej przed nią karafki i wypijała. Po chwili ciągnęła dalej.

- Myślę, że wszyscy jesteśmy zgodni co do tego, że w przypadku zawalenia się tamy w Grand Coulee naszym głównym priorytetem będzie bezpieczeństwo bazy atomowej w Richland. Zdajecie sobie państwo sprawę z trudnej sytuacji, w jakiej obecnie znajduje się reaktor. Moja asystentka poinformuje administratora bazy w Richland o możliwej powodzi. Proszę, aby pan Kane jako inżynier mający rozeznanie w parametrach bazy pokierował tamtejszą operacją. Rozumiem, że pułkownik Crawford może zapewnić transport.

Crawford przytaknął.

- Przyleciałem jednym z naszych F-111 - powiedział. - Wziąłem naszego najlepszego pilota. Jeśli na dziedzińcu nadal stoi helikopter, mogę dostarczyć pana Kane'a do samolotu w ciągu piętnastu minut. Jeśli tylko zamkniemy część autostrady w Richland, nie powinno być problemów z lądowaniem. Maszyna potrzebuje przeszło kilometra na wyhamowanie.

- Doskonale - powiedziała Gloria Cullen, wstając. - Jeśli to już wszystko, proponuję przystąpić do akcji. - Skłoniła głowę i odsunęła krzesło. Wyszła z sali razem ze Sweet. Posiedzenie robocze dobiegło końca.

Podążając do drzwi z pułkownikiem Crawfordem, Kane otarł się o generała Hammonda, rozmawiającego z Manfredim. Kiedy przechodził obok, jego wzrok na krótką

chwilę napotkał wzrok generała. Kane poczuł dreszcz przechodzący mu po kręgosłupie. Jako młody chłopak oglądał kiedyś w magazynie przyrodniczym reportaż o „ptaku-rzeźniku”. Jedno ze zdjęć przedstawiało jego spizarnię: żywe ofiary były ponadziewane na ostre jak igła gałązki kolczastych krzewów. Oczy ptaka były chłodne i pozbawione życia. Były to oczy mordercy. Takie same jak oczy generała Hammonda.

Generał odsunął się i Kane przeszedł obok. Serce biło mu coraz mocniej; czuł, jak narasta w nim panika. Idąc za Crawfordem i usiłując zapomnieć lodowate spojrzenie generała, Kane z całego serca żałował, że zostawił Chuck samą w motelu.

Charlene Daly wyszła z motelu niespełna dziesięć minut przed tym, jak dwóch nie-dbale ubranych mężczyzn pojawiło się na końcu ulicy. Rozdzielili się na skrzyżowaniu i zaczęli iść po obu stronach jezdni w stronę motelu. Mężczyzna idący po stronie przeciwnej do nieoznakowanego policyjnego samochodu wyraźnie utykał. Kiedy zbliżył się do motelu, policjant odwrócił wzrok od tygodnika i zaczął śledzić jego ruchy. Zdezorientowany, zauważył drugiego z mężczyzn, kiedy już było za późno. Tamten gwałtownie otworzył drzwiczki pasażera, sięgnął za połę marynarki i wyciągnął pneumatyczny pistolet z tłumikiem. Kiedy strażnik odwrócił się na dźwięk otwieranych drzwi, intruz strzelił do niego czterokrotnie. Kule wbiły się ze stukiem w pierś, szyję i czaszkę. Człowiek po drugiej stronie ulicy natychmiast przestał kuleć, podszedł do samochodu, otworzył drzwi kierowcy i wsiadł, przesuwając zwłoki na środek siedzenia. Drugi mężczyzna schował pistolet i wsiadł do samochodu. Usadowił się obok nieboszczyka, przytrzymał go, żeby siedział prosto, i odjechali.

Trzydzieści sekund po tym, jak samochód zniknął za rogami, zjawił się inny pojazd, jadący w przeciwnym kierunku. Dotarłszy do motelu, zwolnił i zjechał na parking. Zatrzymał się obok pokoju zajmowanego dotąd przez Chucka. Trzech mężczyzn, ubranych w prawie identyczne ciemne garnitury, wysiadło z samochodu i podeszło do drzwi. Jeden z nich zastukał i odczekał trochę. Po dłuższej chwili spróbował wyważyć drzwi. Ustąpiły natychmiast i wszyscy trzej weszli do środka. Wyszli prawie natychmiast, wsiadli do samochodu i odjechali.

Helikopter policji stanowej, wiozący Kane'a i Crawforda z posiadłości gubernatora, przemknął z hukiem nad ogrodzeniem lotniska w Olympii i wylądował niecałe siedem metrów od czarnego jak noc F-111, pilotowanego przez Dzikiego Billa Canterrę. Samolot wyglądał obrzydliwie, jak synteza wszystkich lęków Kane'a dotyczących latania. Siedział na płycie lotniska niczym przyczajona jaszczurka z koszmarnego snu. Od smukłego dzioba po ostry jak brzytwa ogon miał dwadzieścia pięć metrów długości. Skrzydła były w pełni rozłożone do startu, lecz w powietrzu miały zostać częściowo schowane we wnętrzu masywnego kadłuba, niemal dotykając końcami bliźniaczych, trójkątnych stateczników przytwierdzonych do olbrzymich silników marki Pratt&Whitney.

Kiedy Kane wysiadł sztywnym krokiem z helikoptera, ciemnowłosa mężczyzna w pomiętym, czarnym kombinezonie przeciwprzeciążeniowym wysunął się z otwartego kokpitu i zszedł na dół po drabince przystawionej do kadłuba samolotu. Kane skulił się, kiedy śmigło helikoptera zaczęło się znów obracać i maszyna oderwała się od ziemi, unosząc Crawforda z powrotem do rezydencji gubernatora. Mężczyzna w kombinezo-

nie przeciwp przeciężeniowym ruszył przed siebie, wyciągając dłoń w czarnej rękawicy. Kane już się spodziewał, że pilot będzie miał jak zwykle ciemną skórę. Nie miał. Okazało się, że jego twarz była blada prawie jak papier, a duże oczy miały szary kolor.

- Pan Kane? - odezwał się pilot z łagodnym, południowym akcentem. Kane skinął głową i podał mu rękę. Uścisk był mocny mimo grubej skóry rękawicy.

- Zgadza się - powiedział Kane.

Pilot uśmiechnął się.

- Nazywam się Bill Canterra. Dla przyjaciół Dzikie Bill.

- Doprawdy? - odparł Kane cicho, zastanawiając się, czy ten przydomek odzwierciedla styl życia pilota, czy też jego styl latania.

- Mam dla pana kombinezon przeciwp przeciężeniowy - powiedział Canterra z uśmiechem.

- Och, doskonale - stwierdził Kane. Przełknął ślinę i poszedł za Canterra do samolotu.

Rozdział 12

4 lipca

12.00 czasu zachodnioamerykańskiego

15.00 czasu wschodnioamerykańskiego

S truzka potu ciekła po czole i policzku doktora Kellermana. Otarł ją, nie odrywając wzroku od monitora w pomieszczeniu strażników. Siedzący obok niego Haberman manipulował przełącznikiem zbliżenia, usiłując skierować kamerę na wylot szybu wentylacyjnego. Jak dotąd nie było widać ani śladu Rudnicka.

- Ile już minęło? - zapytał krótko Kellerman.

Haberman popatrzył na zegar umieszczony nad monitorami.

- Jest już w kanale wentylacyjnym od dwudziestu pięciu minut. Lada moment powinien wyjść, sir. - Kellerman przesunął wzrok na monitor pokazujący wnętrze pomieszczenia kontrolnego. Snyder nadal stał przy wyjściu awaryjnym, a pozostałych dwoje siedziało obok rzędu komputerów. Kellerman spojrzął na drugi ekran. Nadal nic. Gdzie się podział Rudnick?

Telefon z biura gubernatora wstrząsnął naczelnikiem administracyjnym do głębi. Miał już na głowie dość zmartwień, lecz zajęcie reaktora przez terrorystów wydawało się niczym wobec mogącej nadejść powodzi, jaką opisała asystentka gubernatora. Rudnickowi musi się udać. Kwas, który przeżarł przewody w tunelu, spowodował ich zwarcie, którego nie dało się naprawić, przez co zamknięcie reaktora z awaryjnej sterowni było niemożliwe. Oczywiście wyobraźni Kellerman znów zobaczył dymiące szczątki Peenemunde. Wiedział, że tutaj sytuacja może być milion razy gorsza. Jeśli reaktor nie zostanie zatrzymany, a rdzenie usunięte, wówczas chłodzący sól będzie musiał przez cały czas krążyć, aby nie dopuścić do przegrzania reaktora. Myśl o tym, że któryś z tych elementów zostanie zalany przez falę powodziową, była po prostu zbyt przerażająca, aby

dopuszczać ją do świadomości. Sód, zwłaszcza w postaci przegrzanej cieczy, w połączeniu z wodą staje się silnym materiałem wybuchowym. W każdej chwili przez reaktor przepływały setki ton sodu. Eksplozja dosłownie rozsadziłaby pokryte cyrkonem ściany komory reaktora. Kiedy cyrkon zmieszałby się z wodą i sodem, zaszłyby reakcje chemiczne, które spowodowałyby drugą, być może jeszcze silniejszą eksplozję, gdyż towarzyszyłoby im błyskawiczne uwolnienie ogromnych ilości wodoru. Nie byłaby to eksplozja nuklearna, lecz miałyby podobną postać - podobnej do grzyba, śmiertelnej chmury radioaktywnych pyłów.

Asystentka gubernatora wyjaśniła, że jeśli zapora w Grand Coulee zawali się, fala powodziowa dotrze do bazy w Richland najdalej za dwie, trzy godziny. Nawet jeśli Rudnickowi uda się odzyskać kontrolę nad reaktorem, zostanie niewiele czasu na przeprowadzenie całej operacji.

- Jest! - krzyknął Haberman, wskazując na ekran i wytrzeszczając i tak już wyłupiające oczy. Kellerman podniósł wzrok i dostrzegł jakiś ruch za kratką wentylacyjną. Prostując się nerwowo na krześle, patrzył, jak kratka podnosi się i opada, kiedy Rudnick próbuje wygramolić się z szybu.

- *Schnell, schnell!* - mamrotał Kellerman. Zobaczył na ekranie, jak Rudnick rozwiązuje sznur i bierze do ręki rewolwer.

Cała ta scena wydawała mu się nierealna. Przy odrobinie dobrej woli Kellerman mógłby sobie wyobrazić, że to wszystko dzieje się w jakimś serialu telewizyjnym. Lecz odbywało się naprawdę, zaledwie kilkaset metrów stąd.

Haberman nacisnął przycisk zbliżenia, kiedy Rudnick w swoim kombinezonie przeciwpromiennym włókł się niezdarnie w stronę komory próżniowej. Kellerman zmarszczył czoło. Ruchy strażnika były powolne i ospałe. Mimo grubego kombinezonu, widać było jego zmęczenie. Kellerman patrzył, jak Rudnick siłuje się z ciężkim kołem zamka. Wreszcie otworzył drzwi i wszedł do komory, znikając z ekranu.

Kellerman spojrzął na drugi monitor. Snyder nawet się nie poruszył; nadal stał przy wyjściu awaryjnym, tyłem do drzwi komory próżniowej. Strzelbę z obciążoną lufą wciąż trzymał pod pachą. Kellerman zerknął przelotnie na zegar.

- On już siedzi w komorze od przeszło dwóch minut - szepnęła Haberman.
- Co tam robi tak długo? - powiedział Kellerman, bardziej do siebie niż do Habermana. - Otwarcie drzwi do pomieszczenia kontrolnego nie powinno mu zająć więcej niż kilkadziesiąt sekund.

W serialu telewizyjnym ta scena zostałaby pokazana w zwolnionym tempie. W rzeczywistości trwała zaledwie ułamek sekundy. Snyder zaczął biec, widać było, jak porusza ustami, krzycząc coś do pozostałych. W tej samej chwili drzwi komory próżniowej otworzyły się gwałtownie. Kellermanowi mignęła przed oczami odziana w biały kombinezon sylwetka Rudnicka, wpadającego do centrum kontroli z wysoko uniesionym rewolwerem. Snyder odwrócił się w biegu, podnosząc broń. Obaj mężczyźni strzelili jednocześnie. Snyder padł na ziemię, a Rudnick oparł się o wskaźniki i przyciski konsoli kontrolnej. Cofając się, strzelił po raz drugi. Monitor w pokoju strażników zaświecił na biało, potem zgasł.

Haberman w panice manipulował przełącznikami, lecz trzymał się zbyt mocno. Drugi pocisk z rewolweru Rudnicka doszczętnie zniszczył kamerę.

Nastąpiła pauza, w trakcie której Haberman i Kellerman wstrzymali oddech. Potem w głośniku rozległ się trzask. Kellerman zamknął oczy, modląc się, żeby usłyszeć głos Rudnicka. Nie usłyszał.

- To było naprawdę głupie - powiedział Snyder, z wściekłością cedząc słowa. - Naprawdę bardzo, bardzo głupie. Wasz człowiek w tym śmiesznym kombinezonie oberwał w ramię, gdybyście chcieli wiedzieć. Jeszcze żyje, ale przestanie, jeśli będziecie dalej się wygłupiać. Pamiętaj, Kellerman, mam teraz troje zakładników, a jeden z nich to twój człowiek. Dosyć gadania, dosyć pieprzenia bzdur. - Rozległ się ogłuszający trzask, kiedy Snyder strzelił do głośnika wiszącego na ścianie w pomieszczeniu kontrolnym. Potem zaległa cisza.

- Boże drogi! - szepnął Kellerman, odwracając pobladłą twarz do Habermana. - I co teraz będzie?

Wielki Bob Taggart wyglądał przez podłużne okno kawiarni Green Valley, potrząsając głową z niedowierzaniem. Przez ponad czterdzieści lat, które spędził w Grand Coulee, nie widział jeszcze czegoś takiego. Całe to cholerne miasto było puste, łącznie z kawiarnią.

- Tchórze - mruknął. Jego donośny, zachrypnięty od piwa głos odbił się echem od ścian opustoszałego lokalu. Pociągnął łyk chłodnej już kawy, którą nalał sobie z ekspresu przy barze, i spoglądał na olbrzymią budowlę, przy której pracował niemal przez całe życie. Z miejsca, gdzie siedział, widać było prawie całą zaporę.

Była szeroka na tysiąc trzysta metrów, wysoka na sto osiemdziesiąt. U podstawy, skrytej pod wciąż jeszcze spokojnymi wodami Kolumbii, miała ponad sto pięćdziesiąt metrów grubości; przy wierzchołku zwężała się do dziesięciu metrów. Budowla została wzniesiona ze zbrojonego żelaznymi prętami betonu, wmurowanego głęboko w podłoże ze skał wulkanicznych. Żadna siła nie jest w stanie ruszyć Grand Coulee, pomyślał Taggart. Nie ma mowy.

- Nikt nie zapytał mnie, czy zapora wytrzyma - powiedział z oburzeniem.

Pracował przy Grand Coulee od samego początku, czyli od 1933 roku, wraz z tysiącem wygłodniałych ludzi, chcących zbudować tę monumentalną konstrukcję, dumę Franklina Delano Roosevelta. Miał siedemnaście lat, kiedy się zatrudnił jako robotnik w mieszalni betonu. Zanim ukończono tamę w roku 1942, zdołał poznać każdy jej element, został też awansowany na brygadzystę. Przez następnych kilka lat walczył na Pacyfiku, potem wrócił. Od tamtej pory mieszkał tu przez cały czas, powoli pnąc się w górę, aż został mianowany kierownikiem zapory. Znał tajemnice Grand Coulee równie dobrze, jak własne sekrety, które skrywał pod pooraną zmarszczkami twarzą. Grand Coulee miałyby się zawalić? To było po prostu niedorzeczne. Żadna powódź w Kanadzie nie była w stanie nawet poruszyć staruszką. Jeśli wszyscy mieszkańcy chcieli wierzyć w to, co im powiedziała jakaś wymuskana urzędniczka z Olympii, to ich sprawa. On wołał zostać. Po mnie choćby potop, pomyślał. Zaśmiał się z własnego dowcipu.

- Po mnie choćby potop - powiedział głośno, delektując się tą myślą. Dopił kawę, wyciągnął się na krześle i czekał.

Trzy kilometry w górę rzeki fala napierała na ściany wąskiego bazaltowego kanionu, aż wzniosła się sto metrów ponad normalny poziom wód. Następnie ruszyła w stronę Grand Coulee z prędkością stu dziesięciu kilometrów na godzinę.

Taggart poczuł nadchodzącą falę na długo przed tym, jak ją zobaczył. Rozpędzona masa wody wprawiła całe dno kanionu w potężną wibrację. W kawiarni za barem zaczęły dzwonić talerze i sztućce, kiedy drżenie narastało. Po chwili trząśnięcie już cały kontuar, przewracając stojące na nim podstawki do serwetek. Taggart zmarszczył czoło, zdezorientowany, kiedy ziemia pod jego stopami zaczęła się poruszać. Miała być powódź, a nie trzęsienie ziemi, do cholery! Wstał, nie bardzo wiedząc, co ma zrobić. Jeszcze raz popatrzył na zaporę i wtedy zrozumiał.

Kiedy olbrzymia masa wody wypadła zza zakrętu kanionu, nie była widoczna w całości. Jej energia koncentrowała się przy dnie jeziora, po którym mknął w stronę tamy niewidzialny strumień. Właśnie ta niewidzialna siła uderzyła jako pierwsza. Kanał spustowy długości ponad pół kilometra zawałił się pod naporem wody, wydobywającej się u podstawy tamy, a niosącej ze sobą strzępy roztrzaskanej śluzi; woda z kanału zalała położone w dole generatory prądu.

Taggart wstał, otwierając usta z niedowierzaniem. Na jego roboczych spodniach wyrosła ciemna plama, kiedy w pełni zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje.

Wówczas główne czoło fali uderzyło w zaporę, która niczym gigantyczny falochron powstrzymała napór wody; fala tymczasem wznosiła się coraz wyżej, aż przewyższyła szczyt tamy o dwieście dwadzieścia metrów, kompletnie zasłaniając widok z kawiarni, w której siedział Taggart. Mężczyzna, wpatrując się w falę wytrzeszczonymi oczami, miał wrażenie, że woda zawisła na chwilę w powietrzu, osiągnąwszy maksymalną wysokość, i trwała nieruchomo, niczym olbrzymia teatralna dekoracja. Następnie runęła w dół.

Dziesięć milionów ton wody spadło na miasto Grand Coulee grzmącą lawiną, która całkowicie zagłuszyła samotny, przerażony krzyk Taggarta. Dach motelu i kawiarni został wbity w ziemię, niczym przygnieciony dłonią olbrzyma. Taggart zginął. Jego ciało pękło jak przejrzały owoc, przygniecionie najpierw konstrukcją dachu, a chwilę potem masą wody, która na nią spadała.

Przypory przytwardzające tamę do obu stron kanionu zaczęły pękać. Trzydzieści sekund po pierwszym uderzeniu prawy i lewy kraniec zapory oderwały się od bazaltowego podłoża, w którym były osadzone przez ponad czterdzieści lat. Powolnym, majestatycznym ruchem obie boczne części, każda z nich szeroka na trzysta metrów, obróciły się i upadły, ginąc wśród spienionych wód powodzi. Największa przeszkoda stojąca na drodze fali do Pacyfiku została pokonana. Zapora w Grand Coulee przestała istnieć.

Jedynym pocieszeniem jest, pomyślał Kane, że z tej wysokości wszystko wydaje się nierealne, wygląda jak narysowane na mapie. Spoglądał na odległą o dwadzieścia kilometrów ziemię zza półokrągłej przezroczystej kopuły przykrywającej kokpit F-111. Pola uprawne i równinne stopy południowo-wschodniego Waszyngtonu stapiały się w żółto-zielone plamy, przeplatane tu i ówdzie lśniącymi niebieskimi wstęgami. Jedynym rozpoznawalnym elementem krajobrazu była pomarszczona powierzchnia Gór Kaskadowych i kręta linia rzeki Kolumbia. Daleko przed sobą Kane widział zaokrąglony horyzont. Wydawało mu się dziwne, że czuje się aż tak dobrze. Prawie wcale nie odczuwał strachu. Nacisnął przycisk na szyi źle dopasowanego kombinezonu przeciwprzeciążeniowego i odwrócił głowę w stronę odzianego w hełm Canterry, siedzącego przed pulpitem wskaźników.

- Nie jest tak źle, jak się spodziewałem - wybełkotał Kane.

Canterra spojrział w jego stronę. Jego oczy śmiały się ponad maską tlenową, która zasłaniała mu dolną połowę twarzy. Włączył swój mikrofon i jego głos popłynął ze skrzeczącego głośnika hełmofonu Kane'a.

- Tutaj człowiek czuje, że żyje - powiedział wesoło pilot. - Poza tym proszę nie zapominać, że oddycha pan prawie czystym tlenem - dodał. - To może działać rozweselająco, jeśli się nie jest przyzwyczajonym.

- Ach tak? - odparł Kane, nieco rozczarowany. Był już pewien, że wreszcie pozbył się lęku przed lataniem.

- Boi się pan wysokości? - spytał Canterra. - Nie pojmuję tego. Dostaję zawrotów głowy, kiedy za długo siedzę na ziemi. Słowo daję, poleciałbym jeszcze wyżej, gdybym tylko mógł. Myślałem nawet, żeby zostać kosmonautą, ale tam wszystkim steruje automat. To odbiera całą przyjemność. Wie pan, lubię się czasem powygłupiać. - Poruszył delikatnie wolantem i samolot wykonał beczkę, lecąc z prędkością prawie półtora tysiąca kilometrów na godzinę. Kane zamknął oczy.

- Och, proszę mi wybaczyć - powiedział Canterra.

Po chwili Kane otworzył powieki. Przed sobą widział masywne sylwetki kanadyjskich Gór Skalistych. Zastanawiał się, jak daleko jest Grand Coulee. Jeszcze raz popatrzył w dół, ale nie mógł rozpoznać żadnych detali.

- Jak daleko jeszcze? - zapytał.

Canterra popatrzył na lśniącą tablicę wskaźników.

- Cóż - mruknął. - Za jakąś minutę powinniśmy być nad Idaho.

- Idaho? - spytał Kane, marszcząc czoło wystające znad maski tlenowej.

- No pewnie - odparł Canterra, najwyraźniej zaskoczony. - Ta maszyna nie potrafiarabować, że tak powiem, ciasnych zakrętów. Nie na tej wysokości, i nie przy złożonych skrzydłach. Pomyślałem, że zahaczmy o krainę ziemniaków, żeby zacząć nurkować. Gdybyśmy minęli tamę na tej wysokości, nic by pan nie zobaczył. - Po kilku sekundach Canterra jeszcze raz sprawdził wskazania przyrządów i pokiwał głową. - Okay. To już tutaj. Będę schodził powoli, żeby pan nie zwrócił śniadania. Zaczynamy.

Kane złapał się kurczowo poręczy fotela, kiedy Canterra zaczął popychać wolant do przodu, jednocześnie kierując go nieznacznie w bok, wprowadzając samolot w lot nurkowy. Drugą ręką przymknął przepustnice, których dźwignie znajdowały się pomiędzy fotelami, aby zmniejszyć prędkość. Kiedy już mknęli w kierunku ziemi, pilot włączył mechanizm rozkładania skrzydeł.

Przelecieli szerokim łukiem ponad brzegiem błękitnego jeziora Coeur D'Alene w Idaho i spadali coraz niżej. Samolot, już z rozłożonymi skrzydłami, przeleciał nad miastem Spokane na wysokości pięciu i pół kilometra, z prędkością ponad dziewięćset kilometrów na godzinę.

- Pewnie wybiliśmy trochę okien - powiedział Canterra, kiedy minęli miasto i skręcili na zachód. Kane był zbyt przerażony, by patrzeć w dół. Siedział w fotelu jak skamieniały. Na wysokości pięciu kilometrów mógł sobie jeszcze wyobrazić, że śni. Przy trzech kilometrach wszystko zaczęło się wydawać całkiem rzeczywiste.

Nurkowali coraz niżej, lecąc wzdłuż rzeki Spokane. Kane zaciskał zęby, skupiając wzrok na obracającej się w zawrotnym tempie wskazówce wysokościomierza. Kątem oka widział dłonie Canterry, pewnym uściskiem trzymające drążek sterowy.

- Tysiąc pięćset metrów! - krzyknął Canterra. Wyciągnął w górę kciuk. - Widać Kolumbię! - Nastąpiła długa pauza, po czym z głośnika znów dobiegł głos pilota. - Niech mnie wszyscy diabli!

Kane zebrał w sobie resztki odwagi i popatrzył w dół ponad czarną krawędzią skrzydła. To, co zobaczył, było wizją rodem z Apokalipsy.

Wezbrana woda, żółta od mułu i szlamu, niosła na powierzchni oszalałymi ilością szczątków, które lśniły w słońcu. Ciała, setki ciał, poszarpanych i porozrywanych, zniszczone konstrukcje domów, pomostów, łodzi wszelkich rozmiarów, wszystko to spływało z ogromną prędkością wraz z szalejącym prądem rzeki.

Canterra zwołnił myśliwcem bombardującym prawie do prędkości przeciągnięcia. Ogłuszający huk silników odrzutowych odbijał się echem od bazaltowych klifów po obu stronach kanionu. Pilot przesunął wolant, pokonując ostatni zakręt dzielący ich od zapory, którą nazywano ósmym cudem świata.

Lecz przybyli za późno. Fala dotarła tam przed nimi.

Zanim Kane i Canterra przelecieli nad tamą, nie pozostało już nic, co by wskazywało, że rzeka była kiedykolwiek spiętrzona w pradawnym kanionie. Woda płynęła bez przeszkód, a jej poziom był o ponad trzydzieści metrów wyższy od normalnego.

- Chce pan, żebyśmy tamtędy przelecieli jeszcze raz? - spytał Canterra, kiedy wznosili się znad miejsca, gdzie stała zapora.

Kane w milczeniu pokręcił głową. Jego umysł wciąż nie mógł pogodzić się z myślą o sile, która była w stanie zniszczyć taką tamę jak Grand Coulee. Wreszcie odezwał się. Jego głos był ledwie słyszalny w hełmofonie Canterry.

- Nie - powiedział. - Nie ma sensu. Proszę mnie zawieźć do Richland najprędzej jak to możliwe.

Wysoki, konserwatywnie ubrany, ciemnoskóry mężczyzna stał na tarasie lotniska międzynarodowego w Portland i patrzył, jak liniowy samolot Western Airlines z Olympii obniża lot nad wodami Kolumbii i ląduje na jednym z pasów startowych przecinających błotnistą równinę, na której położone było lotnisko.

Parę chwil potem zauważył kobietę odpowiadającą opisowi przedstawionemu przez zespół z Olympii, wysiadającą z samolotu i wchodzącą do wąskiego tunelu. Sprawdził jeszcze raz rysopis. Niewysoka, rude włosy, ciemna skórzana kurtka, torba na ramieniu. Zadowolony, że ją rozpoznał, opuścił taras widokowy i poszedł do jednej z budek telefonicznych stojących w głównym holu.

Telefon został odebrany po pierwszym dzwonku.

- Tak? - odezwał się głos w słuchawce.

- Tutaj Bonner - powiedział ciemnoskóry mężczyzna. - Ona jest w Portland. Ciemna kurtka, torba... niezła dupa. Co teraz?

- Śledźcie ją - powiedział głos. - Jeśli nadarzy się okazja, przechwyćcie. Hobbs jest z tobą?

- Tak - powiedział Bonner. - On i Lachlan. Lachlan jest na parking. Hobbs będzie ją śledził od hali przylotów.

- Nie powinniście mieć większych kłopotów, ale pamiętajcie, że to ona wykiwała Flexhauga, Haversa i Reida. Ma tupet.

- Rozumiem - powiedział Bonner. - Jak ją przechwycimy, to co wtedy?
- Zabierzcie ją do domu w Parkrose. Trzymajcie ją tam. Zadzwońcie do was. Później przeniesiemy ją do Seattle.
- Rozumiem - powiedział Bonner. - Coś jeszcze?
- Nie - odparł głos.

Bonner odwiesił słuchawkę i wyszedł z budki. Prawie natychmiast zauważył Charlene Daly. Jego kolega, Hobbs, szedł dziesięć metrów za nią.

Kiedy taksówka wyjechała z lotniska i skierowała się w stronę centrum miasta, Chuck uśmiechnęła się do siebie. Wszystko działało się tak szybko, i to jej się podobało. Wciąż bolało, że Jon zostawił ją samą. Rzucając się w wir pracy, mogła o tym szybciej zapomnieć. Rozmyślała o wydarzeniach ostatnich kilku godzin, zastanawiając się, czy nie postąpiła zbyt pochopnie. Kiedy uciekła z motelu, pojechała taksówką prosto na lotnisko. Pomyślała, żeby zadzwonić do swojego szefa w „Post Intelligencer”, ale ogłoszono jej lot i nie miała na to czasu. Uznała, że zdąży zadzwonić z lotniska w Portland. Do diabła z tym, powiedziała sobie. To będzie jej reportaż, wyłącznie jej. I tak nikt w redakcji by jej nie uwierzył.

Taksówka przeciskała się przez popołudniowy ruch na Union Avenue, wioząc Chuck na południe, przez dzielnicę biurowców. Chuck wiedziała, że jeśli teoria domku z kart sprawdzi się, Portland będzie miejscem najdotkliwszych zniszczeń, gdyż jest największym miastem w dorzeczu Kolumbii. Uznała, że warto będzie zacząć od Awaryjnego Centrum Planowania. Kontaktowała się już z Centrum w 1976 i 1977 roku podczas wielkiej suszy i wiedziała, że posiada ono oddziały terenowe w całym kraju, zabezpieczone na wypadek wszelkich zagrożeń. Sprawdziła adres Centrum w Portland jeszcze na lotnisku.

Taksówka w końcu zatrzymała się przed niewielkim, pięciopiętrowym budynkiem na Division Street, w którym mieściło się Awaryjne Centrum Planowania. Zapłaciła kierowcy i wysiadła, nie zauważając granatowego pontiaca, który zatrzymał się przy krawężniku. Wchodziła właśnie po schodach do głównego wejścia, kiedy zorientowała się, że ktoś wołają po nazwisku.

- Panna Daly?

Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z roześmianym, ciemnoskórym, siwiejącym mężczyzną w średnim wieku.

- Tak? - powiedziała, uśmiechając się również. Po chwili jej uśmiech zniknął. Nie możliwe, żeby ktokolwiek wiedział o jej przybyciu tutaj. Odwróciła się do ucieczki, lecz mężczyzna wyciągnął rękę i chwycił ją za łokieć. Zobaczyła drugiego mężczyznę idącego w jej stronę i zaczęła się szarpać, usiłując uwolnić z uścisku. Po chwili poczuła igłę wbijającą się w ciało i świat zawirował jej przed oczami.

Bonner i Hobbs znieśli ją ze schodów i wepchnęli na tylne siedzenie pontiaca.

Lachlan, siedzący za kierownicą, zawrócił i pojechał w stronę autostrady. Była godzina dwunasta pięćdziesiąt pięć.

Rozdział 13

4 lipca

13.00 czasu zachodnioamerykańskiego

16.00 czasu wschodnioamerykańskiego

Max Rudnick siedział na podłodze z wyciągniętymi nogami, oparty o obudowę komputera. Ręce miał boleśnie związane za plecami. Jego kombinezon przeciwpromienny leżał zmięty w drugim kącie pomieszczenia. Bateman i Paula St. George siedzieli na podłodze dwa metry dalej. Snyder wrócił na swoje stanowisko przy wyjściu awaryjnym. Położył rewolwer Rudnicka obok siebie na podłodze, a strzelbę trzymał w ręku.

Rudnick odzyskał przytomność zaledwie kilka minut temu i natychmiast poczuł ból. Jego ramię było strzaskane w miejscu, gdzie kula przeszła przez pokryty ołowiem kombinezon; okaleczona dłoń zdawała się obumierać, ściśnięta jego własnym paskiem. Zdał sobie sprawę, że boli go bok. Pamiętał niejasno, że Snyder go kopał. Kiedy zakaszał, poczuł w ustach metaliczny smak krwi. W żołądku miał ogień.

Był świadom tego, że jest bliski śmierci. Porzucony kombinezon przeciwpromienny stanowił tego jawny dowód. Z całą pewnością Rudnick otrzymał śmiertelną dawkę promieniowania od trzech osób znajdujących się w pomieszczeniu. Podłoga, po której stąpali, też bez wątpienia była napromieniowana.

Prawdę mówiąc, nie miał już żadnych szans.

Rozmyślał o tym, siedząc na podłodze, czując każdą część swojego zmęczonego ciała, płonąca bólem. Być może czuł się tak od dłuższego czasu, może już wtedy, gdy odszedł z policji. Być może jego życie skończyło się tamtej nocy w zaułku, a wszystko, co przyszło później, było tylko snem na jawie, koszmarem poprzedzającym śmierć.

Rozmyślał o promieniowaniu. Większość materiału składowanego w miejscu przecieku stanowił cez 137 - typowy odpad atomowy, niezbyt toksyczny, o okresie połowicznego rozpadu wynoszącym zaledwie trzydzieści lat. Lecz w zbiorniku znajdował się także inny materiał - jod 131, śmiertcionośny izotop, którego okres połowicznego rozpadu liczył się raczej w tysiącach niż dziesiątkach lat. Jod został wyprodukowany przez przypadek w jednym z eksperymentalnych reaktorów termojądrowych. Przepisy bezpieczeństwa zakazywały przechowywania w jednym miejscu większych ilości tak niebezpiecznego materiału, lecz Kellerman nie miał wielkiego wyboru, więc wszystko powędrowało na składowisko A.

Teraz Rudnick nosił to w sobie. Zzerało go od wewnątrz. Silne promieniowanie przenikało wszystkie tkanki i narządy, kawałek po kawałku. Pozostali troje powinni odczuć działanie izotopu jako pierwsi, ponieważ weszli z nim w bezpośredni kontakt. Rudnick mógł żyć jeszcze dzień, tydzień, może dwa tygodnie, lecz potem musiał umrzeć.

Popatrzył na stojącego naprzeciwko Snydera. Na jego szczupłej twarzy błyszczały już kropelki potu. Może to tylko zdenerwowanie, pomyślał Rudnick. A może facet już zaczyna się smażyć.

Rudnick roześmiał się szeroko.

- Hej, ty! - zawołał tubalnie, jakby nagle odzyskując siły.
Snyder podskoczył na dźwięk jego donośnego głosu i podniósł strzelbę.

- Nie zaczyna ci się czasem kręcić w głowie? - zapytał Rudnick, wpatrując się w niego.

- Co to, do cholery, ma znaczyć? - warknął Snyder, marszcząc czoło.
Rudnick roześmiał się. Jego śmiech zmienił się w spazmatyczny kaszel i jasnoczerwona krew trysnęła na koszulę.

- Nie zastanawiałeś się, dlaczego miałem to na sobie? - zapytał Rudnick, doszedłszy do siebie, wskazując na pomięty kombinezon przeciwpromienny.

- A co? - odparł Snyder sceptycznym tonem.
Kątem oka Rudnick dostrzegł, że dziewczyna i jej przyjaciel o twarzy dziecka przyglądają mu się z uwagą.

- To jest kombinezon przeciwpromienny - wyjaśnił spokojnie. - Nosimy je, aby uniknąć skażenia.

- I co z tego? - spytał niecierpliwie Snyder.
Rudnick znów się roześmiał, tym razem kontrolując się.

- Więc jak myślisz, głupku, po co ja go założyłem?

- Może myślałeś, że dziś jest Halloween. Skąd mogę wiedzieć? - wycedził jasnowłosa mężczyzna. - Powiedz wprost, o co ci chodzi.

- Chodzi o to, że każde z was jest chodzącym reaktorem. Zostaliście napromienieni. Niedawno zdarzył się bardzo groźny przeciek, a wy przeszliście dokładnie przez jego teren. Przeprowadziłem pomiary. Otrzymaliście dawkę co najmniej półtora tysiąca, a może dwa tysiące radów. Widać to po was. To, co masz na twarzy, to nie jest zwykła opalenizna.

- Bzdury gadasz! - powiedział Snyder.
Rudnick wrzucił ramionami, usiłując zignorować ból, który rozdzierał mu dłoń.

- Nie obchodzi mnie, w co wierzysz, Snyder. Tak się składa, że mówię prawdę. Na twoim miejscu modliłbym się, a nie czekał, aż Kellerman przyniesie diamenty. - Zamilkł, zaciskając zęby, żeby opanować ból żołądka. Rany, czyżby Snyder aż tak mocno go skopał? Ból na chwilę ustąpił i strażnik mówił dalej: - Nie wyjdziecie stąd inaczej, jak w pokrytej ołowiem trumnie.

Snyder podniósł strzelbę i przeladował ją z trzaskiem.

- Zamknij się! - krzyknął.
Rudnick uśmiechnął się.

- Przerażony? - zapytał z zaciekawieniem.
Snyder przymrużył oczy i ruszył w stronę Rudnicka, unosząc kolbę strzelby niczym pałkę.

- Zamknij się, do cholery! - zawołał. - Siedź cicho, bo ci łeb rozwalę!

- Dobrze już, dobrze! - odparł natychmiast Rudnick. Jeszcze nie był gotów. Chciał zdenerwować gnojka, ale nie za mocno. Jeszcze nie teraz.

- To rozumiem - powiedział Snyder, zatrzymując się. Chwycił strzelbę z właściwej strony i wrócił do wyjścia awaryjnego. Rudnick odczekał parę chwil i zaczął siłować się z paskiem krępującym mu dłoń. Pogodził się już z tym, że umrze na chorobę popromienną, ale przedtem chciał mieć satysfakcję, że poradził sobie ze Snyderem.

Charlene Daly otworzyła oczy i zorientowała się, że patrzy na żółty odrapany sufit. Przez jej pole widzenia biegła rysa, której brzegi były splamione wilgocią.

Powoli, w miarę jak narkotyk przestawał działać, zaczynała odzyskiwać pamięć. Lot do Portland, jazda taksówką, wchodzenie po schodach do głównego wejścia, uśmiechnięta twarz Murzyna. Wraz ze wspomnieniami pojawił się strach. To byli tacy sami ludzie jak ci, którzy próbowali ją zabić na autostradzie, i nie było powodu, aby przypuszczać, że są mniej brutalni od swoich kolegów. Z wyjątkiem faktu, że nie zabili jej od razu. Samo to było przerażające. Na co oni czekali?

Usiadła energicznie i przerzuciła nogi przez krawędź łóżka. Pokój był prawie w ogóle nieumeblowany, jeśli nie liczyć żelaznego łóżka, na którym siedziała, niemalowanej komody i niebieskiego krzesła kuchennego. Ściany były tak samo żółte i wyblakłe jak sufit, a na podłodze leżało wytarte linoleum. Małe okienko na przeciwległej ścianie zostało zabite krzywą, prostokątną deską. Jedyne oświetlenie stanowiła lampka z abażurem stojąca na komodzie. Porysowane drewniane drzwi naprzeciwko niej były zamknięte.

Narkotyk pozostawił koszmarny ból i zawroty głowy. Dziewczyna wstała, jęknęła i natchmiasz usiadła.

Popatrzyła na swój nadgarstek. Nie było na nim zegarka, nie miała więc najmniejszego pojęcia, jak długo leżała nieprzytomna.

Wstała znowu, usiłując zignorować dudnienie pod czaszką. Tym razem udało jej się dojść do drzwi. Nacisnęła na klamkę. Zamknięte na klucz.

Przyłożyła ucho do drzwi i nasłuchiwała. Gdzieś w oddali radio grało muzykę Burta Bacharacha i rozlegały się dwa, a właściwie trzy głosy. Dziewczyna podeszła z powrotem do łóżka i usiadła.

W porządku, pomyślała, muszę się zastanowić. A więc nie zostałam zabita, tylko porwana. Dlaczego? Porywa się kogoś, żeby coś wymusić. Czego oni mogą chcieć? Milczenia, rzecz jasna. Chcieli mieć pewność, że Jon nic nie powie. Jon był bezpieczny wśród ludzi gubernatora, więc trudno byłoby im go zabić teraz lub później. To by było zbyt oczywiste i zbyt ryzykowne. Trzymają mnie jako zakładnika, żeby zademonstrować swoją władzę: puścisz farbę, a poderżniemy dziewczynie gardło.

Przypomniała sobie oczy Murzyna. Martwe. Zimne. On nie robił tego dla rozrywki. Był człowiekiem interesu. Mógłby ją zabić z taką łatwością, z jaką ktoś inny otwiera kopertę. Nagle ogarnęło ją wielkie przerażenie.

Zebrała się w sobie, czując, że jest na krawędzi paniki. Wzięła głęboki oddech. Będzie musiała znów uciec. Po raz drugi tego samego dnia. Roześmiała się, lecz po chwili zdołała się opanować. Zaczynam popadać w histerię, pomyślała.

Przykłęknęła i przyłożyła ucho do podłogi. Dźwięk radia był teraz znacznie wyraźniejszy. Muzykę zastąpiły odgłosy dalekopisu, zwiastujące radiowy serwis informacyjny.

- Dzień dobry, jest trzynasta trzydzieści. Wiadomości, Kevin Bell. - Cóż, przynajmniej jest w Portland. - Plotki na temat zawalenia się kanadyjskich tam, jakie rozeszły się dziś rano, zostały potwierdzone przez naszego korespondenta z Vancouver. Około godziny dziewiątej rano w pobliżu zapory w Mica, spiętrzającej największy zbiornik wodny na rzece Kolumbia, najprawdopodobniej doszło do potężnego osunięcia ziemi...

...Woda uwolniona przez zawalenie się tamy spowodowała zalanie miast Revelstoke i Trail w okręgu Kolumbia Brytyjska. Odnotowano również zniszczenia w rejonie Jeziora Franklina Delano Roosevelta w stanie Waszyngton...

... Próby potwierdzenia zniszczeń po amerykańskiej stronie granicy okazały się jak dotąd bezowocne. Możliwe, że istnieje związek między powodzią w Kanadzie a nagłym spadkiem mocy energii elektrycznej, zaobserwowanym w niektórych częściach stanów Waszyngton i Idaho. Naszym reporterom w Salem nie udało się na razie skontaktować z gubernatorem Blakiem. Awaryjne Centrum Planowania w Portland jak dotąd odmówiło wydania oświadczenia na temat katastrofy, która według niektórych źródeł jest znacznie poważniejsza niż ta, do której doszło w Teton w roku 1976. Kevin Bell, wiadomości.

Chuck podniosła się z podłogi, krzywiąc się, kiedy deski zaskrzypiały pod linoleum. Usiadła na łóżku. Znow zaczęła w niej narastać panika, lecz zdołała ją opanować. Zaczęło się. Będzie musiała uciec, i to szybko.

O trzynastej trzydzieści pięć F-111 z piskiem opon zatrzymał się na autostradzie, jedenaście kilometrów od bazy w Richland. Piętnaście minut później Jonathan Kane był już w biurze doktora Hansa Kellermana. Kellerman wezwał do siebie nadzorcę składowisk, Vernona Hiltsa, i mężczyźni po krótkiej prezentacji przeszli do interesów. Hilts, niski, o pomarszczonej twarzy, po pięćdziesiątce, urodził się i wychował w rejonie Richland-Pasco. Przez całe życie pracował przy obsłudze ciężkiego sprzętu zmechanizowanego. Kane'a bardziej obchodziło zdanie Hiltsa niż Kellermana.

- Według przepisów bezpieczeństwa nie trzeba przykrywać składowisk warstwą ziemi grubszą niż metr - powiedział Kane. - Trzymacie się tego, czy zakopujecie głębiej?

Hilts posłał mu posępne spojrzenie i zerknął kątem oka na Kellermana siedzącego za biurkiem.

- Trzymamy się dość ściśle tego przepisu. Musielibyśmy wydobyć zbyt wiele ziemi, żeby zakopać coś głębiej. To kwestia logistyki - wyjaśnił.

Kellerman zakasłał.

- Tu, w Richland, mamy do czynienia z olbrzymią ilością odpadów, panie Kane. Musimy dotrzymywać terminów.

- Rozumiem - powiedział Kane, usiłując opanować złość. Nigdy wcześniej nie spotkał Kellermana, ale raporty z Richland, jakie otrzymywał w biurze, świadczyły o tym, że naczelnik był formalistą. - W jakiej odległości znajduje się składowisko?

Hilts wzruszył ramionami.

- Jakiś kilometr stąd, półtora od bloku reaktora. Kilka tysięcy akrów. Nieustannie je poszerzamy.

- Jakie materiały znajdują się w najdalej wysuniętych składowiskach? Ciężkie czy lekkie?

- Głównie lekkie - powiedział Hilts. - Skażona odzież, części wyposażenia, które zbyt długo były poddawane promieniowaniu. Tego rodzaju rzeczy. Wszystko w dwustu-litrowych beczkach.

- Ciężkie materiały znajdują się bliżej reaktora?

Hilts przytaknął.

- Wielkie zbiorniki trzymamy przede wszystkim na składowiskach A, B, C i D. Tak samo odpady stałe. Na terenie bazy jest również kilka zbiorników na zużyte rdzenie reaktorów, ale obecnie są prawie puste.

- A więc skupmy się na zbiornikach w pobliżu rzeki - powiedział Kane. - Będę potrzebował jak największej ilości ciężkiego sprzętu, panie Hilts. Buldożery, ładowarki, wywrotki, wszystko, co tylko pan znajdzie. Jak prędko można to wszystko zebrać?

Hilts uśmiechnął się szeroko.

- Tu mnie pan nie docenił, panie Kane. Zebrałem już ekipę. Maszyny właśnie tu jadą.

- Proszę wybaczyć - wtrącił Kellerman - ale jako dyrektor administracyjny nalegam, aby za najważniejszy priorytet uznać ochronę bloku reaktora. Jak pan wie, znaleźliśmy się między młotem a kowadłem. Jeśli nastąpi powódź, reaktor będzie najbardziej zagrożony, zwłaszcza jeśli nie zdążymy go w porę zamknąć.

Kane zmarszczył czoło.

- Proszę posłuchać, doktorze Kellerman - zaczął. - Wiem, że jest pan dyrektorem administracyjnym i że podlega panu baza w Richland. Ale w tym wypadku to ja ustalam priorytety. Podwyższymy wały wokół głównego składowiska, na ile to będzie możliwe. O ile wiem, reaktor nie jest najbardziej zagrożony. Rdzeń zamknięto w kopule ze stali i betonu, która powinna wytrzymać uderzenie o sile równej eksplozji pięćdziesięciu tysięcy kilogramów trotylu. Składowisko przykrywa czterometrowa warstwa piachu. Najpierw będziemy się martwić o składowisko, potem o reaktor. - Kane wstał.

- Panie Kane! - Kellerman podniósł głos, a jego niemiecki akcent stał się wyraźniejszy. - Reaktor termojądrowy w Richland jest instalacją rządową, która kosztowała w przybliżeniu półtora miliarda dolarów. Domagam się, aby zadbać o reaktor w pierwszej kolejności!

Kane zrobił krok do przodu i pochylił się nad biurkiem, opierając dłonie na złocistym skórzanym blacie.

- Doktorze Kellerman - powiedział ze spokojem. - Pański ostatni raport, który - nie ukrywam - był praktycznie bezużyteczny z powodu tak zwanych „środków bezpieczeństwa”, zawierał zestawienie statystyczne. Z zestawienia wynikało, że w bazie w Richland składa się prawie szesnaście milionów litrów odpadów atomowych. Przypadkiem do wiedziałem się również, że kilka lat temu Jednostki Chemiczne zakopały tu kilkaset ton cyklonu B, sarinu, tabunu i innych gazów paralizujących układ nerwowy. W tej sytuacji, doktorze Kellerman, nic mnie nie obchodzi pański reaktor za miliard dolarów. Obchodzi mnie tylko, co się stanie, jeśli całe to trujące cholerstwo przedostanie się do wody i rozjedzie po całym Pacyfiku. Ta powódź zabiła już wielu ludzi, Kellerman. Nie dopuszczę, aby zabiła kolejnych.

Kane wyprostował się.

- Bito mnie, podpalano, atakowano z samochodów jadących sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, doktorze Kellerman. To wszystko z powodu takich jak pan. Z powodu ludzi, którzy wolą chronić własny tyłek niż kraj, któremu rzekomo służą. Mam gdzieś pański reaktor. Najpierw zajmijmy się składowiskiem.

Kellerman wstał z fotela, drżąc z wściekłości.

- Panie Kane, jest pan cholernym głupcem! To jest moja baza, nie pańska, i ja tu decyduję. Wiem tylko tyle, że odpowiadam za bezpieczeństwo bazy w Richland, a zwłaszcza-

cza za utrzymanie reaktora w dobrym stanie. Jeśli nie jest pan tego świadom, informuję pana, że reaktor chodzi nieprzerwanie od prawie osiemnastu miesięcy. Posiada zasób paliwa w ilości około sześćdziesięciu siedmiu ton, z czego dziesięć procent stanowi pluton 239. Dziesięć procent, panie Kane! To ponad sześć ton plutonu! Czy ma pan choć najślabsze pojęcie, co się stanie, jeśli ten materiał zostanie uwolniony do atmosfery lub do wody? *Lieber Gott*, panie Kane! - Kellerman usiadł z powrotem, bliski płaczu.

Kane był wstrząśnięty. Raporty operacyjne, które otrzymywał co miesiąc, wspominały, że reaktor chodzi nieprzerwanie, ale nie wspomniano w nich nic o olbrzymich ilościach plutonu. Pluton 239 jest jednym z najbardziej zabójczych izotopów znanych człowiekowi, nieustannie emitującym promieniowanie alfa; jego okres połowicznego rozpadu wynosi prawie dwadzieścia cztery tysiące lat. Trzydzieści gramów mogłoby zniszczyć cały Nowy Jork. Gdyby sześć ton przedostało się do atmosfery, byłoby to wystarczające, aby wyludnić całe Stany Zjednoczone.

Przed podjęciem decyzji Kane się zawahał. Grand Coulee zawała się. Nadchodziła powódź. Jeśli składowisko znajduje się zaledwie metr pod ziemią, woda z całą pewnością zdoła je podmyć. Z drugiej strony, jeśli nie zrobi się nic, aby chronić reaktor, istnieje szansa, że jego blok nie wytrzyma uderzenia fali i pluton przedostanie się do atmosfery. Rybki albo akwarium. Kane westchnął w duchu. Nie mógł ryzykować.

- W porządku, Kellerman. Najpierw reaktor. - Zwrócił się do Hiltsa. - Chodźmy, musimy brać się do roboty. - Wyszedł szybkim krokiem z biura wraz z nadzorcą składowiska, zostawiając Kellermana samego za biurkiem.

Fala powodziowa przesuwiała się przez stopniowo tracący głębokość kanion Grand Coulee. Zapory między Grand Coulee a Richland były stosunkowo małe i nie mogły powstrzymać naporu wody. W większości przypadków tamy po prostu odrywały się od skalnego podłoża, woda przeciskała się najpierw z jednej strony - i już po chwili płynęła swobodnie. Szalejący prąd zniszczył najpierw zapory w Chief i w Joseph, potem w Wells i Rocky Reach.

Doktor Wilson i jego ekipa w Awaryjnym Centrum Planowania robili wszystko, aby wznowić łączność z odciętymi rejonami, lecz najczęściej było to niemożliwe. Tysiące linii telefonicznych i setki central zostało pochłoniętych przez falę. W sieci zapanował chaos. Pracownicy Centrum mogli polegać wyłącznie na łączności radiowej, ale nie była ona zbyt skuteczna. Użytkownicy CB, którzy byli w stanie najszybciej przekazać wiadomość o powodzi, prawie wcale nie pomogli w rozwiązaniu problemu. Kiedy usłyszeli na swoich częstotliwościach oficjalne ostrzeżenia, w eterze zaroilo się od sprzecznych informacji i panicznego wołania o pomoc. Jedynie większe miasta, takie jak Wenatchee, stolica okręgu, zdołały skorzystać z ostrzeżeń. W Wenatchee przeprowadzono pospieszną ewakuację i przynajmniej część mieszkańców zdążyła przenieść się do wyżej położonych rejonów, zanim fala, wysoka już tylko na dwadzieścia osiem metrów, posuwająca się z prędkością prawie stu kilometrów na godzinę, spadła na miasteczko i całkowicie wymazała je z mapy.

O godzinie trzynastej czterdzieści pięć fala dotarła do zapory w Rock Island i zniszczyła ją. Do Richland pozostało jej sto kilometrów.

Rozdział 14

4 lipca

13.55 czasu zachodnioamerykańskiego

17.55 czasu wschodnioamerykańskiego

Charlene Daly zdołała wyciągnąć dwa ośmiocentymetrowe gwoździe mocujące deskę; przy okazji połamała sobie sześć paznokci. Jej palce były spuchnięte i krwawiły po godzinie niemal bezowocnej pracy. Minie rok, zanim uda jej się wyjąć tę deskę z okna. Ale z drugiej strony... nie miała nic innego do roboty.

Właśnie zaczęła wyciągać trzeci gwoździe, kiedy usłyszała czyjeś kroki na schodach. Na palcach odeszła od okna i usiadła na łóżku. Podciągnęła nogi pod brodę i skrzyżowała ręce na piersi, żeby ukryć stan swoich dłoni. Drzwi otworzyły się.

To był Murzyn. Stał w drzwiach, czując, że dzieje się coś podejrzanego. Masywna lufa rewolweru sterczała mu z dłoni niczym dodatkowy palec. Rozejrzał się przelotnie po pokoju. Kiedy zobaczył wyszczerbiony kant deski, spojrzął na Chuck i uśmiechnął się. Na każdej innej twarzy uśmiech ten byłby sympatyczny. U tego mężczyzny wyglądał wyjątkowo groźnie.

- Ciężko się pracowało, co? - rzucił.

- Pieprz się - odparła Chuck ze złością. Wyjęła dłonie spod pach i zaczęła ssać palce, żeby zmniejszyć ból.

Mężczyzna roześmiał się.

- Ubrudzisz sobie buzię, dziecinko.

Chuck wyjęła palce z ust i popatrzyła na niego z pogardą.

- Pieprz się, czarnuchu.

Murzyn przestał się uśmiechać.

- Uważaj - powiedział.

- Na co? - odparowała Chuck. - Na słowa? Bo co, spoliczkujesz mnie?

- Moglibyśmy zrobić coś lepszego - odparł tamten, oglądając ją od stóp do głów.

Chuck nic sobie nie robiła z jego aluzji, wiedząc, że zdołała wyprowadzić go z równowagi.

- Wy, to znaczy kto? Wy - agenci czy wy - Murzyni? - zapytała. - Czy to prawda, że czarnuch nie może zostać agentem?

Mężczyzna zacisnął usta w wąską kreskę, kurczowo ściskając rewolwer.

- Myślałam, że u was w agencji trzeba mieć co najmniej dyplom z Harvardu - ciągnęła Chuck. - Albo chociaż z Yale. Jak ty się tu dostałeś? Przyznali ci punkty za pochodzenie rasowe?

- O jakiej agencji ty mówisz? - Murzyn zdołał się już opanować i teraz mówił rzeczowym, niemal przyjaznym tonem.

- Och, daj spokój - zraniła go. - Za kogo ty mnie masz, za kompletną idiotkę? CIA, NSA, DIA - co za różnica? Na pewno nie jesteś z Sił Pokojowych. Porwaliście mnie, bo chcecie, żeby Jon Kane trzymał język za zębami, prawda? W jakiś sposób ty i ci twoi głupawi kumple wplątaliście się w aferę z Mica, a teraz chcecie się posłużyć mną, żeby

zatrzeć ślady. To się nie uda, stary. Cała sprawa wkrótce się wyda i nie wywiniecie się tak łatwo.

- Naprawdę nie wiem, o czym ty gadasz - powiedział mężczyzna. - Więc może lepiej daruj sobie i siedź cicho, dobrze? I zacznij się zbierać. Wkrótce się stąd wynosimy. - Wyszedł z pokoju i starannie zamknął za sobą drzwi.

Chuck rozejrzała się posępnie po pustym pokoju.

- Jasne, stary, już pakuję walizki! - krzyknęła za odchodzącym i rozplakała się.

Jonathan Kane i nadzorca składowiska stali razem na stercie ziemi i przyglądali się postępowi robót. Dzięki fachowemu i chwilami bezwzględnemu kierownictwu Hiltsa cała operacja przebiegała sprawnie. Wokół bloku reaktora usypano wał ziemny wysoki na trzy metry, otaczający go szczerlnie z każdej strony. Drugi, jeszcze wyższy wał wzniesiono wokół pierwszego, zostawiając pomiędzy nimi około piętnastu metrów przerwy. Kane miał nadzieję, że woda, uderzając w zewnętrzną zapórę, straci większość energii. Nawet jeśli zdoła się przedrzeć, wewnętrzny wał powstrzyma ją przed wtargnięciem do budynku. Kane wolał nie myśleć o tym, że otaczając reaktor ziemią pogrzebał żywcem terrorystę i jego trzech zakładników. Według tego, co mówił Hilts, ci ludzie i tak byli już umierający.

Po drugiej stronie starego bloku reaktora kilkanaście spychaczy i wywrotek pracowało nieustannie, aby zabezpieczyć teren składowiska. Wszyscy operatorzy maszyn zostali wyposażeni w kombinezony przeciwpromienne, i było to bardzo mądre posunięcie. Jak dotąd pękło kilkanaście przedrzewiałych beczek i część odpadów przedostała się do gruntu. Nikt nie miał pojęcia, co zawierały beczki ani jak bardzo były skażone. Kane modlił się, żeby nie okazały się to odpady zakopane tu przez jednostki chemiczne.

- Nieźle sobie radzą - powiedział stojący obok Hilts. Krótkofalówka, którą trzymał w rękę, trzeszczała nieustannie, kiedy szefowie ekip wydawali polecenia operatorom maszyn.

- Miejmy nadzieję, że to wystarczy. - Kane powiódł wzrokiem po północnym krańcu bazy, szukając na horyzoncie znaków nadchodzącej powodzi.

- Będzie musiało - powiedział Hilts. - Jeśli miał pan słuszność, to rzeczywiście nie ma czasu na nic innego. Wały wokół największych zbiorników mają teraz cztery metry. Sprzęt, który tu mamy, nie pozwala na wzniesienie wyższych. - Mrużąc oczy, popatrzył na bezchmurne niebo. - Poza tym jest gorąco. Kilku operatorów zasłabło. Nie będą mogli pracować długo.

- Nie będą musieli - stwierdził ponuro Kane. - Zostało niecałe pół godziny. Niech pan powie ludziom, żeby pracowali jeszcze przez dziesięć minut, a potem niech się zwiżają. Chcę, żeby wszyscy w porę się wynieśli.

- W porządku - powiedział Hilts. W jego głosie słychać było ulgę.

Kiedy Kane szedł w stronę budynku administracyjnego, dogonił go funkcjonariusz policji stanowej.

- Pan Kane? - Policjant był młody. Oczy miał zasłonięte ciemnymi okularami.

Kane skinął głową.

- Zgadza się - odparł.

- Jest do pana wiadomość przez radio - powiedział policjant. - Może ją pan odebrać u mnie w radiowozie.

Kane poszedł za nim do policyjnego samochodu zaparkowanego wśród wielu innych służbowych pojazdów i usiadł na siedzeniu pasażera. Koszula przywarła mu nieprzyjemnie do winylowej tapicerki. Zdał sobie sprawę, że w gruncie rzeczy tęskni za chłodnym wnętrzem samolotu Canterry. Policjant nacisnął przełącznik mikrofonu i odezwał się chłodnym, rzeczowym tonem:

- Halo, baza, tu patrol drogowy dwa pięć dziewięć. Pan Kane jest u mnie w samochodzie. Możecie przekazać wiadomość z Portland. - Puścił przycisk i czekał. Po kilku sekundach rozległ się trzask i wewnątrz radiowozu wypełniło się monotonnym głosem oficera dyżurnego.

- Odebrałem, dwa pięć dziewięć. Pilna wiadomość dla pana Kane'a od doktora Wilsona z Centrum Awaryjnego w Portland. Oto treść przekazu: „Otrzymaliśmy raport z Biura Oceanografii i Meteorologii. Zdjęcia satelitarne wykazują obecność fali powodziowej poniżej zapory w Rock Island. Według analizy komputerowej, fala nawiedzi wasz rejon za siedemdziesiąt pięć minut. Szacuje się, że jej czoło ma szerokość prawie tysiąca metrów i średnią wysokość trzydziestu metrów. Zaleca się natychmiastowe opuszczenie rejonu i ewakuację całego personelu. Proszę natychmiast wracać do Centrum w Portland". Koniec przekazu. To wszystko, dwa pięć dziewięć.

- Odebrałem. - Policjant puścił przycisk mikrofonu i zwrócił się do Kane'a. - Możemy coś dla pana zrobić? - zapytał.

Kane pokręcił głową.

- Nie. Muszę najpierw porozmawiać z Kellermanem, ale wydaje mi się, że pan i pańscy koledzy powinniście uciekać stąd jak najprędzej.

- Będzie gorąco?

- Znacznie goręcej niż teraz - odparł Kane.

Młody człowiek przytaknął.

- Mam żonę i trzyletniego synka - powiedział. - Mieszkamy w małym domku w Kennewick. Myśli pan, że będą tam bezpieczni?

Kane popatrzył na niego, zastanawiając się, ile żon i dzieci zginęło do tej pory. Pokręcił głową.

- Nie. Przykro mi. Niech ich pan stamtąd zabierze. Na wschód, jeśli to możliwe. Na przykład do Walla-Walla. Trzymajcie się jak najdalej od rzeki. Jak najdalej.

Policjant zmarszczył czoło, lecz po chwili spróbował się uśmiechnąć.

- Dziękuję, panie Kane. Skorzystam z pańskiej wskazówki.

Uścisnęli sobie dłonie. Kane wysiadł z radiowozu i wpadł na biegnącego Habermana. Strażnik o wyłupiastych oczach pocił się obficie.

- Panie Kane! - wysapał. - Mamy problem.

- Żartuje pan! - odparł Kane. Popatrzył na Habermana zirytowany. Strażnik otworzył usta, lecz najwyraźniej nie umiał znaleźć słów. - Co się stało?

- Doktor Kellerman... ach, panie Kane!

- Co z nim?! - krzyknął Kane, tracąc cierpliwość.

- On... on się zastrzelił, panie Kane. Wszedłem do jego gabinetu, żeby zapytać o plan ewakuacji, a on leżał z głową na biurku. Nie żyje. Mało nie odstrzelił sobie głowy, panie Kane. Widziałem pistolet. Wygląda jak jakiś luger z drugiej wojny, albo coś w tym rodzaju. Nie wiem, co robić w tej sytuacji, panie Kane. Skoro doktor Kellerman nie żyje, to chyba pan musi objąć dowodzenie? - Wyłupiaste oczy przyglądały mu się uważnie.

- Rany boskie! - jęknął Kane. Rozmyślał przez chwilę. - Tak. Zgadza się. Zostawcie Kellermana. Nie możemy mu już pomóc. Zaczniście ogłaszać, że czas się stąd wynosić. Chcę, żeby w ciągu godziny nie było tu nikogo. A teraz, proszę mi wybaczyć. - Odwrócił się i pobiegł w stronę reaktora i stojącego przy nim Hiltsa.
Nie miał ani chwili do stracenia.

Ronald Bateman siedział w kucki, z zamkniętymi oczami na podłodze w pomieszczeniu kontrolnym. Pozornie wydawał się spokojny, lecz każdy mięsień miał napięty. Mimo zamkniętych oczu wyczuwał obecność pozostałych ludzi. Słuchał bicia własnego serca i świstu wydychanego powietrza. Każdy oddech przychodził mu z wielkim trudem. Zastanawiał się, czy to pierwszy objaw choroby popromiennej, czy tylko paraliżujące go przerażenie. Miał wrażenie, że zakończenia wszystkich jego nerwów płoną i swędzą, popychając go do zrobienia czegokolwiek, aby zmniejszyć napięcie.

Siedząc tak, nie myślał o niczym konkretnym. Sekundy mijały jedna po drugiej, każda zdawała się nie mieć związku z tymi, które następowały po niej. Przez krótką chwilę wyobrażał sobie swoje palce zaciskające się na gardle najpierw Snydera, następnie Paula. Potem przed oczami pojawił mu się obraz ich dwojga, kopulujących, oblanych strugami potu. Jedyne, co mógł zrobić, to powstrzymać się od wycia z wściekłości.

Otworzył oczy i natychmiast przymrużył je od przykrego blasku jarzeniówek. Nic się nie zmieniło. Snyder nadal tkwił przy wyjściu awaryjnym, ze strzelbą w dłoni, z rewolwerem Rudnicka leżącym u stóp. Bateman nieznacznie odwrócił głowę. Obok niego Paula zdawała się spać. Miała zamknięte oczy, głowę spuszczoną na piersi. Metr za nią siedział otyły strażnik. Słyszał było świst jego urywanych oddechów. Bateman wpatrywał się w Rudnicka, chcąc przyciągnąć uwagę zwalistego mężczyzny. W końcu udało mu się. Przyprószona siwizną głowa odwróciła się nieznacznie. Oczy strażnika było pozbawione wyrazu, a usta zaciśnięte z bólu. Bateman zastanawiał się, czy ten człowiek byłby w stanie pomóc mu w ataku na Snydera. Dopiero po chwili zrozumiał, że tak.

Obaj mężczyźni przez długą chwilę patrzyli sobie w oczy. Bateman chciał, żeby Rudnick zrozumiał, o co chodzi. Wodził wzrokiem w stronę Snydera i z powrotem. Rudnick z początku wyglądał na zdezorientowanego. Potem uniósł krzaczastą brew i ledwie dostrzegalnie skinął głową. Bateman odwzajemnił ten sygnał i popatrzył znacząco na dłoń Rudnicka, skryte za jego plecami. Strażnik uśmiechnął się blado i uniósł ręce. Zdołał znacznie rozluźnić węzeł. Powiódł wzrokiem wysoko ponad pulpitem kontrolnym i popatrzył na elektroniczny zegar wiszący na przeciwległej ścianie. Była druga dwadzieścia. Rudnick bezgłośnie wymówił słowo: „pięć”. Bateman skinął głową i popatrzył na Snydera. Blondyn najwyraźniej nie dostrzegł całej tej pantomimy; jego uwaga była skupiona na korytarzu za drzwiami. Bateman znów zamknął oczy i zaczął liczyć w myśli, zastanawiając się, czy tym samym nie odlicza ostatnich sekund swojego życia.

Kiedy doszedł do dwustu pięćdziesięciu, przestał liczyć i otworzył oczy. Spojrzał na zegar. Do umówionej godziny pozostało zaledwie kilkadziesiąt sekund. Pół minuty. Powoli podciągnął lewą nogę, szykując się do skoku. Czekał na ruch Rudnicka. Strażnik siedział z zamkniętymi oczami i Bateman po raz kolejny zastanowił się, czy tamten jest zdolny do działania. Ale to już nie miało znaczenia. Jeśli będzie trzeba, sam poradzi sobie ze Snyderem.

Kiedy cienka sekundowa wskazówka minęła piątką na tarczy zegara, Rudnick osunął się na ziemię z jękiem, wpadając na śpiącą Paulę St. George. Dziewczyna obudziła się i otworzyła oczy. Kiedy dostrzegła Rudnicka, krzyknęła i zaczęła odpychać go od siebie, pozwalając mu opaść bezwładnie na podłogę. Strażnik przez cały czas miał ręce skrepowane za plecami. Usłyszawszy krzyk, Snyder odwrócił się i podniósł broń.

- Co tam się dzieje, do cholery? - ryknął.

Bateman popatrzył na Rudnicka i skrzywił się.

- On chyba nie żyje. Wygląda fatalnie.

- Naprawdę? - odparł Snyder, ściskając strzelbę pod pachą. - Cóż, zobaczymy. - Spojrzał w głąb korytarza, potem przeszedł przez pokój. Stał nad poskręcanym ciałem Rudnicka. Zamachnął się prawą nogą i wyrzucił ją z wściekłością przed siebie. Za nim zdołał zadać cios, strażnik obrócił się na podłodze, zadziwiająco szybko jak na człowieka jego rozmiarów. Kopnął Snydera w lewą nogę, przez co tamten stracił równo wagę. Naboje wysypały mu się z kieszeni. Bateman skoczył przed siebie i rzucił się na Snydera, usiłując sięgnąć do kieszeni jego kurtki, w której znajdował się detonator. Snyder podniósł kolbę i uderzył go, lecz w tej samej chwili Rudnick zwałił się całym ciałem na terrorystę, chcąc mu odebrać broń. Siedząca za nimi Paula St. George znów zaczęła krzyczeć, podnosząc ręce do pokaleczonych ust.

Z ramieniem bolącym od ciosu Snydera Bateman skoczył przed siebie i spróbował wcisnąć rękę pomiędzy walczących mężczyzn. Sięgnął do kieszeni Snydera, aby wyciągnąć detonator. Nie dał rady go wyszarpnąć.

- Nie mogę! - krzyknął. - Nie mogę go wyjąć!

Snyder odepchnął go i wraz z Rudnickiem potoczył się w stronę komputerów. Kiedy się zbliżyli, Paula St. George natychmiast wstała, usiłując zejść im z drogi. Obaj mężczyźni podnieśli się, nadal złączeni jak zapaśnicy. Dostrzegłszy kolejną szansę, Bateman podbiegł, owinał ramię wokół szyi Snydera i zacisnął z całej siły. Snyder puścił strzelbę i łokciem uderzył Batemana w zębra, posyłając go na ziemię i odbierając oddech. Prawie w tej samej chwili rozległ się trzask strzelby.

Paula St. George, stojąca niecały metr dalej, została trafiona w klatkę piersiową i w twarz.

Siła wystrzału rozłączyła Rudnicka i Snydera. Strzelba poleciała na ziemię pomiędzy nimi. Snyder upadł całym ciężarem na Batemana. Zanim zdołał odzyskać równowagę, zobaczył, jak Rudnick chwyta za strzelbę. Snyder odwrócił się i pobiegł do wyjścia awaryjnego. Dopadł drzwi, w biegu chwycił leżący na ziemi rewolwer i skierował się w stronę komory próżniowej. Zanim Rudnick zdążył przeładować strzelbę nabojami rozsypanymi na podłodze, Snydera już nie było.

Bateman wstał, dopiero teraz zobaczył, co się stało z Paulą. Pobiegł w jej stronę, szlochając.

Rudnick stanął mu na drodze.

- Nie teraz - wy sapął. - Nie mamy czasu. Szybko, biegnij ich poinformować!

Bateman zignorował nakaz i ominął strażnika. Popatrzył na Paulę. Upadła twarzą w dół, zastaniając większą część ran. Bateman zdjął kurtkę i przykucnął, aby okryć jej głowę i potargane jasne włosy. Wstał, uśmiechając się ponuro. Po chwili odwrócił się i wypadł z pomieszczenia przez wyjście awaryjne. Rudnick dokończył przeładowywać strzelbę.

Parę chwil później ptasia sylwetka Batemana zjawiła się ponownie w wyjściu awaryjnym. Mężczyzna zanosił się stłumionym śmiechem.

- Co jest? - spytał Rudnick. Ścisnął mocniej strzelbę, czując narastający ból żołądka. - Gdzie...?

- Zamurowani! - chichotał Bateman. - Zupełnie jak u Edgara Allana Poe!

- O czym ty mówisz, do cholery? - odparł Rudnick, posuwając się groźnie w jego stronę.

Bateman podniósł ręce, nie przestając się śmiać.

- Sam zobacz! Zostaliśmy zakopani!

Rudnick przemknął obok niego, idąc tak prędko, jak tylko pozwalały mu drżące nogi. Walka ze Snyderem pozbawiła go resztek energii. Wiedział, że z bólu wkrótce straci przytomność. Wyszedł na korytarz i od razu zrozumiał, z czego śmiał się Bateman.

Podwójne szklane drzwi, prowadzące na zewnątrz, uchyliły się pod naporem ziemi, którą je zasypano. Zza drzwi nie dochodziła ani odrobina dziennego światła.

Rudnick zmarszczył brwi, zdezorientowany. Do czego zmierza Kellerman, na litość boską? Powłókł się niespiesznie korytarzem. Bateman szedł tuż za nim. Ramię strażnika zaczęło znów krwawić podczas walki ze Snyderem; rękaw koszuli był czerwony aż po łokieć. Rudnick zatrzymał się metr od drzwi i patrzył.

- Chryste! - wymamrotał. Odwrócił się szybko na pięcie i poszedł korytarzem do pomieszczenia kontrolnego. Usiadł przed monitorami i wpatrywał się tępo w pulpit kontrolny, szukając sterowników zewnętrznych kamer. Wszystkie sześć kamer było wyposażonych w szerokokątne obiektywy; umieszczono je w sześciu strategicznych punktach bloku reaktora. W normalnych warunkach Rudnick zobaczyłby natychmiast, co się dzieje wokół budynku. Nerwowym ruchem włączał kamery, jedną po drugiej. Ekran y pozostawały puste.

- Co się dzieje? - zapytał Bateman, stojący za jego plecami. Z jego głosu zniknął już histeryczny ton.

- Mogiła - odparł Rudnick grobowym głosem. Jeszcze raz sprawdził wszystkie kamery. Na monitorach nic się nie pojawiło. - Wygląda na to, że Kellerman kazał zakopać cały ten cholerny budynek. Bóg jeden wie, z jakiego powodu.

- Może zasypał tylko główne wejście. Mógł odłączyć kamery - wtrącił Bateman.

- Czemu miałyby to robić? - spytał Rudnick.

Bateman wzruszył ramionami.

- Może po to, żeby przestraszyć Snydera?

- Wątpię - odparł Rudnick. Na wszelki wypadek sprawdził jeszcze kontrolkę zasilania. Do kamer przez cały czas dochodził prąd, a powracał sygnał. Strażnik pokręcił głową. - Nic z tego nie rozumiem - wymamrotał. - Ale to nie ma znaczenia. Musimy najpierw dopaść Snydera.

- Dlaczego? - zapytał Bateman. - Przecież twierdzi pan, że i tak wszyscy umrzemy od napromieniowania. Po co mielibyśmy go szukać?

Rudnick zaśmiał się nerwowo.

- Ponieważ Snyder wciąż ma detonator. Nadal może zmieść to miejsce z powierzchni ziemi. Owszem, umrzemy, ale niech mnie wszyscy diabli, jeśli pozwolę mu zniszczyć pół stanu opadem radioaktywnym. - Odwrócił się, żeby jeszcze raz popatrzeć na Batemana.

W jego oczach pojawiły się iskiarki. - Nie mówiąc już o satysfakcji, jaką będę miał, kiedy rozwalę sukinsynowi łeb.

Dennis Penpraze obudził się nagle. Promień słońca wślizgujący się przez szczelinę w wieży strzelniczej padł mu prosto na twarz. Mężczyzna usiadł i przeciągnął się; następnie wstał i podszedł do szczeliny, przechodząc nad zardzewiałą szyną, na której niegdyś osadzone było działo morskie. Wyjrzał ostrożnie przez szczelinę, uważając, aby pozostać w cieniu.

Dzień był pogodny. W zatoce Burrard, zmarszczonej poranną bryzą, roilo się od żaglówek i łodzi motorowych. Po drugiej stronie, na północy, masywne grzbiety przybrzeżnych gór odcinały się od błękitnego nieba.

Penpraze nasłuchiwał. Oprócz ryku i szumu fal uderzających w piaszczysty brzeg, słyszał gwar rozmów i szczekanie psa. Zesztywniał, czując, jak narasta w nim panika. Po chwili uspokoił się. Piękny dzień. Plaża. Nic dziwnego, że kręcą się tu jacyś ludzie. Zamknął starannie drzwi, więc nie miał się czym przejmować.

Odrzucił się od szczeliny strzelniczej i rozejrzał po pomieszczeniu. Miało prawie dziesięć metrów średnicy, a pośrodku, za resztkami armaty, znajdowały się schody prowadzące na dół, do magazynu. Fotel strzelca przetrwał w stanie nienaruszonym, tak samo jak zawieszony przed nim celownik. Penpraze podszedł i usiadł na metalowym siedzeniu. Po chwili wyobraził sobie, że jest rok 1943, a żółtki właśnie wylewają się zza horyzontu. Jego zadaniem było ich powstrzymać, a mógł tego dokonać za pomocą celnego, sześciocalowego działa.

Kiedy Penpraze posyłał kolejne wyimaginowane pociski do nieistniejących celów, dwaj policjanci patrolujący plażę zaczęli się niepokoić. Wreck Beach była jedyną plażą nudystów w Vancouver i aby uniknąć podejrzeń, obaj musieli rozebrać się do naga. Ich ubrania, pistolety i krótkofalówki leżały obok, w krzakach. Siedzieli na plaży prawie od siedmiu godzin i obaj byli spaleni jak raki.

Kilometr dalej, na wschodzie, gumowy ponton kołysał się leniwie na łagodnych falach. Wysoki, pomarszczony mężczyzna opuścił lornetkę i popatrzył na zegarek. Druga trzydzieści pięć. Już prawie czas. Pochylił się i sięgnął do ciasnego luku. Wyjął pluszową maskotkę, odpiął suwak i wyciągnął z jej wnętrza nieduży nadajnik, nastawiony na tę samą częstotliwość, co odbiornik ukryty w wieżycze strzelniczej.

Rozdział 15

4 lipca

14.45 czasu zachodnioamerykańskiego

17.45 czasu wschodnioamerykańskiego

Niekończący się sznur samochodów wysypywał się z głównej bramy bazy atomowej w Richland, zgodnie z planem ewakuacji zarządzanym przez Jonathana Kane'a. Pojazdy wiozły policjantów stanowych, gwardię narodową oraz nielicznych pra-

cowników Kellermana, którzy pozostali na miejscu aż do ostatniej chwili. Oprócz mikrobosów odjeżdżało stąd kilkanaście wielkich ciężarówek, w większości wypożyczonych z firm w Richland, wywożących z bazy radioaktywne izotopy i inne niebezpieczne materiały, które dało się przewieźć. Kierowcom nakazano kierować się do bazy w Idaho Falls, położonej kilkaset kilometrów na wschód.

O czternastej czterdzieści pięć w bloku reaktora został już tylko Kane oraz pilot helikoptera z policji stanowej w Waszyngtonie, nerwowo przechadzający się obok swojej maszyny.

Kane stał na zewnętrznym wale, rozglądając się po raz ostatni. Lekki wiatr z północy targał jego ubraniem i unosił w powietrzu drobiny piasku. Słońce znajdowało się po zachodniej stronie nieba i okopany reaktor rzucał długie cienie. Zza wałów widać było jedynie główną kopułę bloku, zrobioną z pomalowanej na biało stali, przeciętą jedynie wąskim podestem roboczym. Puszka Pandory, pomyślał Kane. Wiatr nasilił się, rzucając mu w twarz kłęby pyłu. Miejmy nadzieję, że wał będzie wystarczająco szczelny, powiedział sobie w myśli. Odwrócił się od reaktora i zbiegł po stromym zboczu do czekającego helikoptera.

Pilot śmigłowca powiedział coś przez radio; zanim wylądowali na autostradzie obok myśliwca, Canterra z ogłuszającym hukiem uruchomił silniki, przygotowując się do startu. Kane pospiesznie naciągnął kombinezon przeciwpieczązeniowy, wspiął się do kokpitu i zapiał pasy. Kilka sekund później pędzili już po zastępczym lądowisku, aby wzbić się w powietrze.

Kiedy osiągnęli wysokość przelotową i skierowali się ponad górami w stronę Portland, Canterra włączył automatycznego pilota i skinął na Kane'a, żeby włączył hełmofon.

- Chciałem zaczekać, aż będziemy w powietrzu, panie Kane - powiedział pilot. - Hm... tuż przed przylotem śmigłowca otrzymałem dość dziwny przekaz z Awaryjnego Centrum Planowania w Portland. - Canterra zamilkł.

- Jak to dziwny? - spytał Kane.

Canterra zmarszczył czoło ponad maską tlenową.

- Otrzymali anonimowy telefon. Jakiś człowiek prosił, żeby przekazać panu wiadomość. Kazał powiedzieć, że panna Daly jest w dobrych rękach. Czy to coś panu mówi, panie Kane?

- Cholera jasna! - syknął Rudnick. Siedział przy monitorach w pokoju kontrolnym i zdrową ręką manipulował przełącznikami, usiłując zlokalizować Snydera za pomocą jednej z przeszło dwudziestu kamer zainstalowanych w bloku reaktora.

- Ten sukinsyn musi gdzieś być! - mamrotał do siebie.

Bateman, siedzący obok niego, otrząsnął się już z szoku po śmierci Pauli i czuł, że wściekłość ogarnia go znacznie mocniej niż jakakolwiek emocja, jaką w życiu odczuwał.

- Znajdziemy go - powtarzał. - Musimy go znaleźć.

- Ach, sam go poszukaj - odparł Rudnick, pokaszując. - On może być gdziekolwiek. Mamy nad nim tylko jedną przewagę.

- Jaką? - spytał Bateman.

- On nie wie, że zostaliśmy zakopani - odparł Rudnick, nie przestając manipulować przełącznikami i nie odrywając wzroku od monitorów. - Pewnie sądzi, że oddział stansowych gliniarzy w każdej chwili może mu się zwalić na głowę. Na pewno sra w gacie. Umiera ze strachu.

Rudnick znów zakasał, tym razem silniej. Pochylił się do przodu, wpatrując zmęczonymi oczami w jeden z ekranów, pokazujący wnętrze magazynu paliw.

- Mam sukinsyna! – krzyknął - jego słowa przeszły w spazmatyczny kaszel. Po chwili doszedł do siebie i otarł krew z policzków. Wskazał na jeden z monitorów. - Spójrz, tam na podeście, za tą rurą! - Rudnick wycelował grubym palcem wskazujący w środek ekranu, gdzie skrawek materiału wystawał zza olbrzymiego przewodu chłodzącego, który biegł obok pomostu.

Bateman popatrzył na monitor.

- A więc mamy go - stwierdził, sugerując się raczej radosną miną Rudnicka niż tym, co widział na ekranie. - I co teraz?

- Pójdziemy go dopaść! - oznajmił Rudnick, wstając z krzesła.

Mike Stalling popchnął kasę pancerną i zrzucił ją ze schodów w budynku administracyjnym, znajdującym się na południowym krańcu rozległej odlewni Amerykańskiego Towarzystwa Hutniczego. Jęknął, spychając ciężki sejf z ostatnich kilku stopni. Chwilę odpoczywał, następnie podjechał wózkiem widłowym, który przyprowadził z drugiego końca hali. Wtaszczył kasę na żelazne widełki przykryte paletą, maksymalnie naprężając potężne bicepsy, po czym wspiał się na siedzenie kierowcy.

- Już po wszystkim! - szepnął. Uruchomił silnik i ruszył pod wiszącymi w górze tyglami z roztopionym aluminium, kierując się w stronę bramy na drugim końcu hali. Jądnąc szybko pod wielkimi tyglami, zastanawiał się, ile pieniędzy kryje się w sejfie. Przed weekendem gromadzono zazwyczaj fundusze na przyszły tydzień, więc pewnie będzie tam jakieś czterdzieści, pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Wystarczy, żeby wyrwać się stąd raz na zawsze. Warto było zaryzykować. Kiedy żołnierze przynieśli rozkaz ewakuacji, Stalling zachował się, jakby wszystko miał od dawna zaplanowane. Ukrył się w jednej z łazienek i zaczekał, aż wszyscy wyjdą. Kiedy upewnił się, że jest sam, wyszedł z kryjówki, udał się do biura i zaczął szukać sejfu. W końcu znalazł go w gabinecie zastępcy dyrektora.

Mike Stalling miał dwadzieścia osiem lat i tytuł magistra ekonomii. Ów tytuł bynajmniej nie ułatwił mu kariery. Prawdę mówiąc, miał szczęście, że zdołał się zatrudnić jako robotnik w fabryce aluminium w Alcoa, nad Kolumbią, prawie czterdzieści kilometrów od Wenatchee. Lecz Mike nie uważał się za szczęściarza. Nienawidził zarówno Wenatchee, jak i Alcoa, i od osiemnastu miesięcy jego jedyną ambicją było wyrwanie się stąd przy najbliższej okazji. Ostrzeżenia o powodzi to bzdura wyssana z palca. Gdyby rzeczywiście było tak źle, jak im powiedziano, fabryka zostałaby zamknięta na dłuższy czas. Nikt nie zdąży się w porę zorientować, że kasa pancerna zniknęła, o ile w ogóle ktoś się zorientuje.

Mężczyzna popatrzył w górę, przejeżdżając pod jednym z „czajników” z hartowanej stali, zawierających płynne aluminium; zwisały z szyny zamocowanej pod sufitem na wysokości ośmiu metrów. Olbrzymie zbiorniki były napełniane w jednym z sześciu wiel-

kich pieców, przewożone przez operatorów podnośników i podczepiane do odpowiedniej linii produkcyjnej. Każdy taki „czajnik” przesuwał się powoli po szynie, kierowany przez robotników, napełniając kolejne tygle.

Stalling uśmiechnął się szeroko, kiedy dotarł do końca linii produkcyjnej. Nawet jeśli powódź wyrządzi niewielkie szkody, straty finansowe będą ogromne. Im dłużej zbiorniki pozostawały bez obsługi, tym bardziej stygła ich zawartość. Za godzinę ochłodzą się do tego stopnia, że nie będzie można ich opróżnić. Jeśli ostygną całkowicie, trzeba je będzie pociąć na kawałki, aby ponownie stopić aluminium. W porównaniu z kosztami takiej operacji, te pięćdziesiąt tysięcy w seffie wydawało się drobiazgiem.

Fala powodziowa, wysoka na dwadzieścia cztery metry, posuwająca się z prędkością siedemdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę, uderzyła w fabrykę w Alcoa całą swoją szerokością, wrywając północną ścianę z fundamentów. Wysokie na trzydzieści metrów słupy przewróciły się i dach zaczął opadać. Szyny, na których zawieszono były zbiorniki, wyginały się ze zgrzytem, mieszającym się z dzikim rykiem wody. Zbiorniki spadały kolejno na ziemię.

Jeden z nich uderzył o beton niecałe siedem metrów od Stallinga. Rozsypał się na drobne części, rozpryskując rozgrzane do białości aluminium na wszystkie strony. Kilka tysięcy litrów stworzonej przez człowieka lawy zalało wózek widłowy, kasę pancerną i Stallinga. Powódź szalała w zniszczonym budynku, gasząc setki pożarów, zanim te zdołały się rozprzestrzenić, błyskawicznie chłodząc rozlane aluminium - również to, w którym znalazło się ciało Stallinga. Niedoszły złodziej sponął przy pierwszym zetknięciu z metalem, lecz błyskawiczne schłodzenie spowodowało, że jego ciało zostawiło dokładny odcisk w zastygającej cieczy, a obraz jego przerażonej twarzy na zawsze pozostał w owej monstrualnej trumnie.

Fala posuwała się w dół rzeki. Zalała miasto Vantage i potoczyła się dalej. Siedem minut później dotarła do betonowo-ziemnej zapory Wanapum, naparła na jej krańce, wreszcie przełamała się przez jej środek.

Przemknąwszy w zawrotnym tempie przez rekreacyjne jezioro Priest Rapids, uderzyła w tamę o tej samej nazwie i zniszczyła ją całkowicie.

Chociaż czoło fali osiągnęło szerokość prawie półtora kilometra, kiedy woda rozlała się na szerokiej równinie za zaporą, kilka czynników sprawiło, że kataklizm nie stracił na sile.

Dla obserwatora stojącego na brzegu Kolumbii cała równina wydawała się prawie idealnie płaska. Ciągnęła się przez kilkanaście kilometrów, aż do podnóża Gór Kaskadowych na zachodzie, jej wschodni kraniec zaś wznosił się łagodnie. W rzeczywistości cały teren w przekroju miał kształt litery V - rzeka płynęła w jego najniższym punkcie.

Woda przepływała po linii najmniejszego oporu, jeśli nie musi pokonywać siły grawitacji. Fala powodziowa posuwała się więc korytem rzeki. Była to również droga oznaczająca się najmniejszym współczynnikiem tarcia, który według praw hydrologii jest głównym determinantem prędkości przepływu. Spowodowało to, iż fala przybrała kształt stożka - czoło fali stanowiło jego wierzchołek, a dalej masa płynącej wody rozszerzała się stopniowo, wylewając z pradawnego rzeczno-koryta. Ta woda ważyła obecnie przeszło pięćset miliardów ton, a napięcie powierzchniowe tak zaokrągląło jej brzegi, że

wyglądała jak olbrzymi język wulkanicznej lawy, przesuwający się z prędkością prawie siedemdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę po pustynnej równinie.

Rozdział 16

4 lipca

15.15 czasu zachodnioamerykańskiego

18.15 czasu wschodnioamerykańskiego

Miała ją pani chronić, na litość boską! - krzyknął Kane, uderzając pięścią w blat. - Co pani, do cholery, narobiła? - Popatrzył na Eleanor Sweet, siedzącą za biurkiem w niewielkim pokoju sąsiadującym z salą konferencyjną Awaryjnego Centrum Planowania. Z zewnątrz dochodził nieustanny gwar głosów. Ludzie schodzili się na zaplanowane zebranie.

- Proszę usiąść, panie Kane - powiedziała Sweet, wskazując na skórzaną sofę ustawioną przy ścianie. - Wygląda pan na wyczerpanego.

- Nie mam ochoty siadać. Domagam się odpowiedzi! - warknął Kane z wściekłością. - Chcę wiedzieć, dlaczego cały personel biura gubernatora nie jest w stanie uchronić jednej osoby przed porwaniem w biały dzień!

- Panie Kane, proszę się uspokoić. - Sweet znów wskazała mu sofę. Kane wciąż stał, wpatrując się w nią z ponurą miną.

Sweet wzruszyła ramionami.

- Mamy wiele powodów, aby sądzić, że pani Daly nie została porwana z pokoju w motelu - zaczęła stanowczym, opanowanym głosem. - Pewne dowody wskazują, że opuściła motel z własnej woli.

- Przecież mówiła pani, że strażnik został zamordowany - odparł Kane.

Sweet przytaknęła.

- Owszem. Jednak wygląda na to, że zanim został zabity, pani Daly już nie było. Według raportu, który otrzymałam, wszystkie wewnętrzne drzwi pomiędzy waszym pokojem a szczytową ścianą motelu zostały wyważone, a plastikowe okno w ostatnim pokoju, przecięte. Wszystkie drzwi otwarto od wewnątrz, panie Kane. - Sweet odchrząknęła. - Dalsze śledztwo ujawniło, że pani Daly w tym samym czasie zapłaciła kartą American Express za bilet lotniczy do Portland.

- Tutaj? - spytał Kane z niedowierzaniem.

Sweet znów przytaknęła.

- Najwidoczniej. Porywacze, jeśli faktycznie ją mają, musieli przechwycić ją w Portland, zaraz po wylądowaniu.

- No dobrze, załóżmy, że ją mają - powiedział Kane. - To jedyny wniosek, jaki możemy wyciągnąć z całego śledztwa. - Potarł palcami obrzmiałe skronie. - I co teraz zrobimy? - zapytał.

- Nic - odparła Sweet. - Nie możemy nic zrobić.

Kane wpatrywał się w nią z niedowierzaniem.

- Będę udawał, że tego nie słyszałem - powiedział.

Sweet położyła dłonie płasko na biurku i wyprostowała się.

- Panie Kane, niech pan spróbuje zrozumieć naszą sytuację - powiedziała. - Satelita meteo i nasz komputer przewidują uderzenie fali dziś wieczorem, między dziewiętnastą a dziewiętnastą czterdzieści pięć. Zostało nam niecałe cztery godziny, żeby ewakuować całe miasto albo żeby powstrzymać powódź przed dotarciem do niego. Rozkaz całkowi tej ewakuacji został wydany niespełna godzinę temu, i jak zapewne się pan domyśla, w Portland panuje straszliwy chaos. W Stanach Zjednoczonych nie przeprowadzano ewakuacji całego miasta od czasów drugiej wojny. Nikt nie był na to przygotowany. Szanse znalezienia pani Daly wśród pół miliona ewakuowanych byłyby nikłe, nawet gdybyśmy oddelegowali do tego Bóg wie ile osób.

Kane usiadł na sofie. Sweet miała rację. Kiedy przyleciał na lotnisko międzynarodowe, odniósł wrażenie, że przybył do domu wariatów. Tysiące ludzi tłoczyło się w korytarzach, usiłując zdobyć bilety na ostatnie samoloty odlatujące z miasta.

Canterra i Kane przesiedli się do helikoptera ekipy telewizyjnej. Kane, któremu już kręciło się w głowie od lotu z wielką prędkością, doznał jeszcze większego szoku, wyglądając przez okno śmigłowca.

W Portland panował ruch jak w rozgrzebanym mrowisku. Przeszło trzysta pięćdziesiąt tysięcy ludzi wyległo na ulice i udawało się - większość z nich pieszo - na zachód, w stronę względnie bezpiecznych wzgórz na drugim brzegu Willamette River. Tłumy przerażonych mieszkańców nie były w stanie przedrzeć się przez skrzyżowania zastawione porzuconymi samochodami. Ludzie zawracali, aby wrócić tą samą drogą, którą przyszl. Każdy, kto nie zdołał zawrócić w porę, był tratowany.

Wszędzie widać było, zasnuwające dymem całe miasto, niezliczone pożary wywołane przez rzucone w pośpiechu niedopałki, pozostawione kuchenki, ogrodowe grille porzucone w panice. Większości z nich nikt nie gasił; straż pożarna nie była w stanie przedrzeć się przez rozkrzyczany tłum.

Gdzieś wśród tego wszystkiego musiała być Chuck. Kane pomasaował dłonią czoło. Całe ciało bolało go dotkliwie, a szczególnie głowa, ręka i bok. Ale ignorował ból, zmuszając swój mózg do logicznego myślenia. Popatrzył na Sweet.

- Czy Hammond będzie na tym spotkaniu? - zapytał.

Sweet zmarszczyła czoło.

- Nie - odparła powoli. - Został w Olympii, o ile pamiętam. Musiał chyba skontaktować się ze zwierzchnikami w Waszyngtonie w sprawie podjęcia jakiejś decyzji.

Kane chrząknął i skrzywił się.

- To mi pasuje - powiedział.

Sweet popatrzyła na niego pytająco, usłyszawszy złość w jego głosie.

- Co ma generał Hammond wspólnego z panią Daly? - zapytała w końcu.

- Bardzo wiele - odparł Kane chłodno. - Tkwi w tej aferze aż po swoje wredne uszy. Nie jestem do końca pewien, jaką odgrywa w tym rolę, ale na pewno jest zamieszany. On o wszystkim wiedział! - Kane zerwał się z sofy. Zatrzymał się przy drzwiach z ręką na kłamce i odwrócił się do Sweet. - Biorę panią na świadka. Jeśli pani Daly nie wyjdzie z tego cało, jeśli zostanie zabita lub stanie jej się jakakolwiek krzywda, zamierzam osobiście dopilnować, żeby generał Hammond został zwolniony i zdegradowany.

Wyszedł, trzaskając drzwiami. Sweet przez chwilę spoglądała za nim, zdezorientowana; potem usiadła i wróciła do przeglądania leżących przed nią dokumentów.

- Przed nami blokada drogi - zawiadomił Lachlan, zwalniając.

Bonner, siedzący obok niego, sięgnął do kabury pod pachą, wyciągnął smith & wesson, położył na siedzeniu i przykrył swoją masywną czarną dłońią. Charlene Daly pochyliła się na tylnym siedzeniu, chcąc zobaczyć blokadę. Hobbs, trzeci członek grupy porywaczy, chwycił ją za ramię, wbijając wypielęgnowane paznokcie w biceps, i odciągnął do tyłu. On również wyciągnął broń i dziewczyna poczuła, jak gruba lufa wbija jej się w bok, tuż pod prawą piersią.

- Jedno słówko i odstrzelę ci cycek - powiedział, uśmiechając się wilgotnymi, wydajnymi ustami.

Chuck odwróciła się do niego. Widok okrągłej, różowej twarzy i miętowy zapach oddechu przyprawiły ją o mdłości. On był inny niż Bonner. Robienie ludziom krzywdy sprawiało mu przyjemność.

Odważemniła jego uśmiech.

- Wyglądasz na takiego, co lubi pistolety, bo myśli, że ma za krótkiego kutasa. Pewnie myślisz tak nie bez powodu.

Twarz Hobbsa poczerwieniała.

- Ty cholerna...

- Zaniknijcie się! - warknął Murzyn. - Zwolnij - polecił Lachlanowi. Zatrzymali się siedem metrów od samochodów policyjnych zaparkowanych w poprzek skrzyżowania Northeast Halsley i Sto Dwudziestej Drugiej, w dzielnicy ekskluzywnych rezydencji sąsiadujących z klubem golfowym Glendover. Na chodnikach po obu stronach ulicy tłoczyli się przechodnie.

Jeden z kilku policjantów pilnujących blokady ruszył w ich stronę, trzymając rękę na kaburze. Schludnie umundurowany, wyglądał na opanowanego i doświadczonego. Ciemne okulary chroniły jego oczy przed popołudniowym słońcem. Lachlan opuścił szybę, kiedy policjant zbliżył się do samochodu. Funkcjonariusz oparł dłoń o dach i pochylił się, żeby zajrzeć do środka. Chuck poczuła, jak pistolet Hobbsa wbija się w jej ciało, więc przybrała obojętną minę.

- Jedziecie na wschód - powiedział oficer.

- Zgadza się - odparł Bonner, siląc się na uprzejmy, lecz zniecierpliwiony ton. - Nasz samolot odlatuje z lotniska w Troutdale. - Bonner mówił prawdę. Dostał rozkaz, aby przetransportować Chuck samolotem do Seattle.

- Nie wolno jechać na wschód - oznajmił policjant. - Macie iść piechotą, na zachód. Proszę wysiąść z samochodu. Możecie go tutaj zostawić. Zamknijcie go i zabierzcie kluczyki.

Bonner uśmiechnął się.

- Obawiam się, że to będzie niemożliwe - stwierdził, mocniej ściskając pistolet na siedzeniu. - Naprawdę musimy dostać się do Troutdale. Nic nam się nie stanie.

- Pan mnie chyba nie rozumiał - odparł policjant. - Mam rozkaz, aby wszystkich odsyłać pieszo na zachód. A więc proszę wysiąść. Natychmiast! - Odsunął się od samochodu i jedną ręką chwycił za klamkę, a drugą sięgnął po broń.

Bonner wyciągnął pistolet, przechylił się przez Lachlana i wystrzelił trzy razy, po jednej kuli w każde z przyciemnianych szkielec, a trzecią w otwarte usta.

- Jedziemy! - krzyknął.

Lachlan wrzucił wsteczny bieg i nacisnął gaz. Zaczęli błyskawicznie oddalać się od blokady. Lachlan obrócił kierownicę i wielki samochód zawrócił z wizgiem. Kierowca zahamował, zmienił bieg i popędził tam, skąd przyjechał, piszcząc oponami, przeciskając się między dziesiątkami opuszczonych samochodów. Przerażeni przechodnie uskaliwali mu z drogi. Kiedy Chuck, drżąc z przerażenia, zakryła twarz rękami i usiłowała stłumić odruch wymiotny, jaki wywołał w niej widok roztrzaskanej głowy policjanta, usłyszała w oddali monotonne zawrodenie syren.

Dwaj mężczyźni przeszli ostrożnie przez komorę próżniową prowadzącą do magazynu paliw. Rudnick wodził oczami po podestach umieszczonych wysoko w górze, po przeciwnej stronie olbrzymiego pomieszczenia. Kawałek tkaniny znajdował się tam nadal, wystawał zza masywnej rury z cieczą chłodzącą.

W jednej trzeciej długości magazynu stał wielki wózek na gumowych kołach, używany do przeładunku. Rudnick i Bateman najpierw posuwali się wzdłuż ściany, a potem przebiegli po wypolerowanej posadzce i skryli się za wózkiem. Odpoczęli chwilę.

Rudnick niósł rewolwer wyjęty ze skrytki w pomieszczeniu kontrolnym, identyczny jak ten, który zabrał mu Snyder. Zaoferował Batemanowi drugi, taki sam, lecz tamten wolał strzelbę. Postanowił, że jeśli ma zabić Snydera, to zrobi to z broni, od której zginęła Paula. Trzymał strzelbę kurczowo, jej ciężar odbierał jako obcy i niewygodny. Ronald Bateman nigdy w życiu nie strzelał z broni palnej.

Kiedy chwilę odetchnęli, Bateman zaczął się dziwić, że Rudnick dał mu broń. Bądź co bądź, jeszcze godzinę temu byli przeciwnikami. Ale teraz to nie ma znaczenia, pomyślał. Stali się sprzymierzeńcami z konieczności, a ich wzajemne zaufanie przewyższało zwykłą niechęć do wroga. Zadrżał. Ich świat skurczył się do tego jednego pomieszczenia; wszystko, co znajdowało się poza nim, dla każdego z nich zdawało się nie istnieć.

Rudnick wychylił się zza wózka. Przed nimi rozciągała się przestrzeń szerokości trzydziestu metrów, zakończona masywną, półokrągłą ścianą rdzenia reaktora, otoczonego pierścieniem chłodzącym, przy którym biegły dziesiątki drabinek i podestów. Rudnick pracował w bazie wystarczająco długo, aby wiedzieć co nieco o zasadach działania reaktora. Poznawał po znacznej liczbie leżących na zewnątrz elementów, że reaktor pracował z minimalną mocą. Strażnik podniósł wzrok i zobaczył podnośnik prętów paliwowych, zawieszony na szynie pod sufitem. Podnośnik znajdował się daleko od swego zwykłego położenia, był wysunięty prawie na środek magazynu.

Pusta, stumetrowa przestrzeń dzieląca ich od najbliższego podestu stanowiła poważny problem. Najpierw trzeba będzie pokonać całą tę odległość, a potem jeszcze wspiąć się po drabince. Rudnick na chwilę zgiął się w pół, usiłując opanować ból żołądka. Mruknął coś pod nosem. Możliwe, że jest umierający, ale nie zamierza popełniać samobójstwa, usiłując się tędy przedrzeć. Wychylił głowę jeszcze odrobinę. Kilkanaście metrów dalej, prawie na samym środku magazynu, stał drugi wózek. Był tak samo oddalony od przeciwległej ściany, ale mógł się przydać. Rudnick usiadł z powrotem, przygryzając wargi, aby stłumić agonalny jęk, kiedy jego roztrzaskana ręka niechcący uderzyła w kolano

Batemana. Czyżby jego ciało zawiodło go właśnie wtedy, gdy było najbardziej potrzebne?

- Chcesz zaryzykować? - wyszeptał, krzywiąc się z bólu.

- Czemu nie? - odparł Bateman. Kiedy się uśmiechnął, skóra napięta mu się na twarzy i Rudnick zobaczył pod nią zarys czaszki.

- W porządku - powiedział Rudnick. - Jakies piętnaście metrów dalej jest następny wózek na paliwo. Chcę, żebyś podbiegł do niego, robiąc jak najwięcej hałasu. Zobaczmy, czy uda nam się przyciągnąć uwagę sukinsyna. Ja w tym czasie pobiegnę do drabinki. Okay?

Bateman pokiwał głową.

- Jasne - odparł.

- Doskonale - powiedział Rudnick. - Liczę do trzech.

Kiedy skończył odliczać, Bateman drgnął, zerwał się na nogi i pobiegł w stronę drugiego wózka szybkim, chwiejnym krokiem, jak najmocniej uderzając gumowymi podszwami o podłogę. Rudnick popędził w stronę ściany reaktora, czując, jak jego żołądek się buntuje. Kątem oka dostrzegł bladą twarz Snydera wychylającą się z wiszącego w górze podestu i zaraz potem w olbrzymiej hali rozległo się ogłuszające echo wystrzału. Rudnick pochylił głowę i gwałt przed siebie niczym nacierający byk, w każdej chwili spodziewając się rozdzierającego uderzenia kuli. Z góry dobiegł odgłos kolejnego strzału, zaraz potem trzeci i czwarty. Po chwili odpowiedział im wystrzał z dołu. Bateman.

Rudnick dotarł do drabinki i wyciągnął się pod nią, dysząc ciężko. Wiedział, że strzały Batemana poszły na marne, że jego strzelba nie miała wystarczającego zasięgu, aby trafić Snydera. Jednak trzeba przyznać, że Bateman spisał się doskonale.

Rudnick popatrzył w górę poprzez rusztowania. Drabinka była przytwierdzona do ściany żelaznymi kątownikami. Gdyby idąc w górę, trzymał się jak najbliżej ściany, Snyder nie byłby w stanie go zauważyć. Wyczołgał się spod drabinki i zaczął wchodzić. Kiedy pokonywał ostrożnie kolejne stopnie, poczuł wibrację pod stopami. Zmarszczył czoło, zastanawiając się, czy reaktor rzeczywiście chodzi z minimalną mocą. Jeszcze nigdy nie czuł tu takich drgań. Po chwili odsunął od siebie tę myśl i skupił się na wspinaczce.

Kiedy fala dotarła w końcu do granic bazy atomowej, jej wysokość zmalała do szesnastu metrów, a prędkość do osiemdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę. Jednak energia, utracona wraz z prędkością i wysokością, została skompensowana przez zwiększoną masę płynącej wody.

Fala rozlewała się po równinie niczym huragan, jej podstawa zaś wrzynąła się w piaszczystą glebę jak olbrzymi hebel, docierając aż do skalnego podłoża. Ciśnienie wyrывało z ziemi potężne głazy, a ziemia falowała niczym chorągiew na wietrze.

Tysiące stalowych beczek zakopanych tuż pod powierzchnią zostało wydartych ze swojej płytkiej mogiły i wpadło w gęstą zupę szczątków zebranych przez falę na dystansie tysiąca dwustu kilometrów przebytych od zapory w Mica. Większość beczek, pozbawiona dodatkowych zabezpieczeń, po prostu się rozpadła. Ich niewidoczne trucizny rozpląnęły się w wodzie. Kilkaset z nich zawierało odpady z jednostek chemicznych, więc oprócz silnie skażonych odpadów atomowych, do rzeki przedostało się około dwudziestu ton gazów paraliżujących.

Kiedy woda dotarła na teren starego reaktora, zalała labirynt zbiorników, które Kane otoczył wałem. Wał wytrzymał jakieś dziesięć sekund, potem zawalił się. Wiele zbiorników zbudowano w okresie kryzysu, na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych; były one wykonane z pojedynczych stalowych ścian. Często nawet nie miały dna, gdyż konstruktorzy uznali, że skalne podłoże stanowi wystarczające zabezpieczenie.

Zbiorniki zostały podmyte wściekłym prądem wody i wyrwane z fundamentów. Ich ściany rozerwały się, a wewnętrzne przegrody powyginały i pękły pod naporem fali. Dwa miliony litrów odpadów porwała powódź.

W końcu fala sięgnęła do ogrodzenia, przez które wcześniej przedarli się Snyder, Bateman i Paula St. George. Woda przełała się przez bramę, wyginając szyny kolejowe, i runęła na opuszczone budynki. Spienione czoło fali podcięło wysokie wieże chłodzące, które niegdyś służyły starym reaktorom, wyrwało je z fundamentów i pochłonęło w okamgnieniu. Wreszcie fala dotarła do budynku administracyjnego, obróciła go w gruzy i ruszyła w stronę reaktora.

Zewnętrzna powłoka reaktora termojądrowego w Richland została tak zbudowana, aby wytrzymać odpowiednik eksplozji pięciu tysięcy kilogramów trotylu. Konstruktorzy zapewniali, że powłoka wewnętrzna jest w stanie wytrzymać uderzenie czterokrotnie silniejsze.

Potężna ściana wody i szczątków składowiska przetoczyła się nad wałami ochronnymi i z dziką siłą uderzyła w blok reaktora, wstrząsając całym magazynem paliw oraz rdzeniem instalacji.

Rudnick był w połowie drogi na podest, kiedy nastąpiło uderzenie. Ześlizgnął się z drabinki, lecz ręka uwięzła mu pomiędzy szczeblami. Nieznośny ból natychmiast przeszył mu ramię; mężczyzna krzyknął, groteskowo wykrzywiając usta i obnażając zaciśnięte zęby. Przewrócił oczami, aż spod powiek widać było same białka. Rewolwer wypadł mu z ręki i potoczył się w dół; hałas upadku został zagłuszony przez huk trzęsącego się reaktora.

Na środku magazynu, pod wysokim jak w katedrze sufitem, szyna podtrzymująca podnośnik oberwała się na jednym końcu i wykrzywiła ze zgrzytem. Ważący piętnaście ton podnośnik wyskoczył z szyny i spadł szerokim łukiem, miażdżąc kompletnie wózek, za którym siedział Bateman. Jedno z ramion podnośnika rozwarło się w agonii i uderzyło Batemana w klatkę piersiową, wgniatając żebra w serce i płuca.

Rudnick wciąż jeszcze wisiał na drabinie, zahaczywszy o nią zmiażdżoną ręką. Nigdzie nie było śladu Snydera, lecz ze zgięcia rury, przy której stał, dochodziło teraz donośne, piskliwe syczenie.

Fala ustąpiła.

Mężczyzna w pontonie obserwował plażę odległą o półtora kilometra. Przez silną lornetkę widział bardzo dokładnie każdego z nudystów, wśród których ukryci byli dwaj policjanci. Człowiek z pontonu prawie natychmiast rozpoznał ich po kolorze skóry i widocznym zakłopotaniu. Zauważył też, że jeden z nich potajemnie rozmawia przez krótkofalówkę.

Odłożył lornetkę i popatrzył na zegarek. Trzecia pięćdziesiąt. Minęła prawie godzina od przewidzianego czasu spotkania. Mężczyzna zapalił papierosa, potem znów wziął

lornetkę i obserwował plażę. Uśmiechnął się. Jeden z policjantów wstał i szedł w stronę wieżyczki strzelniczej, pilnując, żeby nie gapić się na dziesiątki leżących na plaży kobiet. W końcu dotarł do wieży i zniknął w jej cieniu. Po kilku sekundach pojawił się znowu i poszedł do swojego kolegi. Sprawdził drzwi, pomyślał człowiek w pontonie. To już niedługo.

W wieżycze Dennis Penpraze nadal siedział na miejscu strzelca. Wciąż był rok 1943, a zza horyzontu wyłaniała się japońska flota. Jediną osobą mogącą ocalić bezbronných mieszkańców był Dennis.

- A masz! A masz! - szeptał, trafiając i posyłając na dno kolejne okręty.

Centrum dowodzenia miało trzynaście metrów po przekątnej. Znajdowało się na ostatnim piętrze Awaryjnego Centrum Planowania, sąsiadując z wydziałem telekomunikacji, w którym stukot dalekopisów nieustannie towarzyszył głosom trzydziestoletnich ochotników obsługujących telefony, radiostacje i bazy danych. Jednak w doskonale wyciszonym centrum dowodzenia nie było słychać tego gwaru, skąpe oświetlenie zaś przywodziło na myśl wnętrze grobowca.

Boczna ściana mniejszego z pomieszczeń była prawie w całości zajęta przez olbrzymią mapę topograficzną północno-zachodnich stanów: Waszyngtonu, Oregonu, Idaho oraz części Montany, Nevady i Kalifornii. Z sufitu można było opuszczać rozmaite folie, nanosząc na mapę różnorodne informacje. Obecnie opuszczono tę, która przedstawiała Kolumbię i położone wzdłuż niej zapory. Cała folia była pokryta liczbami i zapiškami. Ciemnozielona linia wskazywała zasięg powodzi. Mapa była oświetlona od dołu rzędem punktowych lampek.

Na niewielkim podwyższeniu przed mapą stał nieduży stół z mikrofonem. Przy stole, twarzą do pokoju, siedział doktor Sloane Wilson, regionalny dyrektor Centrum; po jego lewej - gubernator Waszyngtonu, Cullen, a po prawej - gubernator Oregonu, Blake.

Trzy metry dalej znajdował się drugi stół, znacznie większy, łagodnie zakrzywiony od strony mapy. Nad stołem nie było oświetlenia, lecz każde z miejsc dysponowało osobną lampką. Jonathan Kane zajmował centralne miejsce, dokładnie naprzeciwko mapy i stoła dyrektora.

Po jego lewej siedzieli: Robert Simm, naczelnik policji w Portland, kapitan David Caldecott z policji stanu Waszyngton, kapitan Andrew Hancock z policji stanu Oregon oraz pułkownik Mark Lhotsky z oregońskiej gwardii narodowej.

Na prawo od Kane'a zajęli miejsca: Julius Delhay, burmistrz Portland, Owen Melfort, burmistrz Vancouver w stanie Waszyngton, doktor Duncan McFadden, dyrektor szpitala miejskiego w Portland, oraz doktor Allen Brewster z tutejszego Czerwonego Krzyża.

W części technicznej, oddzielonej szerokim pulpitem, siedział Canterra, technicy nagrywający posiedzenie oraz agenci rządowi chroniący dwoje gubernatorów.

Od prawie godziny zebrani dyskutowali nad tysiącem spraw wymagających natychmiastowej decyzji. Od czasu do czasu pracownik wydziału telekomunikacji wchodził po cichu do sali i nanosił poprawki na mapę wiszącą za stołem dyrektora. Poprawki te uwzględniały najświeższe informacje otrzymywane z satelity meteo; linia wyznaczająca zasięg powodzi była nieustannie przesuwana coraz dalej. W tej chwili znajdowała się tuż poniżej Richland.

Kane wpadał w coraz większe zdenerwowanie, wysłuchując długich i szczegółowych raportów odczytywanych przez zebranych urzędników. Jak dotąd zdążyli się wypowiedzieć: przedstawiciel Czerwonego Krzyża, dyrektor szpitala obawiający się o ewakuację pacjentów oddziału intensywnej terapii oraz dwóch burmistrzów. Dyrektor na razie nie udzielał głosu Kane'owi, chcąc najpierw wysłuchać naczelnika policji, Simma.

- Przebieg akcji wymyka nam się z rąk - powiedział Simm. - Moi ludzie ciągle donoszą o dziwnych incydentach. Wszędzie panuje chaos. Może dojść do zamieszek.

- Otrzymał pan prawo do użycia wszystkich możliwych sił, prawda? - zapytał doktor Wilson.

Simm odburknął:

- To niczego nie zmienia! - Popatrzył posępnie po zebranych. - Ludzie nie chcą przestrzegać nakazu pozostawiania samochodów. Jeden z moich funkcjonariuszy został zastrzelony przez kierowcę chcącego jechać na wschód. Na wschód! To szaleństwo!

- Zgadzam się, że sytuacja nie jest normalna - wtrąciła Gloria Cullen, siedząca obok Wilsona. - Jednak musimy być przygotowani na takie wypadki. Ludzie są silnie zestresowani, więc mogą zachowywać się irracjonalnie. Najważniejsze jest to, że oprócz kilku odosobnionych przypadków, ewakuacja przebiega wyjątkowo sprawnie. Myślę, że musimy pogodzić się z tym stanem rzeczy. Być może straci pan kilku ludzi, ale dzięki temu uratujemy życie tysiącom mieszkańców.

- Wielkie dzięki - mruknął Simm.

Siedzący obok Kane'a otyły burmistrz dorzucił swoje:

- Oczywiście, zwłaszcza że pół miasta stoi w płomieniach.

Wilson usłyszał to.

- Panie burmistrzu Delhay, został pan już poinformowany o środkach, jakie podjęliśmy w celu ograniczenia liczby pożarów. Samoloty gaśnicze służb leśnych mają się tu zjawić w ciągu godziny. Mogą pobierać wodę bezpośrednio z rzeki. Dopóki nie przylecą, nie możemy nic zrobić. - Odwrócił się od Delhaya i zwrócił do Kane'a: - Wszyscy już przedstawili swoje zdanie, panie Kane. Teraz pańska kolej. Najlepsze - a może najgorsze - na koniec. Myślę, że wszyscy chcielibyśmy poznać pańskie zdanie. - Ludzie po obu stronach stołu pokiwali głowami.

- To, co mam do powiedzenia, z pewnością wam się nie spodoba - zaczął nieśmiało Kane.

- Nie chodzi o to, żeby nam się podobało - stwierdził gubernator Blake, poprawiając druciane okulary na pokaznym nosie. - Największe miasto w moim stanie może zostać zalane przez falę, która prawdopodobnie zawiera substancje radioaktywne. Wolę znać najgorszą ewentualność jak najwcześniej. Może uda się ocalić tysiące ludzi.

Kane pochylił się do przodu, próbując uporządkować myśli. Zaczął mówić powoli, upraszczając techniczne szczegóły, aby każdy mógł zrozumieć, stopniowo wtajemniczając słuchaczy w swój pomysł.

- Panowie, pani Cullen, znaleźliśmy się w trudnej sytuacji. Woda zapewne dotarła już do bazy w Richland i moim zdaniem nie ulega wątpliwości, że część, o ile nie całość składowanych tam odpadów przedostała się już do rzeki...

...Jak widzicie na mapie, dolina Kolumbii w pobliżu Richland przechodzi w płaską równinę. Gdyby doszło wyłącznie do zaważenia się zapory w Grand Coulee, sytuacja

byłaby znacznie mniej groźna niż obecnie. Woda spiętrzona przez tę tamę spowodowałaby wiele szkód, lecz szybko straciłaby swoją energię. Tymczasem mamy do czynienia z wodą spiętrzoną w więcej niż jednym zbiorniku. Jak dotąd zawałiło się osiem zapór, a każda z nich spowodowała zwiększenie ilości płynącej wody. Osiem zapór, osiem zbiorników. Zgromadzona w nich woda to odpowiednik rocznych opadów śniegu i deszczu na obszarze siedmiu pasm górskich w czterech stanach dwóch krajów, obszarze większym niż Francja. Konkretnie wynosi to około czterystu tysięcy kilometrów kwadratowych. Jest to niewyobrażalna masa wody...

...W dolinie rzeki pozostały tylko cztery tamy. McNarry, bardzo niska, wznosząca się na niecałe siedemdziesiąt metrów. Następnie John Day, bardzo podobna. Dalej są Dalles i Bonneville, obie położone w Górach Kaskadowych. Żadna z tych zapór nie stanowi większej przeszkody dla fali powodziowej.

- Jest pan pewien, że się zawałą? - zapytał Wilson.

Kane rozłożył ręce.

- Bylibyśmy naiwni, sądząc inaczej, doktorze Wilson - odparł. - Nawet jeśli zapory nie zostaną całkowicie przerwane, fala przeleje się przez nie, co będzie równie niebezpieczne. Proszę spojrzeć na mapę. Widzą państwo miejsce, w którym rzeka zakręca na zachód, w stronę Gór Kaskadowych? To jest kotlina Wallula. Od tego miejsca rzeka ponownie się zwęża, im dalej, tym bardziej. W miejscu, w którym zaczyna się Kanion Kolumbii, jej szerokość wynosi niecałe dwieście metrów. W niektórych miejscach jest jeszcze mniejsza. Im węższy kanion, tym szybciej fala przepływa i tym większą osiąga wysokość. Zapory tego nie wytrzymają. Możemy być tego pewni. A to oznacza, że będziemy mieli radioaktywną wodę w Portland i poniżej.

- Mówiąc „poniżej”, ma pan na myśli Ocean Spokojny? - spytała Gloria Cullen.

Kane pokiwał głową.

- Tak. Nie jestem oceanografem, ale wiem, że prądy na Pacyfiku rozchodzą się przy ujściu Kolumbii na południe i na północ. To oznacza skażenie wybrzeża Kolumbii Brytyjskiej i Alaski oraz dotkliwie zniszczenia na zachodzie Kalifornii, w San Francisco, Los Angeles, San Diego, a nawet dalej. Bez tego mamy wystarczająco wiele zmartwień. -

Kane mówił pochylony do przodu, żywo gestykułując rękami oświetlonymi lampką, patrząc z uwagą na słuchaczy. Kiedy zamilkł, w pomieszczeniu panowała kompletna cisza.

- A więc - powiedział głosem drżącym z emocji - praktycznie cały system zapór na Kolumbii uległ zniszczeniu. Oznacza to utratę jednej trzeciej energii hydroelektrycznej w całych Stanach. Prawie wszystkie fabryki aluminium w kraju są, a raczej były usytuowane nad Kolumbią. Jest to już największa katastrofa, jaką nasz kraj kiedykolwiek przeżył. Jeśli czegoś nie zrobimy, półmilionowe miasto zostanie napromieniowane i nie będzie się nadawało do zamieszkania przez najbliższe kilka wieków. Setki tysięcy ewakuowanych pozostaną bez dachu nad głową. Bóg jeden wie, ile osób zginie. Proszę państwa, powódź musi zostać powstrzymana. Koniecznie. W tej chwili.

- Ma pan jakiś pomysł? - spytała oschle Gloria Cullen.

Kane popatrzył na nią z powagą.

- Tak. Mam. I jak już mówiłem, nie spodoba wam się to, co mam do powiedzenia.

- Może zechce pan przedstawić nam swój pomysł? - poprosiła łagodnie Cullen.

Kane poczuł na sobie spojrzenia wszystkich obecnych. Wziął głęboki oddech i zaczął powoli:

- W głębi Kanionu Kolumbii jest pewne miejsce, zwane Castle Rock, zaraz za przedmieściami Bonneville. Znajduje się tam wielki blok bazaltu, oddzielony od pobliskiej góry. Jest to wielka skała, wysoka na prawie trzysta metrów, a długa na niewiele ponad trzy czwarte kilometra. Cały rejon jest dość niestabilny geologicznie, leży tam sporo luźnych głazów. - Kane przerwał, zbierając odwagę na powiedzenie reszty.

- Co ma wspólnego Castle Rock z naszym problemem, panie Kane? - zapytała zniecierpliwiona Gloria Cullen.

- Chcę wykorzystać tę skałę do powstrzymania powodzi. Chcę z niej utworzyć nową zaporę, tak wielką, że nawet takich rozmiarów fala nie zdoła się przez nią przedrzeć. Mogę tego dokonać, przewracając Castle Rock.

- A w jaki sposób zamierza pan tego dokonać, panie Kane? - zapytał gubernator Blake, spoglądając na niego sceptycznie.

- Taktyczny ładunek termojądrowy małego zasięgu, o sile dziesięciu do dwudziestu kiloton, musi zostać zrzucony pomiędzy skałę a sąsiednią górę. Chcę spuścić bombę atomową.

Część 3

KANION

Rozdział 17

4 lipca

16.00 czasu zachodnioamerykańskiego

19.00 czasu wschodnioamerykańskiego

Delikatny, lecz uporczywy odgłos kapiącej wody wdzierał się stopniowo do nieprzytomnego umysłu Rudnicka. Mężczyzna zamrugał powiekami i usłyszał własny świszczący oddech. Otworzył oczy i zorientował się, że wciąż jest na żelaznej drabince, a policzkiem opiera się na jednym ze szczebli. Począł, aż jego wzrok utkwniony w podłodze wyostriży się. Pod nim było pełno wody. Zmarszczył czoło. To niemożliwe. Otrząsnąwszy się z resztek omdlenia, podciągnął się w górę i oparł plecami o ścianę reaktora.

Ostrożnie wyciągnął rękę spomiędzy żelaznych rusztowań, w których utknęła. Tkanina wokół starych blizn była porozrywana i krwawiła. Powinien odczuwać straszliwy ból, lecz nie czuł nic; ręka była kompletnie pozbawiona czucia. Po chwili zorientował się, że ból żołądka również ustąpił. Uniósł zdrową rękę do czoła. Było zimne i wilgotne.

Szok. Jestem w szoku, pomyślał. W jego uszach rozlegało się teraz donośne brzęczenie, podobne do śpiewu cykad w gorący letni dzień. Potrząsnął głową, lecz dźwięk pozostał. Kiedy rozejrzał się po przestronnej hali, obraz zaczął mu pływać przed oczami i Rudnick doznał przyprawiającego o mdłości zawrotu głowy. Zamknął oczy, po chwili spróbował jeszcze raz. Poszło lepiej, chociaż wciąż widział niewyraźnie, a kiedy zbyt szybko poruszył oczami, obraz się rozdwaiał.

To nie był sen. Podłoga rzeczywiście była zalana wodą. Porywisty strumień wypływał z otwartej komory próżniowej. Woda miała około dziesięciu centymetrów głębokości. Rudnick obrócił głowę. Bateman leżał twarzą do ziemi, wśród szczątków wózka i podnośnika. Woda przykrywała go do połowy, a jedno ramię pływało swobodnie, niesione zmiennymi prądami. Wyglądał, jakby machał ręką.

Szczęściarz, pomyślał Rudnick. Jeszcze raz popatrzył na Batemana leżącego w wodzie. Wyglądał tak spokojnie. Rudnick też pragnął spokoju; czuł, że jego ciało i dusza kurczą się pod naporem smutku i zmęczenia. Dobrze byłoby mieć już wszystko za sobą, nie tracić więcej czasu. Już niedługo, pomyślał. Już niedługo.

Popatrzył wzdłuż drabinki na podest wiszący w górze. To jeszcze nie koniec. Wciąż ma pewną sprawę do załatwienia. Zebrawszy resztki sił, zaczął się wspinać, szczebel po szczeblu, aż pod sam dach bloku reaktora.

Prezydent stał samotnie w Gabinetcie Ovalnym, opierając stopy na głowie orła wyszytego na dywanie. Ręce wcisnął głęboko w kieszenie spodni i wpatrywał się w czerwony aparat telefoniczny stojący na biurku.

Gorąca linia do piekła, pomyślał.

Argumenty przedstawione przez gubernatorów Cullen i Blake'a były przekonujące - przynajmniej dla prezydenta, jeśli nie dla jego doradców. Ten Kane twierdził, że nie ma innego rozwiązania.

Rozmowa prezydenta z gubernator Cullen była zwięzła i rzeczowa.

- Panie prezydencie, albo udzielimy panu Kane'owi wsparcia, albo powódź spowoduje napromieniowanie Portland, a później całego Oceanu Spokojnego. Wolę nie myśleć o tym, co zrobiliby Chińczycy i Sowieci, gdyby któregoś ranka zobaczyli na swoich plażach Pacyfiku miliony martwych ryb. Powódź niesie ze sobą wystarczającą ilość odpadów, aby na najbliższe dziesięć milionów lat zmienić cały Ocean Spokojny w morze truczyny.

- Cholera jasna! - powiedział prezydent Stanów Zjednoczonych. Przeszedł przez gabinet i podniósł słuchawkę czerwonego telefonu. Chwilę później rozmawiał już z generałem Hartingtonem z bazy lotniczej w Merton.

Samochód zatrzymał się na skrzyżowaniu Broadway i Szesnastej Północno-wschodniej. Dalej droga była wypełniona gęstym tłumem ludzi, usiłujących przedostać się na jeden z mostów na rzece Willamette, położonych trzy kilometry dalej, a prowadzących do bezpiecznych przedmieść na wzgórzach.

Jakimś cudem Bonner, jego koledzy i Charlene Daly zdołali uniknąć kolejnych kontaktów z miejscową policją, przedzierając się przez miasto bocznymi drogami, przez co znacznie oddalili się od miejsca przeznaczenia. Teraz nie mieli już dokąd jechać.

Kilka dzielnic, przez które dopiero co przejechali, stało w płomieniach. Pożary objęły prawie całą południową i północną część miasta. Na kilku ostatnich przecznicach wszystkie domy były opuszczone, a na ulicach zostały jedynie porzucone samochody. Jeśli ktokolwiek pozostał na miejscu, wkrótce musiał paść ofiarą błyskawicznie rozprzestrzeniającego się pożaru. Nikt nie płądrował pustych mieszkań; wszyscy uciekali w zbyt wielkim pośpiechu.

- Co teraz? - zapytał Lachlan, wrzucając jałowy bieg i odwracając się do Bonnera.

Murzyn popatrzył przez szybę na kłębiący się tłum ludzi po drugiej stronie skrzyżowania. Byli stłoczeni jak sardynki, deptali sobie wzajemnie po nogach, przy każdym kroku posuwając się na zachód zaledwie o kilka centymetrów.

- Chyba będziemy musieli iść pieszo - odparł Bonner po chwili.

- A co z nią? - spytał Lachlan, wskazując kciukiem na Chucka.

- Wyeliminować - zaproponował Hobbs, siedzący obok niej.

Chuck zadrżała, kiedy to powiedział. Strach zaczął ją paraliżować, uniemożliwiał oddychanie. Zakręciło jej się w głowie i była pewna, że zaraz zemdleje.

- Zgadzam się - powiedział Bonner oschle. Obrócił się na siedzeniu i wyjrzał przez boczną szybę. - Weź ją tam - powiedział do Hobbsa, wskazując zaułek pomiędzy warsztatem szewskim a wyjściem z kina.

Chuck powstrzymała chęć spojrzenia tam. Zesztywniała, kiedy pistolet Hobbsa wbił jej się w bok.

- Wysiadaaj, suko - powiedział nerwowo człowiek o okrągłej twarzy. Bonner obrócił się na fotelu i zwolnił zamek drzwi. Chwycił za klamkę i otworzył je szeroko. - Wysiadaaj! - powiedział, patrząc na Chuck, najwyraźniej obawiając się, że dziewczyna coś knuje. - Rusz dupę!

Chuck wpatrywała się w niego, usiłując zebrać ślinę w zaschniętym gardle. Splunęła mu w twarz. Zignorował to i skinął na Hobbsa, który mocniej przycisnął pistolet.

- No już! - powiedział.

Chuck zrobiła, co jej kazano. Przesunęła się na siedzeniu, a Hobbs tuż za nią, trzymając broń przed sobą.

Chuck wykonała ruch, kiedy Hobbs wysiadał z samochodu. Chwyciła drzwiczki i trzasnęła nimi z całej siły, przycinając mężczyźnie nadgarstek. Pistolet wypadł z ręki i Hobbs zaczął krzyżeć. Chuck pochyliła się i zaczęła biec. Piskliwy wrzask Hobbsa dźwięczał jej w uszach. Pobieęła tą samą drogą, którą przyjechali, uważając, żeby samochody stojące wzdłuż krawężnika zasłaniały ją przed porywaczami.

Zanim Bonner i Lachlan wysiedli z samochodu, zdążyła przebiec pół przecznicy. Kilka sekund później dotarła do Siedemnastej i skręciła na północ.

Na końcu pasa startowego numer 9 na lotnisku międzynarodowym w Portland Kane patrzył z wnętrza niewielkiego baraku technicznego, jak dwaj technicy z bazy morskiej Bremerton w Seattle mocują podłużny, cylindryczny ładunek do masywnego kadłuba F-111. Za jego plecami siedział Dzik Bill Canterra, pochylając się nad zestawem map przedstawiających trasę przelotu przez Góry Kaskadowe.

Prezydent skontaktował się najpierw z Merton, macierzystą bazą Canterry, lecz większość tamtejszych samolotów była wyposażona w bomby o wiele za silne dla potrzeb Kane'a. Najbliższy magazyn małych ładunków taktycznych znajdował się w eskadrze morskiej Bremerton na równinie Puget. Prezydent zadzwonił tam i dwadzieścia minut później bomba atomowa o sile dwudziestu kiloton, uzbrojona i ustawiona na eksplozję w chwili uderzenia, była już w drodze do Portland.

- Jak nisko chce pan z tym zejść? - zapytał Canterra zza stolika.

Kane odwrócił się od okna i przeszedł przez niewielki barak. Popatrzył na niezrozumiałe linie na mapach.

- Tak nisko, jak to możliwe. Dwieście metrów?

- Cholera! - mruknął pilot. - Zawsze próbuje pan dokonać cudu, panie Kane?

- Czy to się da zrobić?

- Tak, jasne. Wszystko da się zrobić - odparł Canterra, przeciągając się. - Przeleciemy nad górami i wrócimy wzdłuż kanionu. Najpierw podejźmy od wschodu.

- Dlaczego wybierzemy okrężną drogę? - zapytał Kane. - Nie możemy polecieć prosto i od razu podejść od zachodu?

Canterra pokiwał głową.

- Pewnie, jeśli chce pan popełnić samobójstwo, nie ma sprawy. Powiem szczerze, panie Kane, nie mam doświadczenia w lataniu wąskimi kanionami. Mam dobry samolot, ale to nie jest P-38. Wszystko jedno, z której strony podejźmy. I tak będziemy musieli

najpierw wytracić prędkość i wysokość. Nie zamierzam spaść z nieba z pełną prędkością prosto do kanionu, którego nigdy przedtem nie widziałem. Poza tym różnica w czasie i tak będzie minimalna. Pięć, najwyżej dziesięć minut. - W porządku - powiedział Kane. - A zatem do dzieła.

Zanim czarny bombowiec o spiczastym nosie oderwał się od pasa startowego w Portland, fala dosięgła i zniszczyła zapory w McNarry i John Day; teraz przesuwała się na zachód wzdłuż jeziora Dalles, w kierunku purpurowej linii Gór Kaskadowych wznoszących się na horyzoncie. Za czołem fali rozpościerał się teren zniszczeń i śmierci, długi na ponad tysiąc dwieście kilometrów.

Kiedy zapory zawały się, a umieszczone w nich generatory zostały odcięte od północno-zachodniej sieci energetycznej, skutki katastrofy zaczęły obejmować coraz większy obszar. Koła ruletek w Las Vegas zatrzymały się; tancerki występujące na piętrze kasyina Circus-Circus nagle znalazły się w zupełnych ciemnościach.

W Los Angeles zwarcie spowodowane nagłym spadkiem mocy sprawiło, że na wszystkich ulicznych sygnalizatorach w mieście zapaliło się zielone światło. Zanim awarię usunięto, doszło do ponad półtora tysiąca wypadków. Mniej więcej w tym samym czasie zgasły ekrany radarów na lotnisku międzynarodowym. W trakcie trwającej dziewięćdziesiąt sekund przerwy pomiędzy zanikiem mocy a włączeniem awaryjnych generatorów doszło w powietrzu do dwóch kolizji, w których uczestniczyło siedem samolotów pasażerskich. Kiedy ich szczątki spadły na pas startowy, zamknięto lotnisko.

W Seattle, San Francisco, Sacramento i San Diego zabrakło prądu; musiano zamknąć wszystkie fabryki, których praca zależała od dostaw energii. Wstrzymano też dostawę gazu ziemnego, gdyż główne rurociągi zostały przerwane, kiedy zaważyła się zaporą w Grand Coulee.

Telekomunikacja zaczęła nawalać, gdy powódź zalała centrale telefoniczne, a olbrzymia liczba mieszkańców Idaho, Waszyngtonu, Oregonu i północnej części Kalifornii zaczęła gorączkowo wydzwaniać do krewnych z rejonu katastrofy. O godzinie szesnastej trzydziści na całym zachodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych panował straszliwy chaos. Zginęło ćwierć miliona ludzi.

Na wschodnim wybrzeżu był to czas największej oglądalności telewizji; wszystkie programy zostały przerwane, aby nadać przerażające wiadomości z zachodu. Przez satelitarne łącza płynęły setki sprawozdań.

O godzinie szesnastej czterdziści pięć czasu zachodnioamerykańskiego fala powodziowa znajdowała się w odległości trzydziestu kilometrów od zapory w Dalles. Nieustannie zwiększała prędkość i wysokość, przeciskając się przez doliny Gór Kaskadowych jedyną możliwą drogą: ciasnym Kanionem Kolumbii.

Rozdział 18

4 lipca

16.45 czasu zachodnioamerykańskiego

19.45 czasu wschodnioamerykańskiego

Mężczyzna w pontonie patrzył przez lornetkę, jak dwaj rozebrani policjanci przeciśkają się spieszenie przez tłum nudystów, wymachując odznakami. Przesunął szkła, kierując je w miejsce, gdzie wchodziło się na plażę ze stromego urwiska. Co najmniej dwudziestu ciężko uzbrojonych policjantów czekało w cieniu wielkich cedrów rosnących wzdłuż ścieżki. Niektórzy z nich najwyraźniej mieli na sobie kamizelki kuloodporne.

- Ekipa saperów - powiedział mężczyzna w pontonie, chociaż w pobliżu nie było żadnego słuchacza. Patrzył dalej. W ciągu pięciu minut usunięto wszystkich plażowiczów i zgromadzono ich w zakątku plaży, oddalonym od wieżyczki strzelniczej o trzysta metrów. Ludzie schodzący z urwiska zaczęli czołgać się w stronę wieży, uważając, żeby nie było ich widać z okien. Zajęli pozycje na tyłach budowli, w pobliżu żelaznych drzwi, i czekali, aż dwaj mężczyźni, uzbrojeni w miotacze gazu łzawiącego i ubrani w ochronne, pleksiglasowe kamizelki i hełmy, zbliżą się do wieży. Mężczyźni ci przyszedli brzegiem morza z podniesioną bronią. Kiedy zbliżyli się wystarczająco, przystanęli i wystrzelili jednocześnie.

Człowiek w pontonie zobaczył białe opary wydobywające się z miotaczy gazu. Po chwili usłyszał stłumione bulgotanie. Kiedy bromek benzolu zaczął wydobywać się ze szczeliny strzelniczej, mężczyzna w pontonie schylił się i nacisnął przycisk „aktywacja” w leżącym obok nadajniku.

Dennis Penpraze, który wciąż siedział na fotelu strzelca, został zmiażdżony, a następnie poćwiartowany i zwęglony. Ułamek sekundy po eksplozji pozostał po nim jedynie roztopiony, rozgrzany do białości komplet kluczyków do furgonetki zaparkowanej nad skarżą.

Słup ognia długości dwudziestu pięciu metrów wyskoczył ze szczeliny strzelniczej, pochłaniając dwóch mężczyzn z miotaczami gazu. Trzech innych policjantów zginęło, kiedy eksplozja wyważyła żelazne drzwi i cisnęła je w oczekującą grupę. Wieżyczka strzelnicza przez chwilę chwiała się na fundamentach, potem zatrzymała się w miejscu.

Mężczyzna w pontonie, kiedy dosięgnął go ogłuszający huk eksplozji, wyrzucił lornetkę i nadajnik za burtę, uruchomił silnik i ruszył powoli w drogę powrotną do False Creek. Odplływając, popatrzył jeszcze raz na zegarek.

Była godzina szesnasta pięćdziesiąt jeden.

Rudnick stał na najwyższym szczeblu drabinki, dysząc ciężko. W plataninie kładek i podestów zawieszonych pod sufitem magazynu paliw nie było nikogo. Strażnik rozejrzał się nieprzytomnie, szukając śladu Snydera. Nadał nic.

Podniósł nogę, postawił ją na platformie i przystanąwszy, nasłuchiwał. Żadnych ludzkich odgłosów. Tylko szum wody i nieustanny syk dochodzący z miejsca, gdzie Snyder

ukrywał się za rurą z płynem chłodzącym. Rudnick ruszył wzdłuż wąskiego podestu w stronę wyłożonej azbestem rury; cały czas nasłuchiwał. Syk nie dochodził z wielkiego kanału z ciekłym sodem, lecz z cienkiej rury z parą wodną, biegnącej wzdłuż niego. Rudnick popatrzył na tę rurkę, w końcu zamglonymi oczami dojrzał punkt, z którego wydobywał się przegrzany gaz. Nic dziwnego, że Snyder stąd uciekł, pomyślał strażnik. Nawet z odległości metra para wydawała się nieznośnie gorąca. Ale dokąd on mógł pójść? Rudnick rozejrzał się jeszcze raz po ocienionych podestach, które po lewej stronie znikwały za wiązką rur i przewodów idących do rdzenia reaktora, a po prawej - ciągnęły się przez całą długość olbrzymiej hali. Niczego nie zauważył. Mruknął z niezadowolaniem. Gdyby skurczybyk był gdzieś blisko, dałby już o sobie znać, pomyślał Rudnick.

W pobliżu istniała tylko jedna kryjówka. Rudnick szedł wolno wzdłuż podestu do miejsca, gdzie półokrągła ściana łączyła się z sufitem. Wiedział, że ta ściana pnie się dalej w górę, ponad dachem, tworząc charakterystyczny kształt kopuły reaktora. Gdzieś tu powinno być wyjście na dach, a stamtąd na platformę okalającą blok i sięgającą aż na wierzchołek budowli. Rudnick dotarł do końca kładki pomiędzy ścianą a urządzeniami chłodzącymi i popatrzył w górę. Wyjście na dach znajdowało się bezpośrednio nad jego głową. Prowadziło do niego kilkanaście żelaznych szczebli osadzonych w ścianie reaktora. Strażnik oparł zdrową dłoń na najniższym szczeblu i zastanowił się, czy będzie w stanie przytrzymać się drugą ręką, i czy w ogóle ma dość sił, aby się wspinać. Był tylko jeden sposób, aby się o tym przekonać. Mężczyzna zebrał siły. Kiedy położył drugą rękę na drabince, gdzieś za jego plecami rozległ się znajomy dźwięk. Metaliczny zgrzyt. Odgłos odbezpieczanego rewolweru.

- Hej! Grubasio! - W przestronnej hali rozbrzmiał głos Snydera, odbijając się potężnym echem.

Rudnick puścił drabinkę i odwrócił się.

- Tutaj, świni! - doleciał go pogardliwy głos.

Rudnick spojrział ponad cienką barierką podestu. Głos zdawał się dochodzić z przeciwległego krańca hali. Popatrzył w tamtą stronę, lecz oczy zaszyły mu mgłą i niczego nie dostrzegł. Postąpił kilka kroków naprzód, marszcząc czoło. Dlaczego sukinyń jeszcze nie strzelił?

Rudnick zatrzymał się w połowie kładki. Od przeciwległej ściany dzieliło go jeszcze z siedemdziesiąt metrów. Rozejrzał się ponownie, potrząsając głową. Jego zaciśnięte szczęki drżały lekko, kiedy próbował otrząsnąć się z letargu, który uparcie zaciskał palce na jego mózgu. Kiedy w końcu dojrzał Snydera, poczuł nawet coś w rodzaju ulgi. Młody człowiek wyszedł zza wielkiego wentylatora umieszczonego na ścianie i stanął na podeście, szeroko rozstawiając nogi, przy biodrze trzymając rewolwer wycelowany w Rudnicka.

- Myślałeś, że mnie zmylisz, świni? - zawołał Snyder. - Myślisz, że tak łatwo ci pójdziesz? Nie ma mowy, świni! Nie ma mowy!

Rudnick usłyszał paniczny strach w głosie Snydera. Zaczął się śmiać. Śmiech wydobywał się z obolałego brzucha, bulgotał w zakrwawionej krtani i odbijał się echem od sufitu.

Najwyraźniej rozwścieczyło to Snydera.

- Z czego się, kurwa, śmiejesz? - zapytał piskliwym głosem.
- Z ciebie, ty gnoju! - wykrztusił Rudnick. Zakasłał, zdając sobie sprawę, że pluje krwią. Nie zwracał na to uwagi. - Ty cholerny dupku! Obaj jesteście martwi! Umarliśmy już jakiś czas temu, obaj!
- O czym ty mówisz, do cholery? - krzyknął Snyder. W jego głosie słychać było narastającą panikę.

Rudnick uśmiechnął się. Ciężkim krokiem zaczął iść przed siebie, jedną ręką trzymając się barierki.

- Dupek! - ryknął. Jego głos odbił się echem od ścian. Strażnik szedł dalej, stukając obcasami w stalowy podest. - Dupek! - zawołał jeszcze raz, zanosząc się śmiechem.

Snyder cofnął się, podnosząc ostrzegawczo rewolwer.

- Ani kroku dalej! - krzyknął.

- Dupek! - wołał Rudnick, nie przestając iść. Krzyk najwidoczniej poprawiał mu nastrój, choć tak naprawdę był to krzyk porażki.

- Zamknij się! - wrzasnął Snyder. - Zamknij się! - Cofając się, dotarł do rury z gorącym powietrzem. Twarz połyskiwała mu od potu.

Rudnick wciąż szedł, a każdy jego krok wstrząsał kładką zawieszoną na środku wielkiej hali.

- Dupek! - krzyknął po raz kolejny.

Snyder podniósł rewolwer i popatrzył na muszkę. Pot zalewał mu oczy. Wiedział, że jeśli zabije zbliżającego się mężczyznę, zostanie tu sam. Świadomość tego powstrzymała go od naciśnięcia spustu.

- Dupek! - powtarzał Rudnick, oddalony już o niecałe siedem metrów.

Snyder widział wyraźnie wszystkie szczegóły jego masywnego ciała: napięte mięśnie karku, purpurowe, błyszczące policzki, spierzchnięte usta, łączywie chwytające powietrze, czerwoną pianę na policzku, krwawe plamy na koszuli. Najgorzej wyglądała jego lewa ręka, którą trzymał wyciągniętą przed siebie; trzy powykręcane palce, zroszone w jeden szpon, zdawały się pochodzić z filmu grozy.

Rudnick zatrzymał się w odległości trzech metrów. Uśmiechnął się łagodnie i, nie wiedzieć czemu, odczuł nagły przypływ sympatii.

- Jesteś tchórzem - oznajmił uprzejmie, ze smutkiem w głosie.

Twarz Snydera skryta za rewolwerem napięła się, usta wykrzywiły w dziwny grymas, a policzki zaczęły drżeć w sposób niekontrolowany. Rudnick wyprężył się, prostując kręgosłup.

- DUPEK!

To było ostatnie słowo, jakie wypowiedział. Z dzikim wrzaskiem Snyder nacisnął na spust. Pocisk z rewolweru ugodził Rudnicka w pierś, przebijając serce i rzucając go na barierkę. Przeleciał przez nią, lecz nie zdążył już spaść na podłogę.

Snyder strzelił po raz drugi, ułamek sekundy później. Pocisk nie trafił w ciało Rudnicka, lecz przeszył powietrze obok i uderzył w pokrytą azbestem rurę z cieczą chłodzącą. Ciężki kawałek ołowiu z łatwością przebił się przez izolację i dosięgnął metalu. Rura, osłabiona przez wstrząs, pękła na zgrzewie. Przegrzana ciecz wystrzeliła ze szczeliny i zmieszała się z parą bijącą z dziurawej rurki, powodując potężną eksplozję.

Płyn chłodzący wylał się w okamgnieniu. Dokładnie jedną dwudziestą piątą sekundy później rdzeń reaktora, pozbawiony chłodnicy, przegrzał się i zaczął „odpływać”. Kiedy upłynęło jeszcze ćwierć sekundy, rdzeń osiągnął temperaturę dziesięciu tysięcy stopni Celsjusza i eksplodował.

Wybuch podniósł cały budynek prawie o metr w górę, wyrwijąc go z fundamentów. Kopuła bloku reaktora pękła i wyrzelił z niej słup ognia i pary, wznosząc się w górę na trzysta metrów. Atomy, z których niegdyś składały się ciała Maximiliana Rudnicka i Vincenta Laidlaw Snydera, zmieszały się w potężnym wirze, kiedy siedem i pół tony plutonu zmieniło się w podobną do grzyba chmurę stanowiącą doskonałą imitację eksplozji nuklearnej.

Była godzina szesnasta pięćdziesiąt pięć.

Dziewczyna biegła na oślep przed siebie, przeciskając się między porzuconymi samochodami, uskakując, kiedy szczątki płonących domów spadały na chodnik. Ani razu nie obejrzała się do tyłu, przerażona tym, co mogłaby zobaczyć.

Do tej pory zmuszona była dwukrotnie skręcać, aby ominąć większe pożary, które blokowały jej drogę. Powietrze było coraz gorętsze. Wiedziała, że znalazła się w niebezpiecznym rejonie, ale to nie miało znaczenia. Było to lepsze niż spotkanie z ludźmi, którzy ją ścigali. Wołałaby spłonąć żywcem.

Kiedy tak biegła, czuła ból w płucach, a jej oddech stał się płytki i urywany. Nogi miała jak z waty; z trudem opierała na nich swój ciężar, lecz nie przestawała biec. Wiedziała, że długo tak nie wytrzyma, ale z każdym krokiem powtarzała sobie, że coś musi się wydarzyć, że powinna przebiec jeszcze kawałek.

Ta ucieczka wydawała jej się koszmarnym snem. Wszędzie dokoła budynki stały w płomieniach, z rozżarzonych dachów sypały się iskry. Z hydrantów zniszczonych przez uciekające samochody tryskały potężne fontanny, a woda bezużytecznie spadała z powrotem na chodnik. Mimo wszystko sygnalizacja świetlna nie przestała działać; czerwone, żółte i zielone światła migotały rytmicznie wśród ogólnego chaosu. Kilka razy Chuck dostrzegła ciała ludzi stratowanych przez uciekający tłum.

Biegła dalej, przez Siedemnastą ulicę aż do Shuyler, a potem na wschód, w stronę Hancock. Kilkadziesiąt płonących samochodów na skrzyżowaniu odcięło jej drogę, więc znów zmieniła kierunek. Pobiegła na północ, do Dwudziestej Pierwszej ulicy, potem znów skręciła na wschód w Tillamook. Usiłowała nasłuchiwać głosów swoich oprawców, lecz w uszach miała wyłącznie coraz głośniejszy huk ognia. W końcu, na rogu Tillamook i Dwudziestej Siódmej, zatrzymała się, nie mogąc dalej biec. Odwróciła się z zamartwym sercem, oczekując ataku ścigających ją mężczyzn. Lecz zamiast Lachlana i Bonnera zobaczyła jednolitą ścianę ognia, szeroką na kilka przecznic, wyrzelającą w powietrze olbrzymimi płomieniami, rozgrzewającą asfalt do czerwoności. Kiedy tak patrzyła, z wytrzeszczonymi oczami i otwartymi ustami, budynek oddalony zaledwie o pół przecznicy nagle stanął w płomieniach. Szyby wyleciały z brzękiem i odłamki szkła posypały się na jezdnię. Chuck uskoczyła odruchowo. Stała, wdychając trujące powietrze, kiedy słupy ognia wyrzeliły z pustych otworów okiennych.

Pożar, przesuwał się na wschód z powodu popołudniowej bryzy wiejącej od oddalonego o siedemdziesiąt pięć kilometrów Pacyfiku, zbliżał się do niej w ogromnym tem-

pie. Odwróciła się i znów zaczęła biec. Strach sprawiał, że energiczniej przebiegała nogami. Wiedziała, co się stanie, jeśli się zatrzyma.

Rozejrzała się panicznie na południe i na północ, mijając skrzyżowanie Tillamook i Trzydziestej Pierwszej. Zdała sobie sprawę, że pożar posuwa się szybciej niż ona, że wyprzedza ją po bokach, aby ostatecznie otoczyć ze wszystkich stron. Wiedziała, że musi to nastąpić w ciągu najbliższych minut.

Przecnicę dalej Tillamook kończyła się nagle. Chuck znalazła się na skraju pustego pola, po którego drugiej stronie stał niski budynek jakiejś instytucji. Przystanąła. Przez chwilę wydawało jej się, że śni. Obok budynku stał zaparkowany żółty szkolny autobus. Krótkowłosa kobieta w dżinsach spokojnie wprowadzała kilkadziesiąt dzieci do środka. Chuck pobiegła w stronę autobusu.

Kobieta odwróciła się, usłyszawszy jej kroki, i podniosła ręce, aby ochronić się przez ewentualnym ciosem. Chuck podbiegła do niej i zatrzymała się, drżąc, pochylając się do przodu i opierając dłonie na kolanach. Była na skraju kompletnego wyczerpania. Wzięła kilka głębokich oddechów, potem wyprostowała się. Przed oczami tańczyły jej lśniące plamki. Chciała coś powiedzieć, lecz tamta kobieta ujęła ją za ramię i uciszyła.

- Proszę powoli oddychać - poradziła uspokajająco. - Nazywam się Drover. Molly Drover. Rozumiem, że chce pani uciec z tego piekła.

Była godzina szesnasta pięćdziesiąt siedem.

Przemknęli nad spiczastym, ośnieżonym szczytem Mount Rainier i zaczęli powoli skręcać na wschód. Kane wciąż rozmyślał o bombie umieszczonej w luku za jego plecami. Piloci lotniczych służb specjalnych latali z takimi ładunkami na co dzień, wcale o tym nie myśląc. Trzymali się dawno wyznaczonych szlaków powietrznych; dolatywali olbrzymimi B-52 na skraj niebezpiecznej strefy i wracali do domu, wiedząc, że szanse zrzucenia bomby są minimalne, prawie żadne. Dla nich była to zwyczajna praca.

W jego przypadku było inaczej. Odpowiedzialność spoczywała wyłącznie na nim. Być może nie do końca, bowiem odpowiedzialność polityczną ponosił prezydent wraz z Cullen i Blakiem, lecz Kane wiedział, że on odpowie przed własnym sumieniem. Modlił się, żeby jego decyzja okazała się słuszna. Nalegał na gubernatorów, aby zaakceptowali jego pomysł, a oni z kolei wywarli nacisk na prezydenta. Mimo wszystko Kane'a nadal dręczyły obawy.

Od ponad dwudziestu lat nie przeprowadzano prób nuklearnych na powierzchni ziemi. Wcześniej robiono takie próby, lecz za pomocą prostych ładunków i na terenach stabilnych geologicznie, takich jak pasmo Alamo Gordo. Tym razem wchodziła w grę eksplozja nowoczesnej bomby, rejon zaś był wyjątkowo niestabilny.

Góry Kaskadowe przecinały liczne uskoki. Niektóre z nich nie były aktywne od milionów lat, lecz wiele przejawiało nieustanną działalność. Jeśli którykolwiek z tych sejsmicznie niebezpiecznych obszarów znajdował się w pobliżu miejsca eksplozji, skutki mogły okazać się katastrofalne. Istniała możliwość - wprawdzie niewielka - że wybuch uruchomi reakcję łańcuchową, powodując trzęsienie ziemi wzdłuż całego wybrzeża Pacyfiku. Chociaż uważano, że bomby atomowe mogą być przydatne w zapobieganiu trzęsieniom ziemi, wiadomo było, że równie dobrze mogą je wywoływać. W Kalifornii już od dłuższego czasu spodziewano się poważniejszego trzęsienia ziemi.

To była obosieczna broń. Jeśli nie zrzucą bomby we właściwym miejscu, Kane był pewien, że Portland zostanie napromieniowane i zginą miliony ludzi. Jeśli zrzucą bombę, jest szansa, że jeszcze bardziej pogorszą i tak fatalną sytuację.

Kiedy przelecieli nad postrzępionymi szczytami gór i zaczęli skręcać na wschód, w stronę wzgórz otaczających kotliny Umatilla i Wallula, Kane przestał rozmyślać. Było już za późno na snucie rozważań. Musiał kierować się intuicją, a ta podpowiadała mu, że jedynym sposobem powstrzymania powodzi było zrzucenie bomby i zablokowanie kanionu na zawsze.

Na tablicy przyrządów przed oczami Canterry zaczęła mrugać czerwona lampka. Pilot sięgnął do przełącznika, aby odebrać wiadomość nadaną przez radio. Po chwili znów przekreślił przełącznik i lampka przestała mrugać.

Kane włączył swój hełmofon.

- Co to było?
- Wiadomość z Portland. Sejsmografy właśnie zaczęły szaleć. Przeszedł też raport z jakiegoś miejsca w Idaho... z Idaho Falls?

- Tam się mieści baza, w której są prowadzone próby nuklearne - odparł Kane.
- Tak, właśnie. Oni także odnotowali wstrząsy. W Portland ustalono, że w Richland doszło do eksplozji.

- Nuklearnej?
- Nie - powiedział Canterra. - Mniejszej.
- LOCA - odparł Kane z odrobiną ulgi.
- LOCA? - spytał zdziwiony Canterra. Pilot odwrócił wzrok od przedniej szyby i popatrzył ponad boczną krawędzią kokpitu na coś, co zobaczył w dole.

- Utrata cieczy chłodzącej - wyjaśnił Kane. - Jest to spowodowane przez...

Canterra przerwał mu.

- Później, panie Kane - powiedział, nadal wyglądając przez boczną szybę. - Wydaje mi się, że właśnie zobaczyłem to, czego szukamy. Zejdziemy niżej, żeby przyjrzeć się z bliska. - Odchylił leciutko wolant, jednocześnie zmieniając nieznacznie położenie steru. Samolot zaczął opadać szerokim łukiem w kierunku rzeki.

Parę chwil później lecieli na wysokości siedmiuset metrów. Kiedy żołądek i oczy przyzwyczały mu się do kołyszącego horyzontu, Kane po raz pierwszy spojrzął w dół.

- Mój Boże!

To musiało być żywe. Żaden nieożywiony obiekt nie mógł wyglądać tak przerażająco. Garbaty grzbiet wody ciągnął się przez siedem kilometrów od spienionego czoła fali. Sam w sobie stanowił straszny widok: niekończąca się, skłębiona zielona masa, poprzedzona ścianą białej piany, wgryzała się w ziemię, przyspieszając coraz bardziej w miarę zbliżania się do pobliskich wzgórz.

Fala była nieprawdopodobnie wielka - szeroka na trzy kilometry, wysoka prawie na trzydzieści metrów. Jej rozmiary wydawały się przytłaczające nawet z tej wysokości. Kane patrzył, jak spiętrzona woda nabiera prędkości i przesuwa się w głąb coraz węższego kanionu wydrążonego w skale. Z każdą mijającą sekundą fala sięgała dalej, a jej czoło wznosiło się wyżej, tworząc na początku płaski klin, a potem stopniowo zmieniając się w pionową ścianę, u podnóża której toczyła się piana. W końcu przemiana dobiegła końca. Zwężający się kanion i stromo opadające dno rzeki zmieniły falę z nizin-

nego monstrum w górskiego wojownika, który przedzierał się przez góry wypełniające cały horyzont.

Kiedy fala uderzyła w zaporę Dalles, miała postać wodnej ściany szerokości trzech tysięcy i wysokości stu trzydziestu metrów. Rozbiła wysoką na dziewięćdziesiąt metrów tamę w tym samym momencie, w którym Canterra i Kane nad nią przelatowali. Uderzenie było tak silne, że wibracje powietrza dosięgły samolotu i zatrzęsły siedzącymi w nim ludźmi. W ostatniej chwili, nim minęli falę, Kane zobaczył, jak tama, prawie w całości odrywa się od ziemi i pogrąża w wodzie. Potem odlecieli na zachód, manewrując między wznoszącymi się coraz wyżej górami po obu stronach kanionu. Canterra przymknął przepustnicę i włączył mechanizm rozkładania skrzydeł, aby przywrócić im maksymalną rozpiętość. Obniżyli lot, przemykając nad spokojnymi wodami spiętrzonymi przez zaporę Bonneville, skrytą za górami.

Kane patrzył przed siebie, przerażony, widząc, jak zbliżają się do pionowej ściany. Ostonił twarz rękami, a całe jego ciało drżało; sądził, że za chwilę zginie. Canterra, nie zwracając na niego uwagi, wprowadził ryczący odrzutowiec w wąską szczelinę kanionu, lecąc zaledwie siedemdziesiąt metrów nad wodą. Górskie szczyty zniknęły za krawędzią przepaści, jakby nagle ktoś zasłonił je kurtyną.

Była minuta po siedemnastej.

Zanim reszta dzieci w milczeniu wsiadła do autobusu, szkoła i przylegające do niej boisko zmieniły się w jedno wielkie morze ognia. Ostatnia droga ucieczki przez Trzydziestą Trzecią ulicę została odcięta, kiedy pożar rozprzestrzenił się na północ wzdłuż parku miejskiego.

Chuck wspięła się po stopniach do autobusu, Molly Drover tuż za nią. Krótkowłosa kobieta usiadła na miejscu kierowcy, a obok rozłożyła sobie fotel Chuck. Drover sięgnęła ręką i przyciągnęła do siebie dźwignię zamykającą drzwi. Bliźniacze skrzydła złączyły się z trzaskiem, kobieta zaś przekręciła kluczyk w stacyjce i pociągnęła za umieszczoną w podłodze dźwignienkę rozrusznika. Rozległ się krótki warkot, kiedy silnik zaszkoczył, lecz wkrótce zagłuszył go potężny huk nadchodzącego pożaru.

Molly Drover siłowała się z dźwignią biegów, a Chuck odwróciła się i rozejrzała po autobusie. We wnętrzu długiego, wąskiego pojazdu było już niemiłosiernie gorąco, jednak dzieci znosiły to zaskakująco spokojnie. Wpatrywały się w okna wytrzeszczonymi oczami i żadne z nich nie odzywało się ani słowem. Chuck zmarszczyła brwi. To było dziwne. Widok pełzających płomieni i grubych czarnych kłębow dymu, które zasnuwały prawie całe niebo, sprawiał, że ona sama o mało nie zaczęła krzyczeć z przerażenia.

- Co się stało tym dzieciom? - zapytała, odwracając się do Molly.

Kobieta za kierownicą odwróciła głowę, nadal siłując się z dźwignią biegów.

- Są głuchonieme - powiedziała krótko. - Były na wycieczce. Nauczyciele uciekli, zostawili mnie z nimi samą. Biedactwa. Jacyś policjanci przyszli i powiedzieli mi, że mamy iść na piechotę. Mówiłam im, że to niemożliwe. Poczekalam, aż odjadą, i zaczęłam ładować dzieci do autobusu. Zdaje się, że czekałam zbyt długo. - Naparła całym ciężarem na dźwignię. Rozległ się przeraźliwy zgrzyt i autobus zadrżał. - Nareszcie! - krzyknęła Molly.

- I co teraz? - spytała Chuck. - Którędy pojedziemy?

Molly popatrzyła w stronę Trzydziestej Trzeciej.

- Cóż, najpierw spróbujemy tędy. Może na południu sytuacja jest lepsza. - Puściła sprzęgło i wcisnęła gaz. Autobus potoczył się wstecz, kobieta zaś obróciła kierownicę, prowadząc żółty pojazd w stronę ulicy przed szkołą. Znow szarpnęła dźwignię, włączyła pierwszy bieg i popatrzyła na Chuck. - Wszystkie dzieci mają mokre szmatki, którymi powinny zasłonić twarze, kiedy zbliżymy się do ognia. Zajmuję się nimi od miesiąca i w miarę dobrze nauczyłam się języka migowego. Myślę, że wiedzą, co mają robić. Obiecałam im, że jeśli będą grzeczne, już niedługo zobaczą rodziców. Niech się pani dużo uśmiecha, dobrze?

- Spróbuję - odparła Chuck.

- Świetnie - powiedziała Molly. - Zobaczmy, gdzie nas ta droga zaprowadzi.

Puściła sprzęgło i autobus powoli ruszył. Kiedy wyjechali na ulicę, Molly skrzyła na południe, oddalając się od pożaru szalejącego w parku miejskim. Wschodnia ściana ognia znajdowała się niecałe trzydzieści metrów na lewo od nich, a fala gorąca sprawiała, że lakier na zewnątrz autobusu zaczął się topić. Wkrótce wszyscy się usmażą.

Musieli się zatrzymać, zanim przejechali pięćdziesiąt metrów. Płonące jeszcze szczątki budynku utworzyły barykadę na całej szerokości jezdni.

- I co teraz? - spytała Chuck, usiłując przekrzyczeć huk ognia.

- Na zachód! - krzyknęła Molly. - Przez boisko! - Nacisnęła gaz do końca, jednocześnie obracając kierownicę. Autobus wskoczył na chodnik i przebił się przez płot otaczający boisko baseballowe. Część ogrodzenia oderwała się i przywarła do zderzaka.

Przemknęli przez pole gry, zakręcili na jego rogu i popędzili przez trawę, na zachód. Molly co chwila zmieniała biegi, chcąc jak najszybciej nabrać prędkości. Dojechali do połowy boiska, kiedy Chuck zobaczyła dwóch mężczyzn wyłaniających się zza krzaków. Bonner i Lachlan. Dziewczyna krzyknęła.

Dwaj porywacze jakimś cudem zdołali uciec przed pożarem i dotrzeć do szkoły. Znajdowali się teraz sto pięćdziesiąt metrów od autobusu. Stanęli na szeroko rozstawionych nogach, celując z pistoletów w nadjeżdżający pojazd.

- To pani przyjaciele? - krzyknęła Molly, odwracając się nieznacznie.

Chuck energicznie pokręciła głową.

- To dobrze! - odparła Molly. - Nie chcę się zatrzymywać. - Wycelowała przód autobusu w stojących mężczyzn i nacisnęła pedał gazu.

Chuck nie usłyszała odgłosu wystrzałów, lecz przednia szyba nagle rozprysła się, wysypując obie kobiety tysiącem sześciokątnych odłamków.

Molly nie dawała za wygraną. Pochyliła się tylko do przodu i wypchnęła resztki rozbitnej szyby. Jednocześnie drugą ręką obróciła kierownicę, skracając z poślizgiem. Po chwili znow jechała prosto. Bonner i Lachlan strzelili z minimalnej odległości. Przednie opony eksplodowały i autobus niemalże zarył w ziemię, opierając się na samych felgach. Molly próbowała odzyskać nad nim panowanie, oburącz ściskając wielką kierownicę. Dwaj mężczyźni, widząc, że autobus się nie zatrzyma, próbowali uskoczyć mu z drogi. Spóźnili się. Molly nieznacznie skrzyła i rozległ się głuchy trzask. Autobus uderzył w Lachlana, łamiąc mu kark. Bonner nadział się na resztki ogrodzenia wleczone przed maską i był wraz z nimi ciągnięty przez następne trzydzieści metrów, aż w końcu spadł. Pojazd prawie nie podskoczył, kiedy tylne opony przejechały po ciele porywacza.

Chuck popatrzyła na dzieci. Żadnemu nic się nie stało, ale większość płakała. Chuck wstała i chwyciła się poręczy przy siedzeniu kierowcy. Autobus podskakiwał na nierównej powierzchni boiska. Kierowali się w jego północno-zachodni kraniec, prosto w ścianę ognia.

- Nie przedrzemy się! - krzyknęła Chuck. Płomienie wystrzelały kilkaset metrów w górę, a niebo było całkowicie zasnutym dymem.

- Ma pani lepszy pomysł? - odkrzyknęła Molly. - Niech pani pokaże dzieciom, żeby zasłoniły twarze szmatami.

- Jak mam to zrobić, na litość boską? - jęknęła Chuck.

Molly sięgnęła do kieszeni mokrej od potu koszuli i wyciągnęła wilgotną szmatkę. Wręczyła ją Chuck.

- Niech pani sobie przyłoży do ust! - nakazała. - Niech im pani pokaże!

Chuck odwróciła się, wciąż trzymając poręcz, i przyłożyła materiał do twarzy. Z ulgą spostrzegła, że dzieci rozumiały. Zaczęły same wyciągać kawałki materiału i zasłaniać nimi usta.

Autobus przemknął przez ostatni kawałek boiska i wtoczył się na roztopiony asfalt ulicy, wrzynając się w jego powierzchnię pogiętymi felgami.

- Głęboki oddech i na podłogę! - krzyknęła Molly. Chuck rzuciła się między siedzenia i wciągnęła w płuca tyle powietrza, ile tylko mogła.

Wjechali w ogień z prędkością ponad dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Chuck poczuła, jak powietrze wewnątrz autobusu zostaje wysane przez huragan pożaru i że wszystkich sił próbowała powstrzymać się przed wzięciem kolejnego oddechu. Odstonięta skóra na twarzy i rękach zaczęła się marszczyć i czerwienić, włosy zaś topiły się, skwiercząc straszliwie. Czuła, jak język przysycha jej do podniebienia. Zaczęła się krztusić. W uszach słyszała własne tętno, podobne do bicia olbrzymich bębnow.

Nie mogła się dłużej powstrzymać, musiała wziąć oddech. Umarłaby, gdyby tego nie zrobiła. Musiała to zrobić, musiała...

Straciła przytomność i wokół niej zapanował mrok.

Była godzina siedemnasta i cztery minuty.

Strome, porośnięte lasem stoki kanionu rozchylały się po obu stronach samolotu, jakby ostry dziób F-111 rozpruwał dolinę na pół. Kane wyglądał przez przednią szybę, usiłując skoncentrować się na mijanych skałach. Myślenie o czekającym go zadaniu było praktycznie niemożliwe. Chociaż wiedział, że Canterra jest najlepszym pilotem, przez cały czas miał śmierć w oczach. W ciągu minuty samolot przebywał dziewięć kilometrów, przy tej prędkości nie było miejsca na pomyłkę. Chociaż lecieli kanionem dopiero od kilku minut, parę razy mało nie otarli się o skały. Raz urwisty brzeg rzeki znalazł się tak blisko, że Kane był pewien, iż myśliwiec uderzy w wierzchołki cedrów. Tylko niezwykła zdolność Canterry do połączenia się w jeden organizm z maszyną ocaliła im życie.

Jego ręce, odziane w rękawice, trzymały wolant tak, jakby to był najdelikatniejszy z kryształów. Wyczuwał najmniejszą wibrację samolotu i poruszał się bez żadnego wysiłku, muskając stopami pedały steru. Przelatywał wzrokiem na zmianę po wskaźnikach

i po kanionie; oceniał, obliczał, reagował, a każda jego cząstka zdawała się zespolona z potężnym odrzutowcem.

- Kiedy już dolecimy do tego pańskiego Castle Rock, zaszczyt spuszczenia bomby przypadnie panu - powiedział Canterra, cały czas patrząc przed siebie. - Muszę mieć obie ręce na sterach. Przy pańskim fotelu jest spust, to ten czerwony przycisk na konsoli po prawej stronie. Luk bombowy otwiera się niebieskim przyciskiem, tuż obok. Kiedy dam znak, niech pan naciśnie niebieski przycisk, a kiedy znajdziemy się nad celem - czerwony. Potem będziemy uciekać. Wszystko jasne?

- Jasne! - odparł Kane. Miał spierzchnięte wargi, a serce biło mu jak kowalski młot.

Niedaleko za grzmiącymi dyszami bliźniaczych silników odrzutowca przesuwała się zabójcza fala, wznosząca się w tej chwili dwieście metrów powyżej normalnego poziomu rzeki, zasilana prawie całą wodą płynącą w Kolumbii. Była to gigantyczna masa, poruszająca się z prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę, wystarczająco szybko, aby zmieść wszystko, co napotka na swej drodze. Ziemia, skały, całe lasy - wszystko pochłaniała fala, łącznie z nadrzeczną autostradą oraz torami kolejowymi Union Pacific ciągnącymi się wzdłuż brzegu.

- Lepiej, żebyśmy jak najszybciej znaleźli to miejsce! - powiedział podenerwowany Canterra. - Niedługo skończą się góry!

Kane przytaknął. Byli już prawie w Bonneville; za tamtejszą zaporą kanion rozszerzał się znacznie, a następnie zniknął wśród wzgórz okalających Portland od wschodu.

Canterra poruszył wolantem, pokonując kolejny ciasny zakręt w wijącym się jak serpenty na kanionie. Kane chciał się pochylić do przodu, lecz był ściśle przypięty pasami. Wpatrywał się w głąb wąskiego przesmyku.

- Jest! - krzyknął.

Dwa i pół kilometra w dół kanionu, na końcu dość szerokiego rozlewiska rzeki, stał masywny, odosobniony bazaltowy klif, wysoki na trzysta metrów, od południa opadający prawie do samej rzeki, a od północy oddzielony od stromego stoku góry jedynie minimalną, szeroką na dwieście metrów szczeliną. W tym miejscu cały kanion miał zaledwie trzysta metrów szerokości.

- To ta skała! - krzyknął Kane.

Canterra przyciągnął drążek do siebie i samolot przeleciał nad skalnym klifem. Kane'owi mignął przed oczami wierzchołek, na którym rosły nieliczne drzewa. Odwrócił się za siebie, lecz cały krajobraz nagle zniknął gdzieś w dole.

- Nadal chce pan tam lecieć? - spytał Canterra, kiedy nabierali wysokości.

- Tak - powiedział Kane, zaciskając zęby, żeby nimi nie szczekać.

Canterra wziął długi, koszący zakręt i samolot, wykonawszy szeroką pętlę, znalazł się znów półtora kilometra na wschód od Castle Rock. Pilot powoli odchylił wolant i zmniejszył przepustnicę, kierując maszynę z powrotem w głąb kanionu.

- Niebieski przycisk! - krzyknął, kiedy bazaltowy klif zbliżał się z wielką prędkością. Kane nacisnął i kadłub samolotu zadrżał, kiedy otworzyła się pokrywa luku bombowego. Canterra otworzył szerzej przepustnicę, aby zrekompensować zwiększony opór powietrza. Poruszył drążkiem, kierując maszynę w prawo, końcem skrzydła prawie ocierając się o porośnięty lasem stok góry. Następnie szarpnął drążkiem, kładąc samolot na bok.

Wlecieli w szczelinę między Castle Rock a stokiem góry z prędkością czterystu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, zaledwie sto sześćdziesiąt metrów ponad dnem przełęczy. Szczelina na przeciwległym krańcu zwięzała się do niecałych sześćdziesięciu metrów. Canterra skręcił jeszcze trochę w prawo i, trzymając obie ręce na drążku, z niepokojem oczekiwał, aż Kane zrzuci bombę. Kane siedział nieruchomo, z wytrzeszczonymi oczami, trzymając palec na czerwonym przycisku. Był sparaliżowany strachem.

- Naciskaj! - wrzasnął Canterra. Lecz samolot wyleciał już ze szczeliny. Spóźnili się.

Canterra przyciągnął wolant maksymalnie do siebie i F-111 wzbił się prawie pionowo w powietrze, mijając stok góry zaledwie o kilka metrów. Kiedy byli już dostatecznie wysoko, pilot przesunął pedał steru i maszyna skręciła na północ, przez cały czas wznosząc się, aby przelecieć przez przełęcz. Nieustannie wzrastające przeciążenie rozciągało obu mężczyznom skórę na policzkach i szczękach, sprawiało, że ich oczy zapadły się w głąb oczodołów. Canterra przez chwilę manipulował przyrządami, żeby wyrównać lot, kiedy tylko maszyna znalazła się nad przełęczą. Kiedy to uczynił, zrozumiał, co się stało.

- Cholera jasna! - krzyknął.

Będą musieli podchodzić jeszcze raz. Popatrzył na Kane'a. Inżynier trzymał się za hełm, wściekle potrząsając głową. Canterra wyciągnął rękę i włączył mu hełmofon.

- Moje oczy! - jęczał Kane. - Moje szkła kontaktowe! - Najwyraźniej przeżywał straszne męczarnie. Nagłe pikowanie z wielką prędkością spowodowało, że soczewki kontaktowe oderwały mu się od powiek i wbiły w gałki oczne.

- Niech pan posłucha! - powiedział błagalnie Canterra. - Nie mogę panu teraz pomóc. Będziemy musieli to zrobić jeszcze raz.

Kane pokiwał głową, za którą wciąż się trzymał, i zdołał wykrztusić krótką odpowiedź.

- W porządku. Już trochę lepiej. Zrobmy to!

Kiedy Canterra zawrócił odrzutowiec i skierował go z powrotem do kanionu, zobaczył falę, odległą teraz o niecałe osiem kilometrów. Jej czoło stanowiła przerażająca ściana czarnej wody i białej piany. Nie było czasu, żeby podchodzić jeszcze raz od wschodu. Zawrócił samolot po raz drugi. Horyzont zawirował w zawrotnym tempie i pilot wprowadził samolot w głąb kanionu, trzy czwarte kilometra na zachód od wysokiego, czarnego klifu. Wstrzymując oddech, wleciał w wąską szczelinę. Szczyt klifu znalazł się trzydzieści metrów ponad nim, a skalna ściana - zaledwie dziesięć metrów od skrzydła.

Kiedy pilot uznał, że znalazł się mniej więcej tam, gdzie Kane chciał zrzucić bombę, nacisnął spust po swojej stronie. Tym razem poczuł znajome szarpnięcie, kiedy ładunek został odpalony.

Przemknął przez wąską szczelinę. Czoło fali było oddalone o przeszło kilometr. Canterra skierował samolot ostro w górę, otwierając maksymalnie przepustnicę, kiedy tylko znaleźli się na otwartej przestrzeni. Przelecieli zaledwie sześćdziesiąt metrów ponad wierzchołkiem fali. Jej apokaliptyczna postać na chwilę zasłoniła im cały widok. Poruszając się z prędkością dwustu metrów na sekundę, odrzutowiec przemknął nad północną ścianą kanionu i skrył się za nią na trzy dziesiąte sekundy przed tym, jak bomba spadła na kamieniste dno przepaści u stóp bazaltowego klifu i eksplodowała przy uderzeniu.

Kane i Canterra lecieli na północ, lecz nieprawdopodobny błysk i tak ich oślepił. Całe góry pojaśniały, odcinając się upiornie od nieba, które na chwilę stało się czarne. Pierwsza fala uderzeniowa minęła brzeg kanionu i zatrzęsła uciekającym samolotem. Olbrzymie ciśnienie uszkodziło silniki i wielki odrzutowiec zaczął koziołkować w powietrzu. Zdawało się, że cały świat wypełniony jest potwornym hukiem eksplozji. Canterra, wciąż oślepiiony błyskiem, odruchowo wyciągnął rękę i nacisnął przycisk ewakuacji. Ładunki wybuchowe u podstawy ratunkowej kapsuły zostały odpalone i cały kokpit oderwał się od bezużytecznego kadłuba. Spadochron otworzył się automatycznie. Kiedy druga fala uderzeniowa dosięgła kapsuły, Canterra zemdlał.

Z odgłosem podobnym do ryku tysięcy huraganów wielka kula ognia wyskoczyła z wąskiej szczeliny u podnóża Castle Rock, paląc i topiąc wszystko, wstrząsając całą górą i stojącą na jej stoku skałą. Bazaltowa ściana zachwiała się i oderwała od dna kanionu, a potem z niewyobrażalnym hukiem przechyliła się i spadła na dno doliny.

Góra trzęsła się, niemal rozpadając w kawałki, podczas gdy coraz chłodniejsza kula ognia i pary wznosiła się nieustannie. Ziemia u jej podstawy pękała, powodując wstrząsy całego podłoża, które zaczęło się topić. Osiemset milionów ton prastarych skał spadło w głąb wrzącego krateru utworzonego przez eksplozję, tworząc dodatkową barierę obok potężnej ściany, jaką stanowiła teraz przewrócona Castle Rock.

Kiedy ognista kula wznosiła się ponad kanionem, jej podstawa groteskowo rozszerzyła się i dosięgnęła miażdżącego czoła fali. Olbrzymie ciśnienie i temperatura sprawiły, że woda zmieniała się w parę w ułamku sekundy. Ogień wdarł się w falę prawie na tysiąc metrów głęboko. W kanionie szalały tornada trujących gazów, zmieniając jego zalesione stoki w pustynię. Pozostała masa wody, potwornie wzburzona przez eksplozję, dotarła do nowo powstałej zapory. Pieniąc się, zaczęła wspinać po wysokiej na trzysta metrów, rozgrzanej do białości ścianie. Następnie cofnęła się, pokonana.

Szaleńczy bieg fali w stronę oceanu zakończył się. Powódź przegrała swoją ostatnią bitwę.

Była godzina siedemnasta dziewiętnaście czasu zachodnioamerykańskiego.

Po katastrofie

Październik

Fragmety sprawozdania z przesłuchań Kongresu w sprawie wielokrotnego zawalenia się zapór na rzece Kolumbia, znanego jako

KATASTROFA NA KOLUMBII

przeprowadzonych w Waszyngtonie w dniach 18-25 października

Przewodniczący: senator Hamilton McNeil Dokument Kongresu nr

A-26-10-81 Rodzaj dokumentu: TAJNY

Częściowe zeznania Meyera C. Bursteina, tymczasowego dyrektora Instytutu Jakości Stanów Zjednoczonych:

McN. Rozumiem, że będzie pan składał zeznania w imieniu Instytutu Jakości.

Bur. Zgadza się.

McN. Rozumiem także, iż nie powołano jak dotąd nowego dyrektora Instytutu i że pan nadal pełni tę funkcję, zastępując pana Hodge'a.

Bur. Również się zgadza.

McN. Pan Hodge niedawno przeszedł na emeryturę, prawda?

Bur. Tak.

McN. Panie Burstein, przez ostatnie trzy dni wysłuchaliśmy wielu zeznań dotyczących budowy zapór na rzece Kolumbia. Znaczną część tych informacji słyszeliśmy już wcześniej. Mam na myśli zwłaszcza przesłuchania w sprawie katastrofy w Teton w roku 1976.

Bur. To całkiem możliwe. Nic mi o tym nie wiadomo. Nie pracowałem wtedy w Instytucie.

McN. Panie Burstein, w trakcie tamtych przesłuchań mówiono o możliwości wielokrotnego zawalenia się zapór. Nie było mowy konkretnie o zaporach na Kolumbii, lecz istniał tutaj oczywisty związek. Osoba reprezentująca wówczas Instytut stwierdziła, że badania nad prawdopodobieństwem zajścia takiego zjawiska są w toku. Byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan powiedzieć komisji, jakie były wyniki tych badań.

Bur. Osobiście nic mi nie wiadomo o tego rodzaju badaniach.

McN. Chce pan powiedzieć, że takich badań nie przeprowadzano?

Bur. Tego nie powiedziałem. Mówię, że nic mi o tym nie wiadomo.

McN. Zapytam inaczej, panie Burstein. Czy przed katastrofą na Kolumbii był pan świadom, że coś takiego może się wydarzyć?

Bur. Nie. Katastrofa była spowodowana zawaleniem się zapory Mica w Kolumbii Brytyjskiej, w Kanadzie. Nasz Instytut nie odpowiada za zapory znajdujące się poza granicami kraju.

McN. Wiem o tym, panie Burstein, lecz Instytut Jakości z pewnością interesuje się zaporami mającymi bezpośredni wpływ na działanie tych, za które jest odpowiedzialny. Chce pan powiedzieć, że w sprawie zapór nie było formalnej współpracy pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i Kanadą?

Bur. Owszem, istniała formalna współpraca.

McN. Polegała ona na udzielaniu informacji o poziomie rzeki, ilości spiętrzonej wody i tak dalej?

Bur. Tak.

McN. Ale nie było współpracy dotyczącej bezpieczeństwa zapór.

Bur. Nie.

McN. A więc Kanadyjczycy mogli bez pańskiej wiedzy zbudować zapórę, której awaria spowodowałaby poważne zniszczenia na terenie Stanów.

Bur. W pewnym sensie... można by to tak ująć.

McN. Chciałbym panu zadać kilka pytań na temat awarii zapory w Mica, od której zaczęła się cała katastrofa.

Bur. Rozumiem.

McN. Pańskim zdaniem, co było główną przyczyną awarii: sabotaż na terenie zapory czy też osunięcie ziemi, które później nastąpiło?

Bur. Myślę, że nie można oddzielić jednego od drugiego.

McN. Dlaczego? Co by się na przykład stało, gdyby nie doszło do osunięcia ziemi?

Bur. Trudno powiedzieć. Poza tym uważam, że to nieistotne, skoro oba wydarzenia nie były zjawiskami naturalnymi.

McN. Uważa pan, że ten człowiek, eee... Penpraze, zabity przez policję w Vancouver - nawiasem mówiąc, obywatel amerykański że to on był całkowicie odpowiedzialny za katastrofę?

Bur. Owszem, tak mi się wydaje.

McN. Pewne fakty każą nam sądzić, iż człowiek ten nie był przy zdrowych zmysłach.

Bur. Myślę, że to oczywiste.

McN. A więc w pojedynkę zdołał zniszczyć zapórę w Mica?

Bur. Nie chcę nikogo oskarżać, ale wygląda na to, że nadzór zapory był niewystarczający.

McN. Czy Penpraze nie musiałby posiadać olbrzymiej wiedzy na temat zapór, żeby zrobić to, co zrobił?

Bur. Niekoniecznie. O ile wiem, miał duże doświadczenie w posługiwaniu się materiałami wybuchowymi.

McN. We wcześniejszych zeznaniach wspomniał pan, że ładunki wybuchowe mogły zostać podłożone również w miejscu, gdzie nastąpiło osunięcie ziemi.

Bur. Tak, to jest możliwe.

McN. A więc musiał zdawać sobie sprawę, że ziemia jest bliska osunięcia.

Bur. Być może.

McN. Panie Burstein, czy pan wiedział o tym, że ziemia jest bliska osunięcia?

Bur. Nie. Wiadomo panu, że była to kanadyjska zaporą.

McN. Jestem tego świadom. A więc nie wiedział pan, że w tamtej okolicy znajduje się stok bliski osunięcia?

Bur. Nie.

McN. A tamten szalenciec o tym wiedział. Jak pan to wytłumaczy, panie Burstein?

Bur. Nie mogę tego wytłumaczyć.

McN. Czy sądzi pan, że Kanadyjczycy wiedzieli o nadchodzącym osunięciu?

Bur. Nie jestem uprawniony do czynienia takich przypuszczeń.

McN. Czy uważa pan, że w normalnych okolicznościach osunięcie nie miałyby miejsca i że Penpraze jest odpowiedzialny zarówno za sabotaż, jak i za osunięcie ziemi?

Bur. Tak mi się wydaje.

McN. Czy są na to jakieś dowody?

Bur. W tej chwili nie ma już praktycznie żadnych.

McN. Domyślam się, że mówi pan o górze Downie.

Bur. Zgadza się.

McN. Czy byłby pan uprzejmy nam to wyjaśnić?

Bur. Oczywiście. Góra Downie znajdowała się dokładnie nad zaporą w High Revelstoke. Jej stok stanowił jeden z największych terenów osuwiskowych na świecie. Kiedy budowano zaporę w High Revelstoke, inżynierowie z British Columbia Hydro bardzo starannie osuszyli cały teren, aby nie dopuścić do osunięcia ziemi. Lecz powódź zniweczyła ich zabiegi i w kilka tygodni po katastrofie nastąpiło osunięcie. Przemieszczony fragment ziemi ma prawie dwanaście kilometrów długości i trzysta metrów szerokości. Zablockował kanion całkowicie.

McN. Jakie były tego konsekwencje?

Bur. Spowodowało to spiętrzenie wód Kolumbii. Szczątki zapory w Mica zostały już całkowicie zalane, wraz z pozostałościami tamtejszego osuwiska, więc nikt nie jest w stanie stwierdzić, co tam się wydarzyło. Wygląda na to, że rzeka wkrótce wypełni cały dawny zbiornik w Mica i zacznie przelewać się korytem rzeki Thompson.

McN. A więc najprawdopodobniej nigdy się nie dowiemy, co zdarzyło się w Mica?

Bur. Prawdopodobnie nie.

McN. Dziękuję.

(Część zeznań usunięto)

McN. Panie Burstein, rozumiem, że Jonathan Kane, regionalny dyrektor Biura Kontroli i Bezpieczeństwa Środowiska Naturalnego, nie będzie zeznawał w tych przesłuchaniach.

Bur. Nie wiedziałem.

McN. Owszem, pan Kane miał nieszczęśliwy wypadek. On i jego narzeczona utonęli w czasie urlopu. Ironia losu.

Bur. Co takiego?

McN. Ironia losu. To znaczy, mam na myśli utonięcie.

Bur. Ach, tak. Też tak myślę.

McN. Z tego, co do tej pory ustaliliśmy, wynika, że to pan Kane był odpowiedzialny za regularną inspekcję kanadyjskich zapór, rzecz jasna przy współpracy pańskiego Instytutu.

Bur. Owszem.

McN. Ani razu nie otrzymał pan żadnej informacji od pana Kane'a, wskazującej na możliwość awarii zapory w Mica?

Bur. Nie, oczywiście, że nie. Tamta zapora nie podlega jego kompetencjom, tak samo jak nie podlega naszym.

McN. Ale składał panu raporty?

Bur. Nie bezpośrednio. Poprzez swoich zwierzchników w Waszyngtonie.

McN. Ale gdyby próbował się z panem skontaktować, wiedziałby pan o tym?

Bur. Oczywiście.

McN. Pan Kane nie podejmował takich prób?

Bur. Nic mi o tym nie wiadomo.

McN. Istnieją dowody na to, że pan Kane odwiedził zapórę w Mica wkrótce przed katastrofą.

Bur. Nie robił tego oficjalnie.

McN. A więc nie wiedział pan o jego wyprawie?

Bur. Nie, nie wiedziałem.

(Część zeznań usunięto)

McN. Reasumując, panie Burstein, czy uczciwie będzie stwierdzenie, że Instytut Jakości nie otrzymał żadnych informacji, które ostrzegłyby jego pracowników przed nadchodzącą katastrofą na Kolumbii?

Bur. Tak.

McN. Czy można także uznać, że Instytut nigdy nie dostrzegł potrzeby stworzenia systemów ostrzegawczych na Kolumbii ani w dorzeczu jakiegokolwiek innej rzeki, na której znajdują się zapory?

Bur. Tak.

McN. Mimo iż w Stanach Zjednoczonych od 1935 roku miało miejsce około siedemdziesięciu awarii zapór, w tym katastrofa w Teton w 1976 i w Georgii w 1977?

Bur. Tak.

McN. Panie Burstein, ostatnie pytanie. Czy z obecnego punktu widzenia Instytut Jakości był w stanie zrobić cokolwiek, co zapobiegłoby katastrofie lub zmniejszyło jej rozmiar? Jakie jest pańskie zdanie?

Bur. Instytut nie mógł nic zrobić.

McN. Dziękuję.

Częściowe zeznania pana K.D. Livingstone'a, naczelnika administracyjnego Urzędu Badań i Rozwoju Energetyki (ERDA):

McN. Panie Livingston, rozumiem, że ERDA, we współpracy z Agencją Ochrony Środowiska, pracuje nad oszacowaniem skażenia ziemi i atmosfery, spowodowanego zniszczeniem bazy nuklearnej w Richland, tamtejszego składowiska odpadów atomowych oraz reaktora termojądrowego.

Liv. Zgadza się.

McN. Czy mógłby pan pokrótce przedstawić komitetowi, co do tej pory ustalono? Rozumiem, że informacje są jeszcze niekompletne i niedokładne, lecz będą dla nas wartościowe w każdej postaci.

Liv. Ustaliliśmy, że wysoki poziom skażenia utrzymuje się w północnej Kalifornii, Idaho, Montanie, Wyoming i Utah. A także, rzecz jasna, w Waszyngtonie i Oregonie.

McN. Domyślam się, że chodzi o skażenie powietrza.

Liv. Tak. Jego intensywność znacznie maleje w miarę posuwania się na wschód. Większość radioaktywnego opadu powstałego po eksplozji reaktora w Richland pozostała na terenie objętym katastrofą.

McN. Czy poziom promieniowania jest tam niebezpieczny?

Liv. W niektórych miejscach tak.

McN. Śmiertelny?

Liv. Tak.

McN. Jakie pierwiastki radioaktywne zostały uwolnione?

Liv. Stront, cez, jod i pluton.

McN. Ile osób zmarło wskutek promieniowania, panie Livingston?

Liv. W tej chwili nie można tego oszacować. Skutki napromieniowania dopiero się ujawnią. Powiem tak: każdy, kto miał kontakt ze skażoną wodą, używał jej do picia lub kąpieli, umiera w ciągu kilku dni, co najwyżej tygodni. Sytuacja nadal jest bardzo groźna. Czas pokaże jej skutki. Szacuję, że promieniowanie spowodowało bezpośrednio śmierć dziesięciu, piętnastu tysięcy osób.

McN. Co pan rozumie przez „bezpośrednio”?

Liv. Promieniowanie spowoduje też zwiększoną zachorowalność na raka, skrócenie przeciętnej długości życia, choroby genetyczne i tym podobne problemy.

McN. Rozumiem. Na jakim obszarze te skutki wystąpią?

Liv. Trudno powiedzieć. Z całą pewnością będą odczuwalne w całych Stanach Zjednoczonych.

(Część zeznań usunięto)

- McN. Panie Livingston, czy istnieją inne instalacje nuklearne narażone na atak terrorystów, tak jak ta, o której mówił pan we wcześniejszych zeznaniach?
- Liv. Każda instalacja, nuklearna lub nie, może być obiektem ataku.
- McN. Czy istnieją inne reaktory, usytuowane w równie niebezpiecznych miejscach lub nad rzekami?
- Liv. Większość reaktorów jest usytuowana nad rzekami.
- McN. W trakcie przesłuchań w sprawie katastrofy w Teton ujawniono, że wiele instalacji nuklearnych znajduje się w strefach niestabilnych geologicznie, w pobliżu uskóków tektonicznych. Czy tak jest nadal?
- Liv. Tak.
- McN. Czy w tych rejonach znajdują się składowiska odpadów?
- Liv. Tak.
- McN. A więc ta sytuacja może się powtórzyć.
- Liv. Szczerze w to wątpię. Okoliczności tej katastrofy były wyjątkowe.
- McN. Okoliczności każdej katastrofy są wyjątkowe, panie Livingston. Będę wdzięczny, jeśli będzie pan na bieżąco informował nasz komitet o wszelkich działaniach podejmowanych na składowiskach odpadów, o których wspominał pan wcześniej, jak również o polepszaniu bezpieczeństwa pozostałych instalacji nuklearnych.
- Liv. Dopilnuję tego osobiście.
- McN. Dziękuję. Jestem pewien, że komitet doceni pańską współpracę i zaangażowanie.

Młody reporter siedział przed jednym z komputerów w siedzibie agencji United Press International. Właśnie kończył jeść pączka. Było już późno i w drugim, wąskim pomieszczeniu zostali już tylko tacy zapaleńcy jak on oraz redaktor naczelny.

Reporter uporządkował notatki leżące na metalowym blacie, ścisnął je spinaczem i zaczął pisać. Przed jego oczami na monitorze stopniowo pojawiał się artykuł.

UJAWNIONO USTALENIA W SPRAWIE KOLUMBII

UPI/WASZYNGTON - Komitet przesłuchań kongresowych w sprawie katastrofy na Kolumbii po prawie czterech miesiącach śledztwa ujawnił swoje ustalenia. Przewodniczący Komitetu, Hamilton J. McNeil (senator z Wisconsin), wziął dziś udział w konferencji prasowej, omawiając wnioski wyciągnięte przez Komitet.

„Katastrofa na Kolumbii jest bez wątpienia największym powojennym kataklizmem, jaki nawiedził nasz kraj. Czwartego lipca tego roku, w ciągu jednej doby, Stany Zjednoczone utraciły jedną trzecią wytwarzanej energii hydroelektrycznej oraz trzy czwarte istniejących hut aluminium. W Stanach Zjednoczonych i Kanadzie zostało zniszczonych łącznie ponad siedemdziesiąt miejscowości. Straty w mieście Spokane, zalany przez wtórną falę, szacuje się na sto siedemdzie-

siat pięć milionów dolarów. Straty w Portland, Oregonie, Vancouver i Waszyngtonie szacuje się na trzysta milionów.

Co najgorsze, katastrofa spowodowała śmierć około stu osiemdziesięciu pięciu tysięcy osób, a kolejne dwieście tysięcy pozostawiła bez dachu nad głową.

Z powodu radioaktywnego skażenia wód i gleby, jedna trzecia stanu Waszyngton oraz jedna czwarta stanu Oregon została uznana przez Agencję Ochrony Środowiska za niezdadną do zamieszkania.

Myślę, że już najwyższy czas, aby położyć kres plotkom rozpowszechnianym przez prasę w całym kraju. Jak ustalił Komitet, nie ma żadnych dowodów ani poszlak na to, iż katastrofa była skutkiem spisku, a człowiek odpowiedzialny za zburzenie zapory w Mica - powiązany z jakąkolwiek amerykańską agencją rządową. Tego rodzaju plotki są rozpowszechniane przy okazji każdej katastrofy i, prawdę mówiąc, jesteśmy już nimi znużeni.

Chociaż katastrofa na Kolumbii z całą pewnością nie była spowodowana działaniem sił natury, Komitet ustalił, że mimo pewnych hipotetycznych informacji posiadanych przez Instytut Jakości oraz Korpus Inżynieryjny, dotyczących możliwości wielokrotnego zawalenia się zapór, organizacje te nie ponoszą żadnej odpowiedzialności za wydarzenia z czwartego lipca. To samo dotyczy Urzędu Badań i Rozwoju Energetyki.

W świetle przedstawionych zeznań i dowodów, z którymi Komitet zapoznawał się przez ostatnich kilka miesięcy, pragniemy wysunąć następujące postulaty na ręce Kongresu i prezydenta:

Po pierwsze, każda większa zaporą w Stanach Zjednoczonych powinna zostać wyposażona w system wczesnego ostrzegania. Po drugie, w najbliższej przyszłości powinno się podjąć działania mające na celu utworzenie składowisk odpadów atomowych, które nie będą zagrażać środowisku. Po trzecie, żadna nowa baza nuklearna nie może być zbudowana bez uwzględnienia wszystkich możliwych zagrożeń. Mamy nadzieję, że ta ostatnia wskazówka zostanie uwzględniona przy budowie wszystkich nowych instalacji nuklearnych w Stanach Zjednoczonych".

Reporter podniósł wzrok i zorientował się, że redaktor naczelny zagląda mu przez ramię i czyta artykuł. - Cholernie długie - powiedział redaktor. - Proszę to skrócić o połowę.

Jonathan Kane usiadł na łóżku i zapalił papierosa. Leżąc obok niego Charlene Daly drgnęła i zamruczała.

- Coś cię niepokoi? - spytała, siadając na łóżku i również sięgając po papierosa. Kane wzruszył ramionami. Oboje znajdowali się w pogrążonej w mroku sypialni domu w Georgetown.

- Mam dość udawania umarłego. Minęło już mnóstwo czasu - stwierdził z niezadowolaniem.

- Myślisz, że kiedykolwiek odkryją, kto za tym wszystkim stał? - spytała Chuck, wciskając mu głowę pod ramię.

- Pewnie nie - odparł Kane. - Zobacz, co spotkało naszego drogiego przyjaciela, generała Hammonda. Dwa dni po tym, jak rozmawialiśmy z tymi ludźmi z komisji, Hammond zmarł na atak serca w czasie meczu New York Mets. Atak serca, dobre sobie!

- Nie popadaj w paranoję - powiedziała Chuck. - Mnie się podoba, że udajemy martwych. Lubię nosić perukę.

- Wiem, że powinniśmy się cieszyć. Oboje mieliśmy szczęście, że z tego wyszliśmy. - Kane zamilkł i zamyślił się przez chwilę. - Zwłaszcza ty. Gdyby nie służby leśne i te ich samoloty z wodą, dawno byś się usmażyła.

- Pewnie - przytaknęła Chuck. - Była już chyba jedenasta w nocy. - Zaciągnęła się papierosem, obserwując jego żarzący się koniec. - Zdaje się, że wkrótce będę musiała rzucić palenie. Może po ślubie.

- Czym ślubie? - zapytał Kane, zdezorientowany.

- Naszym, idioto.

- Weźmiemy ślub, naprawdę? - Uśmiechnął się. - Kiedy się zdecydowałaś?

- Miesiąc temu.

- A co ma wspólnego ślub z paleniem?

- Nie powinno się palić, kiedy planuje się dziecko.

- Dziecko? - Kane roześmiał się. - Czy twoje plany nie idą za daleko?

- Nie sądzę - odparła Chuck, uśmiechając się w ciemności.

Kane pokręcił głową.

- Zastanów się dobrze, czy chcesz za mnie wyjść. Może jestem bezpłodny? Wiesz, całe to promieniowanie...

- Nie jesteś bezpłodny.

- Nie jestem? - zapytał, odwracając się w jej stronę.

- Na pewno - mruknęła, wyciągając rękę.

- Ale... - zaczął Kane, oszołomiony.

- Nic nie mów, Jon - powiedziała Chuck.

Człowiek z Langley siedział w zaparkowanym samochodzie i czekał. Burstein będzie ostatni. Jedyne świadek, jaki pozostał. Mężczyzna popatrzył na zegarek. Za dwie minuty północ. Burstein zawsze wychodził z psem punktualnie o dwunastej. Prowadził spaniela do jego ulubionych krzaków bzu, rosnących naprzeciwko domu w ekskluzywnej dzielnicy Maryland.

Burstein powinien był się tego spodziewać, pomyślał człowiek z Langley. Powinien wiedzieć, że nie pozostawimy go przy życiu. Gra miała swoje zasady, a Burstein je złamał. Mężczyzna obracał nerwowo sygnetem na palcu wskazującym i czekał w ciemności.

Punktualnie o dwunastej drzwi domu otworzyły się i wyszedł z nich Burstein, jak zawsze ubrany w schludny, szary garnitur. Jego sylwetka rysowała się wyraźnie w świetle padającym z korytarza. Pies szedł na smyczy przy jego nodze. Urzędnik zatrzymał się na chwilę i potarł brew kciukiem prawej ręki. Następnie ruszył ścieżką w stronę chodnika i zaczął przechodzić przez jezdnię.

Szkoda zwierzaka, pomyślał człowiek z Langley. Lubił psy. Nacisnął z całej siły pedał gazu i samochód skoczył przed siebie.

WYDAWNICTWO AMBER Sp. z o.o.
00-060 Warszawa, ul. Królewska 27, tel. 620 40 13, 620 81 62
Warszawa 2004. Wydanie II